NOCNE WILKI MAJĄ BAZĘ NA SŁOWACJI

Motocyklowy gang Putina u granic Polski

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 32/284 6-12 SIERPNIA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kim są terroryści z Bielska-Białej?

CZY GDAŃSK WPADNIE W RĘCE JAROSŁAWA WAŁĘSY

Gursztyn rozprawia się z książką „Bandyci z AK"

Nie karać rodziców za klapsa

MOCNY TEKST WARZECHY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 32 >

Nakład: 88,5 tys. egzemplarzy

LUBIĘ, JAK MI ODMARZAJĄ USZY W MAJU

Bo jestem wtedy z rodziną na lodowcu.

A za granicą korzystam z karty Visa Świat Intensive

- ponad 150 walut po kursach jak w kantorach online
- brak prowizji za przewalutowanie transakcji
- bezpłatne wypłaty z bankomatów na całym świecie

mBank

Intensive
oferta dla chcących więcej

To nie jest oferta w rozumieniu Kodeksu cywilnego. Po szczegóły wejdź na www.mBank.pl/wiecej/

eprasa.pl 15dc426468

W RZECZY SAMEJ

Wszyscy zostańmy homofobami

PAWEŁ LISICKI

Jeszcze kilka miesięcy temu uznałbym to za ponury żart. Teraz jednak wiem, że coraz trudniej oddzielać rzeczywistość od farsy. To, co jest nie do wyobrażenia, dzieje się, to, co mogło być marą senną i koszmarem, naprawdę się wydarza.

Kilka dni temu pojawiła się informacja, że jakaś bliżej nieznana polska pisarka zaangażowała się w niedopuszczenie do występów w Belfaście w Irlandii Północnej Wojciecha Cejrowskiego, podróżnika i pisarza. Miał on dać show komediowy pt. „Ale Meksyk" w Strand Arts Centre, co miało być częścią Tygodnia Kultury Polskiej. Otóż tym, co najbardziej niebywałe (szukam właściwego słowa: przerażające, bezwstydne, głupie?), były powody, dla których pani Aleksandra Łojek nie chciała dopuścić do występu Cejrowskiego. Oddajmy jej głos: „On nie reprezentuje mojej kultury jako Polki i wielu Polaków jest mu przeciwnych" – mówiła na antenie ta pani. Wtórował jej aktywista, niejaki John O'Doherty z organizacji Rainbow Project, która wspiera osoby LGBT. Podkreślał, że nawet jeśli spotkanie ma mieć formę komedii, to „nigdy nie wiadomo, co taka osoba powie do mikrofonu". Brr! Nie wiadomo, co taka osoba powie! Pani Polka i pan z tęczowego projektu pospołu zwrócili się zatem do organizatorów, żeby Cejrowskiemu uniemożliwić występ, bo znany jest z wypowiedzi „ekstremalnie homofobicznych, antyislamskich i seksistowskich". W ten sposób obaw nie będzie: skoro nie wiadomo, co Cejrowski powie, to jeśli uniemożliwi mu się powiedzenie czegokolwiek, sprawa będzie załatwiona.

Proszę państwa, to wszystko dzieje się na naszych oczach! Tak, w świetle dnia, bez żenady pani Polka i pan aktywista pokazują, jakiej degrengoladzie ulegają zachodnie demokracje. Państwa, które kiedyś były symbolami wolnej debaty i ostoją wolności słowa, dziś coraz częściej występują w roli koszmarnych zamordystów. Niezależnie od skuteczności działania pani Łojek i pana O'Doherty'ego już to, że przyszło im do głowy, iż mogą uniemożliwić komuś występy ze względu na niewłaściwe poglądy, jest miarą słabości liberalnego projektu.

Jest jednak jeszcze gorzej. Wszędzie zdarzają się idioci, mitomani, radykałowie i ekstremiści. Najbardziej przerażające jest to, że najwyraźniej owe ataki na Cejrowskiego zostały potraktowane poważnie. Organizator powiedział, że będzie się im poważnie przyglądał. Nie powiedział, jak należało to zrobić, żeby paniusia pisarka i pan aktywista gejowski spadali na bambus (wiem, nieco to kolokwialne, ale właśnie taki powinien być ton odpowiedzi), że wolność słowa polega na tym, iż swobodę wypowiedzi mają właśnie ci, których nie lubimy, a nie ci, których chcemy słuchać. Nie, przeciwnie, zamiast głosy sprzeciwu zbyć, wyśmiać, odrzucić z miejsca, pokazywać jako przykład barbarzyństwa, niedorozwoju i tępoty, zamiast jednoznacznie i od razu ogłosić, że występ się odbędzie, organizator zaczął się zastanawiać. A część mediów cytowała wypowiedzi pani pisarki, jakby to była normalna opinia. Jakby zarzut, że ktoś jest seksistą lub homofobem, lub islamofobem, był na tyle poważny, iż należy go poważnie rozpatrywać i odbierać komuś takiemu głos. Gdyby to były dawne czasy starej, pięknej, złotej wolności, pierwszą reakcją na atak na Cejrowskiego powinno być hasło „Wszyscy jesteśmy homofobami, islamofobami i seksistami". Wszyscy: bo kto ogranicza wolność słowa, ten musi się liczyć z powszechnym ostracyzmem i odrzuceniem. Niezależnie od tego, czy komuś się poglądy Cejrowskiego podobają, czy nie.

Nie wiem, jak ostatecznie zakończy się ta historia. Czy występ się odbędzie, czy przeciwnie, funkcjonariuszom politycznej poprawności uda się Cejrowskiemu usta w Belfaście zamknąć. Wiem jedno: kolejny to niepokojący przykład nowego lewicowego barbarzyństwa. Z przeciwnikami się już nie dyskutuje, tylko próbuje się ich zmusić do milczenia. Dlatego, jak długo można, cieszmy się polską wolnością. Nie dajmy sobie jej odebrać. Nie idźmy drogą, którą podążają niegdyś liberalne państwa Zachodu. Drogą ku nowemu, miękkiemu na razie, ale coraz bardziej widocznemu postępowo-tęczowemu totalitaryzmowi. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 15dc426468

TEMAT TYGODNIA

20 ŁUKASZ WARZECHA
KLAPS Z IDEOLOGIĄ
Propozycja rzecznika praw dziecka Marka Michalaka grozi odebraniem rodzicom władzy nad dziećmi

24 ŁUKASZ ZBORALSKI
RODZIC NIE JEST ZAGROŻENIEM
Rozmowa z dr. Błażejem Kmieciakiem

KRAJ

28 PIOTR SEMKA
KANDYDAT W IMIĘ OJCA
Choć oficjalnym kandydatem PO na prezydenta Gdańska jest Jarosław Wałęsa, to o reelekcję walczyć będzie też Paweł Adamowicz

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ZAMACH

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PRZYPADEK TYSONA

38 MACIEJ PIECZYŃSKI
WILKI NA SŁOWACJI

KULTURA

40 JOANNA LICHOCKA
RAJZA WRZEŚNIOWA
Gdyby nie awantura na granicy polsko-rumuńskiej, Jarosław Marek Rymkiewicz mógłby nie być polskim pisarzem

44 PIOTR GOCIEK
CI PRZEKLĘCI POLACY

48 ZMARŁ TOMASZ STAŃKO
STAŃKO: JAZZMAN SPEŁNIONY

49 OLGA SIPOWICZ NIE ŻYJE
KORA: ZE SŁOŃCEM TWARZĄ W TWARZ

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ANTYKONCEPCYJNY PRZEŁOM?
Czy papież zdecyduje się na rewolucję także w kwestii dotyczącej antykoncepcji?

59 ROZMOWA Z LESZKIEM MILLEREM
ZETRĄ SIĘ DWIE POLSKI

62 PIOTR GURSZTYN
HISTORYCZNA PORNOGRAFIA

HISTORIA

64 MARCIN BARTNICKI
GENIUSZ MIESZKA I BOLESŁAWA
Rozmowa z archeologiem i znawcą wczesnego średniowiecza – prof. Władysławem Duczko

68 ROZMOWA O NIEZWYKŁYCH POSTACIACH II RP
BRONISŁAW, BRAT JÓZEFA

ŚWIAT

72 OLIVIER BAULT
BREXITOWA BOMBA
Premier Theresa May we własnym kraju podejrzewana jest o próbę zatrzymania brexitu, a dla UE jej plan jest zbyt radykalny

76 ŁUKASZ CZARNECKI
PEKIN ZWODZI ŚWIAT

78 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NA NIEWOLNICZYM SZLAKU

EKONOMIA

80 STEFAN SĘKOWSKI
AMERYKAŃSKO-WŁOSKA ROBOTA
Odszedł Sergio Marchionne – człowiek, który uratował przed upadkiem zarówno Fiata, jak i Chryslera

82 JACEK PRZYBYLSKI
PRACOWNIK BEZ SMYCZY

LATO „DO RZECZY"

88 JOANNA BOJAŃCZYK
GORĄCE ŹRÓDŁA ZDROWIA
Karlowe Wary to pięknie utrzymane, zamożne miasto, które pielęgnuje nostalgiczny klimat austro-węgierskiego uzdrowiska

ZDROWIE

90 KATARZYNA PINKOSZ
DO APTEKI ZAMIAST DO PRZYCHODNI
Rozmowa z dr. n. farm. Piotrem Merksem z Collegium Medicum UMK

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (71), KOWALCZUK (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 15dc426468

Przekraczaj granice

Najszybszy na świecie
odbiór sygnału satelitarnego
w zegarku Citizen Satellite Wave GPS.

PROMASTER

Eco-Drive

citizen.pl

CITIZEN

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl 15dc426468

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu głos w sprawie reformy sądownictwa. Zachęcamy do dzielenia się swoimi opiniami. E-maile prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Nie o rokosz tu chodzi

Ad vocem do tekstu Piotra Semki „Rokosz będzie słabł", „Do Rzeczy" 28/2018, 9–15 lipca, s. 8.

Piotr Semka, odnosząc się do reformy Sądu Najwyższego, nazywa sprzeciw wobec niej części sędziów „sędziowskim rokoszem". Przy tym przytacza słowa Olivera Cromwella, który, zdaje się, ma oddawać nastrój autora wobec tychże sędziów: „Choćbyście robili jeszcze coś dobrego, siedzicie tutaj zbyt długo. Powiadam więc: odejdźcie, już chcemy was się pozbyć!". Jak na ironię to Cromwell właśnie dokonał rokoszu przeciwko królowi Anglii Karolowi I, doprowadzając do jego ścięcia. Jak widać, nie o rokosz chodzi, ale o to, kto i przeciwko komu go dokonuje i czy to nasi, czy oni. Zresztą (ceniony przeze mnie) Pan Redaktor sam to przyznaje, pisząc, że sędziowie powinni „dać szansę na nowe rozdanie". A szkoda, bo zagadnienie reformy sądownictwa wymaga pogłębionej refleksji, a nie tylko zabiegów retorycznych, mających pognębić jej przeciwników.

Przede wszystkim należy pamiętać, że sprawne sądownictwo to fundament demokratycznego państwa prawa. Państwa, którego obywatele umówili się, że w przypadku sporów między sobą nie biorą spraw we własne ręce ani nie oddają ich w ręce najemników, ale powierzają je do rozstrzygnięcia sądom. Sądy te powinny się cieszyć zaufaniem obywateli. System sądowniczy powinien być stworzony tak, aby to zaufanie wzbudzać, zapewniać sprawne jego funkcjonowanie oraz niezależność od doraźnych wpływów politycznych. Dotyczy to w szczególności Sądu Najwyższego.

Pogląd, że sądy potrzebowały reform, nie wymaga

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Marta Bensalem, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Fotolia, oprac. graf.: JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 88,5 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 15dc426468

głębszego uzasadniania i jest dominujący zarówno na scenie politycznej, jak i wśród specjalistów. To, że zaniechano jej przeprowadzenia wcześniej, nie usprawiedliwia jednak działania pośpiesznego, pozbawionego głębszej analizy i nienakierowanego na zmiany systemowe. Przede wszystkim władza, przygotowując podglebie do zamierzonej reformy, stworzyła niezwykle złą atmosferę wokół sędziów i sądów. Miało to zapewne zdezawuować obecnych sędziów, ale przede wszystkim doprowadziło do znacznego obniżenia poczucia zaufania do instytucji, a nie poszczególnych osób. Zdaje się, że rządzący zapomnieli, iż nic innego w miejsce sądów nie zaproponują, a zatem zupełnie ich obrzydzać nie należy. Następnie reforma została przygotowana naprędce. Łamów tygodnika nie wystarczyłoby na tego wykazywanie. Najlepszym dowodem jest jednak liczba kolejnych, następujących po sobie poprawek do Ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, Ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa czy kolejne zmiany do Ustawy o Sądzie Najwyższym. Nowelizacje łatają doraźne problemy i trudności oraz defekty, które powinny zostać przemyślane na poziomie systemowym, a nie być wprowadzane, żeby umożliwić pozbycie się tego czy innego niewygodnego sędziego.

Dlatego też apel Redaktora Semki, aby sędziowie się usunęli i nie kontynuowali „tragikomedii z odchodzeniem", wydaje się zupełnie chybiony. Tę tragikomedię zgotowali politycy przyjmujący nieprzemyślane rozwiązania prawne. Rozwiązania, które zamiast uzdrawiać system, miały – raz jeszcze posłużę się cytatem – „dać szansę na nowe rozdanie". A szkoda, bo – jak widać – nowa władza wyczuła doskonale społeczne oczekiwanie zmian. Tyle tylko, że trzeba było je przekuć na zmiany systemowe, a nie tylko roszady kadrowe. Zmiany, które przyspieszyłyby funkcjonowanie sądów, dały sędziom większą niezależność i odwagę, a także wzmocniły poczucie sprawiedliwości. Może jeszcze nie wszystko stracone.

Marcin Chomiuk

Odpowiedź autora

Z uwagą przeczytałem Pana list, ale nie mogę się z nim zgodzić. Od momentu zmiany politycznej w 2015 r. sędziowie Sądu Najwyższego z prezes Małgorzatą Gersdorf byli przeciwni jakimkolwiek zmianom w systemie sprawiedliwości. Pierwszym momentem, w którym stało się jasne, że na żadne zmiany ich zgody nie będzie, było aktywne włączenie się sędziów SN w spór o Trybunał Konstytucyjny. Pani Gersdorf nie stała się czynnikiem prób mediacji w tym sporze, ale wręcz na odwrót. Podzielam Pana zdanie, też wolałbym, by zmiany były efektem długiej i spokojnej dyskusji fachowców od prawa. W tym wypadku zadziałała jednak źle pojęta mobilizacja korporacyjna. Środowisko prawnicze zostało zdominowane przez ludzi, którzy całkowicie ulegli wybuchowi emocji, które roznieciły partie opozycyjne i część mediów. Zobaczyliśmy absolutną unifikację poglądów, bez pola do dyskusji na jakikolwiek temat. Znacząco rozminęły się nastroje dużej części Polaków i sędziów. W sytuacji ostrego konfliktu politycznego zmiany musiały być wymuszone albo by ich nie było. To niestety pośrednie zwycięstwo zwolenników tego, aby było tak, jak było.

To pokazuje jednak, jak bardzo przeciwna zmienianiu czegokolwiek była większość środowiska prawniczego.

Z poważaniem
Piotr Semka

30 lipca 2018 roku zmarła

Profesor Maria Dzielska

historyk, filolog klasyczny, tłumacz, wybitna badaczka dziejów antyku i wczesnego chrześcijaństwa, wykładowczyni Uniwersytetu Jagiellońskiego, ceniona popularyzatorka nauki, członek Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności i Rady Muzeum Narodowego w Krakowie, wiceprzewodnicząca Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

W latach 80. ubiegłego wieku działała w opozycji demokratycznej.

Uczestniczyła w lucieńskich seminariach naukowych pod patronatem śp. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, należała do Akademickiego Klubu Obywatelskiego jego imienia w Krakowie.

Współtworzyła komitet budowy pomnika Prezydenta Kaczyńskiego oraz monumentu upamiętniającego ofiary katastrofy smoleńskiej.

Była działaczką Związku Podhalan.

Żegnamy niezwykle zasłużoną Uczoną oraz wspaniałego Człowieka, osobę życzliwą i otwartą, pełną energii i charyzmy, inspirującą swoim przywiązaniem do wartości chrześcijańskich i patriotycznych, zaangażowaną w ochronę najgłębszych korzeni naszej kultury.

Jej odejście jest ogromną stratą dla polskiej nauki oraz naszej narodowej wspólnoty.

Wieczny odpoczynek racz Jej dać, Panie!

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzej Duda
Małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Agata Kornhauser-Duda

eprasa.pl 15dc426468

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rafałowi w odpowiedzi

Przez kilka tygodni przymierzałem się do polemiki z Piotrem Semką, który moje uwagi na temat uwarunkowań polityki kraju leżącego między Rosją a Niemcami odrzucił z pryncypialnym stwierdzeniem, że nie może być tak, żeby wyznaczać Polsce rolę wasala albo Rosji, albo Niemiec" – napisał niedawno mój redakcyjny kolega Rafał A. Ziemkiewicz. I dalej: „Poprzymierzałem się i w końcu odpuszczam, stwierdziwszy, że nie jestem w stanie z jego rozumowaniem polemizować. Bo jak? »Nie może być tak« to ulubiony argument naszych romantyków i – powiedzmy sobie szczerze – argument, na który nie ma odpowiedzi – no bo jak »nie może być tak«, skoro »tak« jest? Już nie chodzi mi o ten konkretny spór, to zasada. My się nie godzimy, i nigdy nie zgodzimy, żeby było tak, jak nie może być!".

Odpowiadał też: „W ogóle posługiwanie się taką kategorią, że coś się komu należy, uważam za przejaw zdziecinnienia. Czy bezrobotnemu nie należy się praca? A pracującemu – godziwa pensja, taka, żeby nie zarzynając się harówką ponad siły, mógł utrzymać rodzinę?".

Odpowiadam. To bardzo zła maniera polemizować z karykaturą czyichś poglądów. Z mojego długiego tekstu wyrywa jedno zdanie, sugerując, że głoszę, iż „Polska ma być samodzielna i już".

Nie, nie jestem marzycielem rzucającym efektowne hasło i uważającym, że dalej już wszystko samo się zrobi. Zachęcam jedynie do odrzucenia ponurego założenia – że Polska musi być po stronie Niemiec przeciw Rosji albo z Rosją przeciw Niemcom. Budzi mój sprzeciw uznawanie takiego wyboru za fatalizm, przed którym nie ma odwrotu.

Wolę wzmacnianie siły i podmiotowości Polski mimo błędów obecnej ekipy, mimo amoku totalnej opozycji biegającej do zagranicznych stolic na skargę i mimo niechęci Brukseli do polskich zmian.

Czy to oznacza, że wzmocnienie pozycji naszego kraju nastąpi szybko i łatwo? Oczywiście, że nie. Odrzucanie politycznego przykucia do Berlina lub Moskwy wyznacza jednak pewien kierunek zmian i decyduje o sposobie myślenia o polskiej polityce.

Jest jeszcze jeden powód, dlaczego tak zdecydowanie odrzucam myślenie o opieraniu się na Niemcach przeciw Rosji lub na odwrót. Jest fatalną polską tradycją, że teoretycznie neutralne moralnie hasło politycznego realizmu zawsze przyciąga pewien margines Polaków do służalstwa wobec obcych stolic. O to chyba chodziło w słynnym określeniu „gorszy sort".

Ten nurt nie potrafi psychicznie zmierzyć się z trudnościami losu i instynktownie zgina kark przed obcym. Tak jak pierwszą inicjatywą Małgorzaty Gersdorf po powrocie z rzekomego urlopu było przyjęcie zaproszenia do Karlsruhe, by tam za pieniądze niemieckich podatników opowiadać o łamaniu demokracji w Polsce.

Postulat podmiotowości polskiej polityki wobec dwóch sąsiadów to nie jest postulat łatwy w realizacji. Jeśli nie będzie on jednak dla nas stałym punktem odniesienia, to zaprzaństwa ubranego w kostium realizmu będzie coraz więcej.

Czy to zachowanie dziecka? Nie, to zachowanie kogoś, kto chce być dorosły i unika sparaliżowania strachem. Czy zakończy się to sukcesem? Nie wiem. Zrównywanie tego z politycznym chciejstwem lub ryzykowaniem bytu narodu jest jednak nieuczciwe. ©℗

FOT. FOTOLIA

SĄD NAJWYŻSZY PONAD PRAWEM?

Sąd Najwyższy, który zdecydował o zawieszeniu trzech przepisów ustawy o SN, postawił się poza prawem – ocenił w piątek minister Andrzej Dera. Prezydent nie zamierza się stosować do decyzji SN.

Szefowa Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska też uważa, że Sąd Najwyższy nie ma takich kompetencji. – Chciałbym wierzyć, że decyzja SN dotycząca zawieszenia trzech przepisów ustawy o Sądzie Najwyższym to wyraz nieznajomości prawa, a nie buty prominentnych przedstawicieli środowiska sędziowskiego – oznajmił z kolei rzecznik Ministerstwa Sprawiedliwości Jan Kanthak.

W czwartek rzecznik Sądu Najwyższego Michał Laskowski poinformował, że siedmiu sędziów SN zwróciło się do Trybunału Sprawiedliwości UE z pięcioma pytaniami prejudycjalnymi. Zdecydowali się też zawiesić stosowanie trzech przepisów ustawy o SN. Według SN ta decyzja powinna spowodować, że Krajowa Rada Sądownictwa oraz prezydent do czasu rozstrzygnięcia kwestii zadanych w pytaniach nie będą podejmować czynności w sprawie sędziów, którzy ukończyli 65. rok życia. ***(jap)*** ©℗

CZYTAJ TAKŻE „KOŃCA NIE WIDAĆ" NA STRONIE 10

eprasa.pl 15dc426468

Zmiana Katechizmu w kwestii kary śmierci

Czy to, co jeszcze 50, ba, pięć lat temu było przez Kościół uważane za moralne, może za sprawą jednej wypowiedzi papieża Franciszka stać się niemoralne? Odpowiedź, przynajmniej według urzędników Kongregacji Nauki Wiary, brzmi: oczywiście tak. Skąd taki wniosek? Z najnowszego listu skierowanego do biskupów, w którym KNW nakazuje zmianę zapisów punktu 2267 dotyczącego kary śmierci. Jak dotąd, mimo wprowadzanych w nim zmian, które osłabiały jego znaczenie, zawierał on najpierw całkowicie jednoznaczne, a później nieco słabsze, ale jednak stwierdzenie, że kara śmierci jest – z punktu widzenia całego nauczania Kościoła – dopuszczalna. Od teraz w Katechizmie będziemy czytać, iż „Kościół w świetle Ewangelii naucza, że »kara śmierci jest niedopuszczalna, ponieważ jest zamachem na nienaruszalność i godność osoby«, i z determinacją angażuje się na rzecz jej zniesienia na całym świecie". Jednym słowem, dokonano zmiany tezy A na nie-A, a wszystko pod pozorem rozwoju doktryny.

Ciekawe też, że dla uzasadnienia tej radykalnej zmiany nie posłużono się argumentacją religijną. Jedynym jej uzasadnieniem pozostaje bowiem odniesienie do jednej wypowiedzi jednego papieża, tak się przy tym składa, że jest to Franciszek. Nie ma ani jednego cytatu z Pisma Świętego, żadnego odwołania do ojców czy doktorów Kościoła, nic z Magisterium poprzednich papieży. Jest tylko cytat z Franciszka. Trochę to mało jak na tak radykalną zmianę. Zamiast doktrynalnej i moralnej argumentacji w uzasadnieniu tej zmiany mamy do czynienia z argumentacją społeczną. Kongregacja Nauki Wiary przekonuje, że zmiana dokonuje się, bo lepiej rozpoznajemy godność przestępcy, zmieniła się świadomość społeczna, mamy nowe rozumienie „sensu sankcji karnych" i wreszcie lepsze kary. Nie negując zmian społecznych ani rewolucyjnej przemiany świadomości ludzkiej, trudno uznać je za argumenty na rzecz zmiany prawa naturalnego i nauczania Kościoła. Jeśli się na to zgodzić, to niebawem może się okazać, że… odrzucimy choćby sprzeciw wobec aborcji, bo tak się składa, że w kwestii obrony życia także zmieniła się „świadomość społeczna", a współczesne społeczeństwa chętniej bronią godności przestępców niż nienarodzonych dzieci. Niemożliwe? Oby, ale jeszcze jakiś czas temu niemożliwe wydawały się również zmiany niezmiennej doktryny w sprawie kary śmierci, a to się stało. ©℗

Tomasz P. Terlikowski

RZUSZA NOWY PROGRAM RZĄDU: POWSTAĆ MA 21 NOWYCH MOSTÓW

Samorządy, które będą chciały zbudować przeprawy przez rzeki, dostaną od rządu dofinansowanie – tak zakłada nowy program „Mosty dla Regionów", którego uruchomienie zapowiedział w ubiegłym tygodniu minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński. Władze lokalne mogą liczyć na sfinansowanie 80 proc. kosztów potrzebnych na przygotowanie dokumentacji inwestycji. Rząd zabezpieczył na ten cel 2,3 mld zł. Pieniądze te pochodzić będą z budżetu państwa, a nie z dotacji unijnych. Jest jeden warunek: samorządy muszą przygotować dokumenty dotyczące inwestycji do końca grudnia 2022 r. Nabór wniosków do rządowego programu zaczyna się 16 sierpnia.

Ministerstwo przygotowało już listę 21 priorytetowych przepraw, na które w pierwszej kolejności chce przeznaczyć dofinansowanie. Wśród nich znalazło się pięć przepraw na Wiśle (z tego trzy w okolicach Warszawy: Konstancin-Jeziorna – Otwock, Łomianki – Jabłonna, Czerwińsk – Leoncin; jedna w pobliżu Kozienic oraz jedna w gminach Kazimierz Dolny i Janowiec); pięć przepraw na Warcie (w okolicach miejscowości Przytoczna, w okolicach Konina, w gminach Żerków i Miłosław, na wysokości Brodnicy, pomiędzy Obornikami i Obrzyckiem); cztery na Odrze (pomiędzy gminami Rudnik i Nędza, na wysokości Obornik Śląskich, w okolicach Bełcza Wielkiego, pomiędzy gminami Sulechów i Czerwieńsk); dwie na Bugu (pomiędzy gminami Perlejewo i Jabłonna Lacka, pomiędzy gminami Dąbrówka i Somianka) i po jednym moście na: Narwi, Sanie, Noteci, Pilicy i Elblągu. ***(luz)*** ©℗

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

prof. Marii Dzielskiej

uczonej światowej sławy, profesor nauk humanistycznych, autorki niezrównanych tłumaczeń i dzieł o fundamentalnym znaczeniu dla wiedzy o dziedzictwie europejskiej cywilizacji, osoby zasłużonej w walce o niepodległą i sprawiedliwą Polskę.

To ogromna strata dla polskiej nauki i kultury.

Rodzinie i Bliskim składam najszczersze wyrazy współczucia

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

eprasa.pl 15dc426468

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Końca nie widać

Po rekonwalidacji, derogowaniu i innych temu podobnych mamy teraz do przyswojenia kolejny prawniczy termin: pytanie prejudycjalne. Według Wikipedii jest to instytucja prawa unijnego, mająca zapewnić mu spójność stosowania na całym obszarze Unii Europejskiej. Sąd każdej instancji krajowej może, a sąd najwyższy wręcz musi przed wydaniem wyroku zwrócić się z takim pytaniem o interpretację prawa unijnego, jeśli nie ma co do jego zastosowania pewności. W ten sposób będący adresatem pytania Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej staje się de facto sądem nadnajwyższym, jakkolwiek tylko w zakresie spraw, które są regulowane traktatami wspólnotowymi.

Prawo niekoniecznie się kieruje tą samą logiką, co normalne życie

Czy należy do nich kwestia wieku emerytalnego w krajach członkowskich? Oto bowiem z takim właśnie pytaniem prejudycjalnym zwrócił się właśnie do TSUE nasz Sąd Najwyższy. Nie mam pojęcia. Logika mówi, że ta kwestia nigdy nie była w żaden sposób ujednolicana (Frans Timmermans twierdził jednak, że wymogiem unijnym jest równy wiek dla mężczyzn i kobiet – choć w wielu krajach jest on, tak jak u nas, odmienny), ale prawo niekoniecznie się kieruje tą samą logiką, co normalne życie.

Pytanie dotyczy jednej z rozpatrywanych spraw, do której wyznaczono ongiś sędziów, wedle nowej ustawy będących już w stanie spoczynku – ale, rzecz oczywista, ta konkretna sprawa jest tu pretekstem. Istotą tego ruchu ze strony sędziów SN jest jednoczesne orzeczenie środka zapobiegawczego polegającego na zawieszeniu na trzy miesiące ustawy, która dopiero co weszła w życie. Czy sąd ma prawo zawieszać ustawy dopóty, dopóki TSUE nie rozpatrzy ich kompatybilności z prawem unijnym? Jestem pewien, iż znajdą się prawnicy, którzy stwierdzą, że tak, oraz tacy, którzy stwierdzą wręcz przeciwnie, jedni i drudzy równie utytułowani. Cokolwiek orzeknie za trzy miesiące TSUE, zwolennicy pani Gersdorf będą do tego czasu twierdzić, że na mocy środka zapobiegawczego nadal jest ona prezesem, zwolennicy reformy – że nie.

Jeśli władza liczyła, że prawniczy establishment skapituluje i pogodzi się ze zmianami, to mamy dowód, że w najmniejszym stopniu nic tego nie zapowiada. Ktoś powie, że to tylko trzy miesiące. Ale nie trzeba być prawnikiem, by wiedzieć, że potem będzie można wymyślić jeszcze coś innego. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Ofiary „demokratów”

Gdzie dwóch się bije, tam trzeci… dostaje łomot. Przekonali się o tym funkcjonariusze policji zabezpieczający demonstracje tzw. obrońców demokracji. Najpierw poszarpali ich nadpobudliwi chłopcy w rurkach próbujący wdrapać się na teren sejmowy, później policjantów skrytykowali sympatycy PiS, zarzucając im nadmierną pobłażliwość wobec agresorów.

Trzeci raz policjanci dostali w twarz artykułem jednego z bliskich opozycji portali, w którym to sugerowano, jakoby „setki tajniaków” śledziły (czytaj, rozpracowywały) manifestujących.

Jak mawiał ks. Tischner, jest prawda i gówno prawda. Od lat w Polsce przed zgromadzeniami publicznymi, a i w trakcie zgromadzeń wywiad policyjny „obserwuje” teren całego miasta, by prewencyjnie zapobiegać zagrożeniom. Za czasów PO-PSL w 2013 r. podczas Marszu Niepodległości sztab policyjny wcześniej wiedział, że sqat anarchistów zostanie zaatakowany przez część uczestników marszu, jednak miast przeciwdziałać zagrożeniu, wycofano funkcjonariuszy – w efekcie czego doszło do eskalacji konfliktu, a to później dało asumpt rządzącym, by sprzedać zadymę w antyprawicowym kontekście.

Lipcowa akcja policji wobec „demokratów” wynikała nie – jak sugerowano – z działań operacyjnych, bo wtedy można by mówić o rozpracowywaniu – lecz z czynności administracyjno-porządkowych. Wywiad policyjny jest strukturą prewencji, zadania operacyjno-rozpoznawcze to zaś działka wydziału kryminalnego, który w sprawę zabezpieczenia demonstracji zaangażowany nie był.

Dla medialnych sympatyków totalsów fakty większego znaczenia nie mają, zgodnie z doktryną Goebbelsa: „Propaganda ma niewiele wspólnego z obiektywizmem i jeszcze mniej z prawdą”. ©℗

eprasa.pl 15dc426468

Morawiecki zwiększa pomoc dla powstańców

Fundusz dla żyjących powstańców, żołnierzy AK oraz „żołnierzy, którzy walczyli o naszą wolność” zostanie zwiększony o 100 proc. – zapowiedział szef rządu Mateusz Morawiecki.

– Narody, które tracą pamięć, tracą życie. Pamiętajmy o naszej historii, o naszych Bohaterach – podkreślał pod Murem Pamięci Muzeum Powstania Warszawskiego premier Morawiecki, który obiecał również doprowadzenie do zmiany prawa w sprawie grobów bohaterów. – Podjąłem decyzję, by zmienić regulację ustawy w taki sposób, aby dokonać pełnej inwentaryzacji wszystkich grobów i z czasów II apokalipsy i z XIX w. – zapowiedział szef rządu. Podczas obchodów 74. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, Mateusz Morawiecki podkreślał, że powstańcy „to bohaterowie nie tylko Polski, ale też świata”.

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Jak zauważył, powstańcy walczyli w sposób, który dzisiaj trudno nam sobie nawet uświadomić. – To była walka z największym barbarzyństwem. W Warszawę kły wbiła bestia, która była wyrazem nieludzkiej siły, próbującej zniszczyć doszczętnie Polskę – podkreślił premier. ©℗ *(jap)*

REKLAMA

eprasa.pl 15dc426468

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Miara upadku AI

W serii dowcipów o zajączku i misiu zajączek ma niezmienny modus operandi: robi coś, o czym wiadomo, że spotka się z ostrą reakcją niedźwiedzia, po czym jest niezmiernie zaskoczony, kiedy dostaje ciężką niedźwiedzią łapą po łbie. Ten sam sposób działania praktykują różne lewackie agendy. Jedną z nich jest Amnesty International, w Polsce kierowana przez Draginję Nadażdin.

Rozwój sytuacji wokół Amnesty International w Polsce właściwie powinien cieszyć, bo skończyła się ostatecznie gra pozorów

Dawna AI, z czasów, gdy upominała się o prawa więźniów politycznych w Polsce, już nie istnieje. Dzisiejsza AI w ramach swojego dorocznego maratonu pisania listów zachęca do upominania się o prawa norweskiego transwestyty, którego norweskie urzędy nie chcą uznać za kobietę bez operacji zmiany płci. To miara upadku tej organizacji.

W ciągu ostatnich lat AI w Polsce zrezygnowała już nawet z pozorów braku politycznego zaangażowania. W 2016 r. Robert Mazurek przeprowadził z panią Nadażdin jeden ze swoich słynnych wywiadów, w którego trakcie szefowa polskiego oddziału Amnesty została dosłownie rozwalcowana. Po tamtej rozmowie jej wiarygodność nie spadła nawet do zera – ona spadła w okolice zera absolutnego.

Dzisiaj polska AI angażuje się bez reszty w ostry polityczny spór o sądy, co chwila atakując rząd, policję, ministra spraw wewnętrznych. A kiedy następuje reakcja, jakiej można się było spodziewać – głównie w Internecie – AI i jej sprzymierzeńcy podnoszą larum: olaboga, olaboga, rasizm, panie, rasizm i ksenofobia wobec pani Nadażdin! (zarzut rasizmu jest swoją drogą pocieszny, bo Draginja Nadażdin, Serbka, należy do rasy białej, tak samo jak Polacy).

Skąd my to znamy? Skrytykuj przyjmowanie imigrantów, a okaże się, że chcesz ich zamykać w obozach koncentracyjnych i mordować. Skrytykuj asertywność środowisk homoseksualnych, a okaże się, że najchętniej nasłałbyś na homoseksualistów jakichś faszystowskich bojówkarzy. I tak dalej, i tak dalej.

Rozwój sytuacji wokół Amnesty International w Polsce właściwie powinien cieszyć, bo skończyła się ostatecznie gra pozorów. AI nie jest ponadpolityczną organizacją, która tak samo upomni się o Alfiego Evansa czy kibiców za czasów PO jak o antyrządowych demonstrantów teraz. Nie, to po prostu skrajnie lewicowa struktura, która oficjalnie zaangażowała się w polityczną walkę z władzą. I tak należy ją traktować. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Gaz, gaz, gaz na ulicach

Prezydent podpisał niedawno kolejny pakiet ustaw sądowych, a opozycja kolejny raz wyszła na ulice. Czyli przepis na dramat gotowy. Tym razem w roli głównej, podobnie jak podczas ciamajdanu – gaz. „Używając gazu wobec spokojnych ludzi, weszliście w buty Milicji Obywatelskiej. Wstyd, brak profesjonalizmu. Nie używajcie nazwy policja, przestaliście nią być" – stwierdził Andrzej Halicki. A do tego, żeby napisać, że chwilę wcześniej „spokojni ludzie" z okrzykami „Wy....ć!" prawie zlinczowali policjantów, chyba zabrakło znaków w tweecie.

Nie czas jednak na śmiech, bo sytuacja była poważna. „Policja używa gazu pieprzowego wobec uczestników pokojowej manifestacji. Robi to w bezpośredniej obecności senatora Bogdana Klicha i posła interweniującego w interesie społecznym. Choć miotacz nie był skierowany w naszą stronę, odczuwam od wczoraj dyskomfort szczypiących oczu" – żalił się Michał Szczerba.

Dyskomfort odczuwali nie tylko politycy. „Jedno z najbardziej dramatycznych zdjęć w tym roku – dziennikarz Jacek Rakowiecki po ataku gazowym policjanta" – relacjonował Paweł Wimmer z frontu pod Verdun – przepraszam, z Krakowskiego Przedmieścia.

„Kilka dni temu policjanci bez imienników wyciągnęli protestujących z tłumu i ich pobili. Dzisiaj spryskali protestujących gazem. Co zrobią jutro? Czy mamy się spodziewać, Joachimie Brudziński, jakiegoś odpowiednika »nocy długich noży«? Kurski z TVP już naśladuje Goebbelsa" – rzucił z kolei erudyta historyczny Piotr Misiło. Odważnie jak na kogoś, kogo kilka miesięcy temu widziałem na bankiecie zagranicznej konferencji, paradującego w koszulce hokejowej reprezentacji ZSRS. Totalitaryzm totalitaryzmowi nierówny?

A może to ja przesadzam i faktycznie w PiS-owskiej Polsce nie da się już normalnie żyć? „Hołdys: »Ja ze swoją rodziną rozmawiam przez szyfrowane komunikatory«. I o tym, że jak jeździ do TVN, to śledzi go samochód i zajeżdża mu drogę. Studium przypadku. Ciężkiego" – napisał Piotr Lis, relacjonując występ muzyka w „Faktach po Faktach". Jakub Szymczuk z Pałacu Prezydenckiego skomentował wszystko bez słów, ale za to za pomocą dwóch emotikonów. Pierwszy w niedowierzaniu otwiera oczy i wygląda jak uśmiechnięty klaun. I chyba tak z tym państwa zostawię. ©℗

eprasa.pl 15dc426468

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

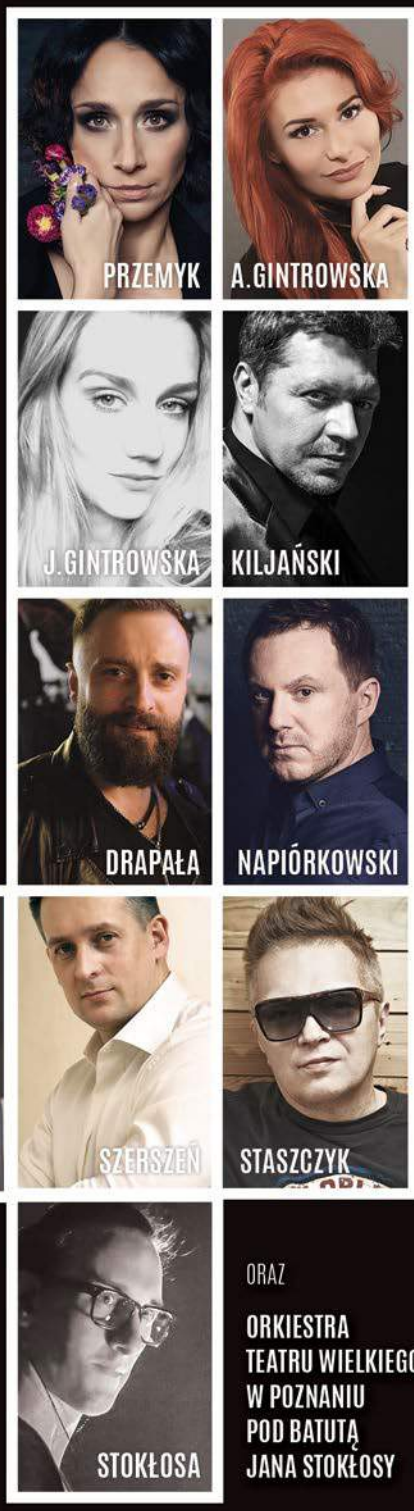

ORAZ

ORKIESTRA TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ
GODZ. 20.00

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS KONCERTU

Enea

PARTNER

LOTTO

WSPÓŁORGANIZATOR

PMPG POLSKIE MEDIA SA

PATRONI MEDIALNI

wprost | Do Rzeczy | TVP | GŁOS WIELKOPOLSKI

eprasa.pl 15dc426468

CZY SINICE WRESZCIE ODPUSZCZĄ?

Wyglądają niczym plamy oleju unoszące się na wodzie. I uwielbiają piękną słoneczną pogodę, która ułatwia im namnażanie. Atak sinic nad polskim morzem w rejonie Zatoki Puckiej – tak intensywnych wykwitów sinic naukowcy nie obserwowali aż od 12 lat – sprawił, że sanepid zamknął wiele kąpielisk.

Cyjanobakterie to bowiem organizmy, które wytwarzają groźne dla zdrowia toksyny sinicowe. Kontakt z nimi może wywołać: dolegliwości skórne, bóle brzucha, biegunkę, gorączkę, dreszcze, bóle mięśni, zawroty głowy, a nawet prowadzić do uszkodzenia wątroby czy nerek.

Z powodu zielonej „kołdry" na wodzie (na zdjęciu przepływająca przez Gdańsk Motława) w najgorszym momencie czerwona flaga powiewała na ponad 50 plażach polskiego wybrzeża. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", nieczynne były już tylko dwa kąpieliska nad Bałtykiem: w Gdyni-Orłowie i Białogórze. Sinice nadal występują jednak w niektórych jeziorach w różnych regionach Polski. ©℗ ***(jap)***

FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

FOT. PAWEŁ GRONADA

CHCEMY WIĘCEJ

FOT. PIOTR BLAWICKI/DDTVN/EAST NEWS

Odbyła się kolejna rozprawa sądowa Kaza i Isabel Marcinkiewiczów. Niestety, ku rozpaczy Isabel, która walczy o zaległe alimenty i podział majątku, niewiele z niej wynikło. „Pan Kazimierz Marcinkiewicz wniósł nowe dowody, zbędne w sprawie, aby ją przeciągnąć" – powiedziała portalowi Pudelek.pl Isabel. – Niestety, nie ustalono kwoty alimentów ani kwestii spłaty należności z tytułu podziału majątku – mieszkania, nie wywiązuje się ani z alimentów, ani z tytułu podziału majątku, to znaczy zwrotu mojego wkładu w mieszkanie. Przejął mieszkanie i umył ręce, uchyla się od komornika, ukrywa dochody, biegli lekarze potwierdzili moją niepełnosprawność, to jest niedowład całej kończyny górnej z przeczulicą oraz depresję" – żali się ekszona ekspremiera. Kolejna rozprawa odbędzie się w październiku. „Sąd zaznaczył, że chce wówczas zakończyć sprawę" – cieszy się Isabel. Stanowczo protestujemy! Nie można kończyć telenoweli w momencie, gdy cała akcja właśnie się rozkręca!

ŻADNEJ CHIŃSZCZYZNY!

Trenerka wszystkich Polaków, czyli Ewa Chodakowska, wypuściła jakiś czas temu własną markę ubrań, a konkretnie kolekcję strojów kąpielowych. Od początku były z tym związane jakieś kontrowersje, że coś zmałpowała od jakiejś innej celebrytki, ale kto by się w tym wszystkim połapał. W każdym razie fanki Ewy się skarżą, że jej stroje kąpielowe są za drogie. Za kostium trzeba zapłacić – jak czytamy na plotkarskich portalach – od 495 do nawet 655 zł! Nic dziwnego, że na jej Instagramie pojawiły się komentarze, iż Ewa „odleciała". Celebrytka postanowiła nie zostawiać ich bez odpowiedzi. „A może Ty odleciałaś, myśląc, że wszystko musi być produkowane w Chinach za miskę ryżu i kosztować 10 zł – odpisała na zarzut jednej z fanek. – Ja nie robię chińszczyzny i nie zamierzam dokładać do interesu, to nie jest produkt masowy, nie wszystko musi być masowe, proszę się z tym pogodzić!" – stwierdziła. I dodała: „Tyle kosztuje, bo tyle jest wart. Kto chce kupić, ten będzie nosił" – zakończyła. A jeśli ktoś uważa inaczej, to znaczy, że nie jest wart, by nosić. Bardzo nam miło, że należymy do tej zacnej większości społeczeństwa!

ZĘBY GWIAZDY

Aktorka Joanna Moro wciąż czuje się niespełniona. Od czasu, gdy zyskała popularność rolą Anny German, nie ma dla niej równie dobrych ról. Przynajmniej ona sama tak uważa. Podobno starała się o angaż do filmu Wojciecha Smarzowskiego, ale nie dostała tej roli z powodu... swojej urody! „Tak mi ostatnio powiedział – żali się Moro w rozmowie z magazynem »Show«. – A ja uważam, że nie jestem klasycznie ładna. Jako dziecko byłam brzydkim kaczątkiem, potem, owszem, zostałam modelką w Wilnie, ale modelkami też nie zostają piękności. Nie jestem przedstawiana w mediach jako wzór piękności, nigdy się za taką nie uważałam. Gdy patrzę czasem w lustro, widzę, że bywam wręcz nieładna. Bo choć na czerwonym dywanie, w pięknej sukni, fryzurze i makijażu wyglądam dobrze, to codzienność bywa inna. Na wypadek, gdyby jednak Smarzowski zmienił zdanie, nigdy nie wybieliłam sobie zębów, bo u niego muszą być brzydkie" – mówi. Panie Wojciechu, pan się zlituje, zanim Joanna zacznie zdradzać inne sekrety swojej urody!

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

SZPIEG EDZIA

Edyta Górniak ma nowego chłopaka. To o 11 lat młodszy od Edzi Mateusz Zalewski, przedstawiany jako rajdowiec i hotelarz. Podobno Mateusz od zawsze był fanem Edyty, więc gdy tylko się poznali, zaczął jej okazywać swoje zainteresowanie. Edyta uległa i mamy nową miłość w show-biznesie.

Szybko jednak pojawił się problem. Edyta chciała wyjechać, jak co roku, na urlop do Tajlandii. Sama. Co jednak zrobić z Mateuszem, któremu z tęsknoty mogą głupie pomysły przyjść do głowy? Edzia myślała, myślała i wymyśliła! Postanowiła w tajemnicy z oddali szpiegować swojego chłopaka.

„Edyta chce sprawdzić Mateusza. Kocha go i ufa mu, ale wychodzi z założenia, że kilka testów prawdomówności nie zaszkodzi. Na przykład, czy Mateusz nie imprezuje po nocach, kiedy wcześniej mówi jej wieczorem, że idzie do łóżka. Edycie pomaga kilka zaufanych osób z grona wspólnych znajomych" – zdradza znajomy artystki. W „Fakcie". Ogólnopolskim tabloidzie. To się dopiero nazywa konspiracja! ©℗

eprasa.pl 15dc426468

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wam mija czas we własnym państwie podziemnym? Musimy się przyznać, iż u nas dość słabo. Próbowaliśmy stworzyć samowystarczalną strukturę, która zajmowałaby się też wytwórstwem, handlem, może na niewielką skalę przemysłem i rolnictwem, ale okazało się, że jedyne, co umiemy, to pisanie postów na Fejsie, kopiowanie artykułów z Wikipedii i produkowanie fejk niusów za 5 zł od sztuki :(Tak więc wygląda na to, iż musimy się jakoś przeorganizować. Poza tym nie wychodzi nam zrzucanie ulotek z dachów budynków, iż mamy lęk wysokości, a poza tym ręczne wypisanie setki kartek jest zbyt męczące, wiecie – państwo podziemne brzmi OK, ale nie jest powiedziane, iż trzeba się przy tym namęczyć, prawda?

Dręczy nas pytanie, czy możliwa jest podziemna emigracja, najchętniej wewnętrzna

Wznosiliśmy też czasem okrzyki podczas akcji dywersyjnych. Na przykład wychodziliśmy na miasto i w tłumie pod kościołem krzyczeliśmy o demokracji, konstytucji, swobodach obywatelskich i wolnych sądach. Jednak krzyczeliśmy w sobie, wewnątrz, uznając, iż akt oporu pochodzi przede wszystkim od nas i ma służyć nam, utwierdzając nas w poczuciu słusznie realizowanego obowiązku, a zewnętrznemu Podkarpaciu w sumie to nic do tego.

Wogóle, kochani, to mamy problem. Jak pamiętacie, zapowiadaliśmy, iż po zwycięstwie sił fashystoffskich wyjeżdżamy z tego kraju na emigrację. Teraz z kolei nasze autorytety wzywają do tworzenia struktur podziemnych. Dręczy więc nas pytanie, czy możliwa jest podziemna emigracja, najchętniej wewnętrzna? Moglibyśmy wówczas jednocześnie żyć w oporze przeciw władzy, wyobrażać sobie, iż jesteśmy na Zachodzie, a jednocześnie to wszystko rozgrywałoby się w naszych głowach. Z drugiej strony obawiamy się, iż przy takim trybie życia szybko okazałoby się, iż Kurski co noc ustawia nam TVP Info na wszystkich kanałach telewizji, Macierewicz z Błaszczakiem w długich, skórzanych płaszczach przegoniliby wszystkie dzieci i sami huśtaliby się na huśtawce na naszym zamkniętym strzeżonym osiedlu, a Morawiecki wymyślałby co chwila nowe podatki...

Po zakończeniu mundialu z zainteresowaniem śledzimy dekonstrukcję piłki nożnej w wykonaniu polskich zespołów klubowych. Wydaje nam się, iż przydałby się im jakiś unijny program wyrównywania szans.

Nasze zespoły bowiem tak się zapatrzyły w maksymę, iż liczy się sam udział, że w europejskich pucharach bohatersko wystawiają się na odstrzał kolejnym potęgom z Armenii, Białorusi, ze Słowacji czy z Mołdawii. I chociaż czasami jeszcze wybudza się w nich duch polskiej wyższości, to jednak brak umiejętności skutecznie go niweluje, dzięki czemu obserwujemy wiele wyrównanych pojedynków.

Szczególne słowa uznania należy skierować pod adresem Legii Warszawa, mistrza tego kraju, która pokazała, iż pęd za pieniędzmi i sławą w Lidze Mistrzów można zakończyć już na wczesnym etapie kwalifikacji. To piękny przykład dla naszych pozostałych drużyn: ważne jest, że macie hobby, czas i zdrowie, iżby móc je realizować! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 15dc426468

Sezon ogórkowy. Przyłączamy się. Na przykład taka ciekawa wiadomość: poprzednie rekordowo gorące lato mieliśmy w roku 2006, w samym środku ery Pierwszego PiS-u. Przypadek?

Skoro sezon ogórkowy, to tematy mało poważne. Zaczniemy od Parlamentu Europejskiego. Na Nowogrodzkiej ścierają się dwie koncepcje, co zrobić z tymi wszystkimi europosłami, gdy już PiS będzie miał ich w Strasburgu mnóstwo. Plan A zakłada budowę nowej, wielkiej frakcji eurorealistów. Plan B – utrzymanie frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów już bez Brytyjczyków, ale z nowymi eurosceptykami, pod jednym warunkiem: że wyrzekną się Putina Władimira Władimirowicza. Kaczor Dyktator ma jednak inny plan. On chciałby PiS w Europejskiej Partii Ludowej.

Koronny argument za wejściem do Europejskiej Partii Ludowej jest oczywisty – da to rządowi premiera Mateusza parasol ochronny w Strasburgu. Nas jednak interesuje coś zupełnie innego. Zastanawiamy się nad tym, jak cudnie odnajdywaliby się w jednej frakcji europarlamentarnej z politykami Peło tak wielcy miłośnicy wskrzeszonego PO-PiS-u jak europosłanka Beata Szydło albo europoseł Antoni Macierewicz. Tak, też słyszeliśmy, że Krwawy Antoni ma iść w europosły. I dodajemy – coś jest na rzeczy.

Sezon ogórkowy. Ciąg dalszy tematów mało poważnych. Czyli na przykład referendum prezydenta Andrzeja Sebastiana. Zauważyliście, że już nikt nie pamięta, że coś takiego w ogóle rozpatrywano? Nawet pyton płynący Wisłą budzi większe zainteresowanie. Ba, nawet wylinka tego pytona.

Najsmutniejsze jest to, że wszyscy zapomnieli o czym innym – to już drugie uwalone referendum prezydenta Andrzeja Sebastiana. Pierwsze chciał rozpisać jeszcze w roku 2015, ale siły reżimu Peło nie zezwoliły naonczas na pytanie Polaków o sześciolatki w szkołach, obniżenie wieku emerytalnego i ochronę lasów. Współczujemy Andrzejowi Sebastianowi. Okazuje się, że w sprawach referendalnych nikt go nie lubi: ani Peło, ani PiS. Całkiem jakby był jakimś Kukizem albo Kają Godek.

Tymczasem w sądach. Wszyscy (to znaczy „GazWyb") się ekscytują tym, co tam sobie gersdorfile w Sądzie Najwyższym ogłaszają na różne tematy, nas jednak ciekawi to, co niżej. Tak się bowiem składa, że z różnych źródeł dotarły do nas opowieści o strajku włoskim sięgającym nawet sądów rejonowych. Sędziowie prowadzący wojnę z ZiZou Ziobrą odwalają masowo wszystkie wnioski petentów o przyspieszenie czegokolwiek i pilnują, żeby wszelkie możliwe decyzje wydawać w ostatnim dniu obowiązujących terminów. Tak sobie myślimy, że to temat dla prawdziwych dziennikarzy. Dzisiaj jednak prawdziwi dziennikarze wolą pisać, że reforma PiS popsuła sądy. Cóż, w takim razie cieszymy się, że nie jesteśmy prawdziwymi dziennikarzami.

Strajk włoski sędziów z uwagą obserwuje Ministerstwo Sprawiedliwości, które szykuje przeciw maruderom straszną broń: Wielką Analizę. Wielka Analiza będzie dotyczyła różnych nieśpiesznych sądów, w szczególności takich, w których nic się nie zmieniło personalnie oraz z liczbą spraw. Tyle tylko, że nagle stały się trzy razy wolniejsze. A po Wielkiej Analizie sami wiecie, co może nadejść. No i nadejdzie, oczywiście.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Czekamy niecierpliwie na 8 sierpnia, kiedy to Kazimierz Budyń Ujazdowski ma ogłosić, czy wciąż kandyduje na prezydenta Wrocławia

Źli ludzie opowiadają, że prezes TVP Jacek Kura-Kurski spóźnił się na własny ślub. Nie bardzo. Troszeczkę. Ale jednak. Nie wspominamy o tym, by szydzić, lecz aby pokiwać głową ze zrozumieniem. Uważamy nawet, że to powinno być hasło wyborcze PiS. „Najpierw Polska. Miłość – potem".

Źli ludzie żyją też w Nowoczesnej Kropce (co nas nie dziwi) i mają nawet poczucie humoru (co nas dziwi). Opowiadają sobie w klubie poselskim następującą facecję podsumowującą powstanie nowego koła poselskiego Ryśka, czyli Liberalno-Społecznych: „To nie koło, to trójkąt". True story.

Sprostowanie. Niniejszym informujemy, że Piotr Gorzelski z Peezelu występujący w poprzednim wydaniu naszej rubryki to tak naprawdę Piotr Zgorzelski. Tak, chodzi o tego, który kupił sobie czytnik e-booków, ale nie z naszymi książkami. Wybaczamy i prosimy o wybaczenie.

Co ciekawe, w swym SMS protestacyjnym Piotr Zgorzelski stwierdził, że „nawet ten Peezel można przełknąć", więc niniejszym odnotowujemy, iż będziemy tak zwać naszych zielonych braci już całkiem oficjalnie. Co do przekonania, że był to debiut Zgorzelskiego w naszej rubryce, pan poseł jest w mylnym błędzie. Zadebiutował jesienią roku 2015, kiedy to ogłosiliśmy go „Pawłem Kowalem Peezelu". Dlaczego? Bo Kowal pisze o historii do „Polityki", a Zgorzelski pisał wtedy o historii do „Wprost".

Wszyscy zapomnieli o czym innym – to już drugie uwalone referendum prezydenta Andrzeja Sebastiana

eprasa.pl 15dc426468

Zostajemy na chwilę przy ludziach, którym kiedyś przekręciliśmy w rubryce nazwisko, a czasem nawet imię. Najważniejszy jest wśród nich Mariusz-Orion Jędrysek. Największy geolog wśród poetów i największy poeta wśród geologów. Odkryliśmy – hurra! – że mimo przejścia z opozycji do władzy nie porzucił swej działalności rymotwórczej. Dowodem część siódma wydawanego własnym nakładem cyklu utworów zebranych. Tom „Polski kontynent Polski" składa się z trzech części: „Życie", „Władza" i „Fale grawitacyjne". Różni się od poprzednich tym, że kiedyś wieszcz Orion krytykował władzę. Teraz opozycję.

Oczywiście musimy zacytować jakiś utwór wieszcza Oriona. Ze względu na aktualność wybraliśmy taki:

Trzeba sądy oczyścić, oczyścić do kości,
Bo cóż jest prawo warte bez sprawiedliwości

Choć przyznajemy szczerze, że bardziej zainteresowała nas seria utworów o roli wazeliny w polityce, w których to utworach pojawiało się w różnych kontekstach słowo „zwieracz". Tych jednak na razie postanowiliśmy nie cytować.

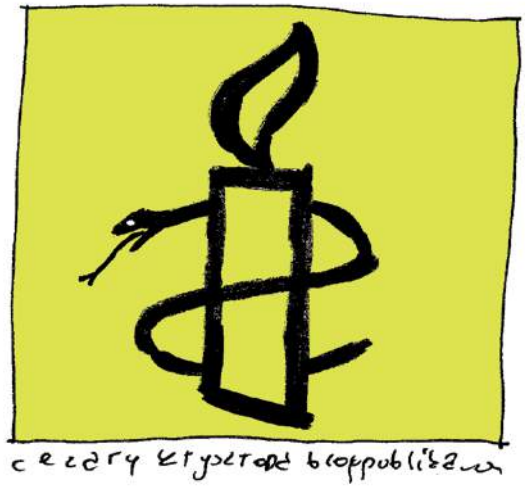

Wracając do zielonych braci z Peezelu. Martwi ich nowa ordynacja do europarlamentu. Nie dlatego, że podniosła progi, ale dlatego, że jak nam wyznał pewien ważny peezelowiec (nie, nie Zgorzelski), szykuje się wymuszanko. Będzie polegało na tym, że PeŁo i Nowoczesna Kropka będą chciały na eurowybory wymusić szerszą koalicję (niby z powodu ordynacji), a jeśli się powiedzie, to powtórzyć ją w wyborach krajowych. Tak się tymczasem składa, że Peezelowi wcale się do takiej koalicji nie śpieszy. Zresztą czerwonym braciom też.

Uwaga, zakładamy nowy ruch: #MuremZaBudyniem. Czekamy bowiem niecierpliwie na 8 sierpnia, kiedy to Kazimierz Budyń Ujazdowski ma ogłosić, czy wciąż kandyduje na prezydenta Wrocławia. Przypomnijmy: człowiek, który po trzykroć zdradził Kaczora Dyktatora, został teraz w nagrodę zdradzony przez Schetynę. Czyż zdradzenie Schetyny nie jest w tym kontekście jedynym naturalnym wyjściem? W imię konserwatyzmu, konstytucji, demokracji i w ogóle w imię zasad – Kazek, musisz!

Na koniec akt niewiary. Niestety, nie wierzymy Zbigniewowi Hołdysowi. Chodzi o jego opowieść, jak to jest podsłuchiwany przez siepaczy dyktatury PiS i musi się z rodziną porozumiewać przez szyfrowany komunikator. Widzicie, szyfrowanie działa tak: zwykłą mowę zamienia w nieczytelny bełkot. Tymczasem mowa Hołdysa już na wejściu jest bełkotem. Po co ją więc szyfrować? ©℗

REKLAMA

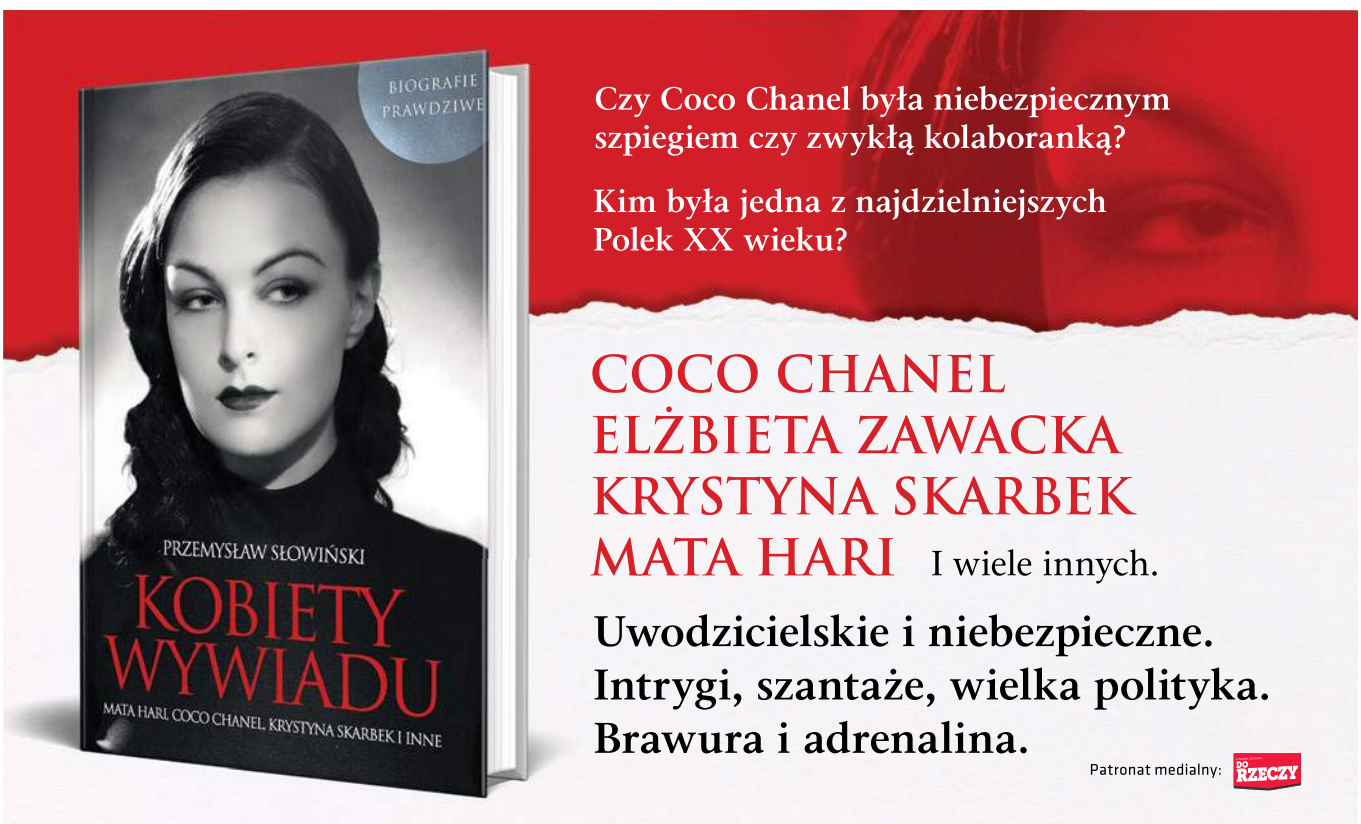

eprasa.pl 15dc426468

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 15dc426468

Łukasz Warzecha

Klaps z ideologią

Odebranie rodzicom władzy nad dziećmi pod pozorem ochrony maluchów przed rzekomą przemocą. Tym jest w istocie zmiana Kodeksu rodzinnego zaproponowana przez rzecznika praw dziecka – Marka Michalaka

Karanie rodziców za dawanie swoim dzieciom klapsów to jeden z żelaznych punktów lewicowej agendy. W istocie nie chodzi tu jednak tylko o klapsy, ale o rozmontowanie tradycyjnego modelu władzy rodzicielskiej.

„Klaps jako imperatyw kategoryczny" – tak zatytułowany był tekst prof. Zbigniewa Stawrowskiego, wybitnego filozofa, opublikowany w „Rzeczpospolitej" niemal dwa lata temu. Histeryczna reakcja lewicy na postawione w nim tezy dowiodła – kolejny raz – rzeczy oczywistej: że spór o klapsy, a szerzej: o wymiar władzy rodzicielskiej nie jest neutralny ideologicznie, ale przeciwnie – jest jedną z fundamentalnych osi sporu pomiędzy konserwatystami a postępowcami, a może nawet postępakami. Ci ostatni (nie będąc prawdopodobnie nawet w stanie zrozumieć argumentacji Stawrowskiego, opartej na kantowskiej koncepcji imperatywu kategorycznego) używali wobec autora określeń takich jak „człowiek posługujący się tytułem profesora" – tak o prof. Stawrowskim napisał autor tekstu w serwisie MamaDu.pl, należącym do grupy naTemat. Profesorem w pełnym tego słowa znaczeniu może być bowiem tylko – jak wiadomo – ktoś o poglądach Magdaleny Środy.

MANIPULACJA PODSTAWOWA

Rozbierając lewicową narrację w sprawie władzy rodzicielskiej na czynniki pierwsze, trzeba najpierw przeanalizować podstawową manipulację dotyczącą samych klapsów. Polega ona na postawieniu na jednym poziomie systematycznego maltretowania i upokarzania dziecka z często błahych powodów z okazjonalnym, a nawet bardzo sporadycznym stosowaniem symbolicznych kar cielesnych – bo taką karą jest klaps. Tam, gdzie lewica stara się zniweczyć tradycyjne wartości, to metoda nienowa. Na tej samej zasadzie każde zakwestionowanie nawet najdalej idących postulatów środowisk homoseksualnych ma być wstępem do masowych pogromów homoseksualistów, a każdy sprzeciw wobec bezkrytycznego przyjmowania imigrantów – wstępem do stworzenia dla nich obozów koncentracyjnych.

Obrońcy zakazu stosowania kar cielesnych powtarzają pytanie: gdzie w takim razie kończy się akceptowalny klaps, a zaczyna się nieakceptowalne dręczenie dziecka? Po czym sami sobie odpowiadają: nie ma takiej wyraźnej granicy, zatem najlepiej zakazać jakiejkolwiek fizycznej ingerencji. To rozumowanie, pozornie poprawne, eliminuje jednak z równania czynnik nieodzowny w układaniu normalnego życia społecznego: zdrowy rozsądek. Zdrowy rozsądek jest założeniem stanowiącym podstawę większości z konieczności ogólnych norm prawnych, a także obyczajowych, nieformalnych. Zakładają go twórcy przepisów prawa, wierząc, że przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości będą w stanie dzięki niemu odróżnić od siebie zdarzenia z różnych kategorii, których nie da się przecież enumeratywnie wypisać w kodeksach. Gdy następuje rezygnacja ze zdrowego rozsądku, pojawiają się absurdy w rodzaju akcji „MeToo", której efektem końcowym (?) są reguły, takie jak wprowadzany przez Netflix zakaz przyglądania się sobie przez aktorów na planie dłużej niż przez dziesięć sekund. 11 sekund może być już zakwalifikowane jako molestowanie.

Gdyby zdrowy rozsądek wyeliminować z codziennego życia, trzeba by również założyć na przykład, że nie istnieje bezpieczna prędkość samochodu, bo przecież nawet auto sunące 5 km/godz. może w niesprzyjających okolicznościach kogoś zabić. A zatem – trzeba całkowicie zlikwidować ruch drogowy. Dla lewicy charakterystyczne jest przekonanie, że niczego nie można pozostawić w sferze przychodzących w sposób naturalny interpretacji, ale wszystko skatalogować, opisać i poddać rygorowi prawnemu.

W sprawie kar cielesnych zdrowy rozsądek zlikwidowano, uznając, że nikt – ani policja, ani prokurator, ani sędzia, ani pracownicy opieki społecznej, ani postronni obserwatorzy, ani wreszcie sami rodzice – nie będą w stanie odróżnić tego, co jest symboliczną karą cielesną, od tego, co jest maltretowaniem czy też – jak to lewica lubi sprytnie ujmować – „biciem" dzieci. Samo słowo „bicie" jest już subtelną manipulacją, sugeruje bowiem

eprasa.pl 15dc426468

długotrwałe zadawanie bólu dla samej sadystycznej przyjemności.

Gdy zatem lewica pyta: gdzie znajduje się granica pomiędzy sadyzmem a klapsem – wypada odpowiedzieć: tę granicę dostrzeże każdy, kto wyposażony jest w zdrowy rozsądek w stopniu przeciętnym. A już z pewnością dostrzec ją mogą ludzie, których zadaniem jest walczyć z łamaniem prawa.

POPRAWNOŚĆ NIEDOKONANA

W Polsce za czasów Platformy Obywatelskiej poprawność polityczna pozornie wzięła w tej sprawie górę. Do Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego wpisano w 2010 r. zakaz stosowania kar cielesnych. Polska dołączyła do bardziej postępowej części naszego kontynentu, bo o ile stosowanie kar cielesnych w szkole jest zakazane prawie w całej Europie, o tyle już zakaz obejmujący również wymierzanie takich kar przez rodziców obowiązuje jedynie w części z nich. Nie ma go m.in. we Włoszech, w Wielkiej Brytanii, Czechach, na Słowacji i we Francji. Nie trzeba dodawać, że nie wprowadził go również żaden amerykański stan.

USA nie ratyfikowały zresztą przyjętej przez Zgromadzenie Ogólne NZ w 1989 r. – i ratyfikowanej również przez Polskę – Konwencji o prawach dziecka. Wbrew temu, co twierdzą niektórzy, nie zawiera ona jednak zakazu stosowania kar cielesnych. Mówi jedynie w swoim artykule 19: „Państwa-Strony będą podejmowały wszelkie właściwe kroki w dziedzinie ustawodawczej, administracyjnej, społecznej oraz wychowawczej dla ochrony dziecka przed wszelkimi formami przemocy fizycznej bądź psychicznej, krzywdy lub zaniedbania bądź złego traktowania lub wyzysku, w tym wykorzystywania w celach seksualnych, dzieci pozostających pod opieką rodzica(ów), opiekuna(ów) prawnego(ych) lub innej osoby sprawującej opiekę nad dzieckiem".

W Polsce poprawność polityczna wzięła zatem górę, ale – jako się rzekło – pozornie. Nie jest bowiem prawdziwe twierdzenie, że wprowadzony w 2010 r. przepis oznacza, iż łamie prawo każdy, kto klepnie swoje dziecko w pupę. Sądy, jeżeli w ogóle takie przypadki do nich trafiały, na ogół orzekały łagodnie, co jeszcze w 2015 r. niepomiernie oburzało Marka Michalaka, wkrótce ustępującego (na szczęście) rzecznika praw dziecka. Tymczasem, jak wyjaśniali prawnicy, sądy uznawały istnienie tak zwanego pozaustawowego kontratypu karcenia dzieci. Mówiąc prościej – sędziowie wychodzili z założenia, że taka kara jest dopuszczalna, o ile jest wymierzana w granicach normalnego sprawowania władzy rodzicielskiej, i o ile wynika z konieczności wyegzekwowania tej władzy – choć nie jest to zapisane w ustawie. W tych przypadkach zatem sędziowie wykazywali się właśnie zdrowym rozsądkiem, a nie tępym politpoprawnym doktrynerstwem, którego domagał się Michalak – zresztą postać w tej opowieści zdecydowanie negatywna. W gruncie rzeczy zatem obecny stan prawny – gdy wziąć pod uwagę praktykę sądów – nie różni się zasadniczo od tego sprzed 2010 r. Wszak i wówczas maltretowanie dzieci było karalne, a za klapsa nie szło się do więzienia. Różnica polega na tym, że dziś rodzic, który swojemu dziecku wymierzy nawet pojedynczego klapsa, może jednak trafić przed sąd za sprawą donosu jakiegoś gorliwego zwolennika postępu.

Kara cielesna, o ile nie jest skutkiem autentycznego sadyzmu (bo przecież i to się zdarza), nie jest świadectwem porażki, ale czasem koniecznością

PSEUDOARGUMENTY

Każdego, kto ośmieli się podważyć lewicowy dogmat o tym, że dziecka nie można tknąć palcem, spotykają zawsze te same oskarżenia i pseudoargumenty, standardowe dla wszystkich podobnych dyskusji.

Przede wszystkim zatem można się dowiedzieć, że na pewno było się niemiłosiernie łojonym w dzieciństwie i w związku z tym nie zna się innych metod wychowawczych tudzież że z sadystyczną lubością maltretuje się własne dzieci. Tymi pomówieniami zajmować się nie warto – to „argumentacja" na poziomie internetowej gimbazy. Można ją spotkać w różnych postaciach wielokrotnie (nie chcesz zakazu hodowli zwierząt futerkowych – jesteś dręczycielem zwierząt; nie wspierasz Jerzego Owsiaka – chcesz, żeby dzieci umierały na ulicy; nie podoba ci się antysamochodowa ideologia lewicy – podjeżdżasz autem pod same drzwi, a po drodze kasujesz każdego napotkanego rowerzystę itd.).

Kolejny standardowy argument to ten, że „każdy klaps jest wychowawczą porażką". I on jest fałszywy. O wychowawczej porażce lub sukcesie możemy mówić, gdy dziecko przestaje być dzieckiem i staje się dorosłym, wynoszącym z domu określony system wartości, wzorce zachowań, wiedzę. Na porażkę lub sukces rodziców składa się życie ich potomka jako dorosłego człowieka, a nie pojedyncze zachowania, łączące się w skomplikowany proces wychowawczy.

Gdyby prawdziwe były argumenty lewicy, cała ludzkość aż do lat 70. XX w., kiedy zaczęły być popularne postępowe metody i rozwiązania, musiałaby się składać niemal bez wyjątku z sadystów, przenoszących w dorosłe życie swoje straszliwe traumy, związane ze stosowaniem kar cielesnych, wyniesione z dzieciństwa. Ośmielę się jednak postawić tezę, że nie tylko tak nie było, lecz także że w świecie twardej dyscypliny przez tysiące lat rodzili się ludzie pod wieloma względami lepszej próby niż dziś.

Kara cielesna, o ile nie jest skutkiem autentycznego sadyzmu (bo przecież i to się zdarza), nie jest świadectwem porażki, ale czasem koniecznością. Jasne, że bardzo wiele dzieci nigdy nie zostanie w ten sposób skarconych, bo nie będzie takiej potrzeby. I oby takich przypadków było jak najwięcej.

Zabawne jednak są elukubracje twardych wrogów kar cielesnych o tym, jak to zawsze i w każdych okolicznościach klapsa powinno zastępować spokojne tłumaczenie. To majaczenia oderwane od rzeczywistości. Dzieci są różne, mają różne charaktery i różnie reagują w różnych sytuacjach, rodzice zaś nie są robotami pozbawionymi emocji. Dziecko, które wpada w histerię w restauracji czy w sklepie, nie rozpocznie ze swoim rodzicem filozoficznej konwersacji o istocie emocjonalnego szantażu i stosownym zachowaniu w miejscu publicznym, w której to konwersacji w końcu przyzna rodzicowi rację, prze-

eprasa.pl 15dc426468

stanie płakać i stanie się grzeczne. Tak jak w przypadku klasycznego histeryka najlepszym wyjściem jest czasem danie mu w twarz, tak w przypadku dziecka, które wpadło w histerię, czasem najlepszym rozwiązaniem jest klaps. A to tylko jedna z wielu hipotetycznych sytuacji, gdy klaps może być koniecznością.

Bywa też, że klaps jest naturalną reakcją rodzica, który widzi, jak jego dziecko złamało wyraźnie powtarzany zakaz, narażając się przy tym na śmiertelne zagrożenie. I właśnie takie uderzenie w tyłek w takich okolicznościach może sprawić, że młody człowiek zapamięta nauczkę na zawsze. Nie tylko nie mamy wtedy do czynienia ze złośliwym upokarzaniem dziecka, ale przeciwnie – z czasem bardzo emocjonalnym, ale jednak wyrazem najwyższej troski i miłości.

W jednym można się z postępowcami częściowo zgodzić: jeśli używa się kary fizycznej, powinno to być traktowane jako wyjątek, a nie norma, a także dziecko powinno dobrze rozumieć, za co obrywa i dlaczego.

Postępowcy mają na podorędziu badania, mające dowodzić, że dzieci, wobec których stosowano kary fizyczne, rozwijają się gorzej niż te, wobec których ich nie stosowano. Naukową wartość takich badań łatwo jednak zakwestionować. Badania są uznawane za miarodajne – w dowolnej dziedzinie nauki – gdy ich rezultaty można powtórzyć, a warunki ich przeprowadzania są możliwie „sterylne". W naukach społecznych jest to niemal niemożliwe. Tu prawie zawsze będziemy mieli do czynienia z gorzej lub lepiej dowodzoną hipotezą, ale jednak tylko hipotezą, która nigdy nie stanie się niczym więcej.

W wypadku badania kwestii tak ulotnej jak ludzkie zachowanie w długim okresie miarodajność wyników jest szczególnie mała. Musielibyśmy mieć do dyspozycji grupę badaną i grupę kontrolną, a obie złożone z ludzi o idealnie tożsamych charakterach, w dodatku funkcjonujących w podobnych warunkach w dorosłym życiu, co oczywiście nie jest możliwe. Rezultaty badań może zatem obciążać paradoks: dzieci zdolniejsze, inteligentniejsze z natury lepiej się uczą i zachowują, więc rzadziej potrzebują jakichkolwiek kar – nie tylko fizycznych. Ich życiowy sukces może być skutkiem wrodzonych cech lub pozycji społecznej, z jakiej startowały, a nie tego, czy w dzieciństwie dostawały klapsa, czy nie.

ROZMONTOWANIE RODZINY

W istocie jednak nie o dawanie klapsów tu chodzi. Podobnie jak w walce lewicy z używaniem słów takich jak „Murzyn" nie chodzi o to, żeby komuś się nie zrobiło przykro. Jak we wszystkich podobnych przypadkach, pod pozorem zajmowania się jakąś jedną sprawą, idzie o rozmontowanie tradycyjnych mechanizmów społecznych – oraz, co ważne, walkę ze zdrowym rozsądkiem, bo to on jest jednym z głównych zagrożeń dla lewicowej bredni, serwowanej w postaci dania, okraszonego trudno zrozumiałymi wywodami mądrali z „Krytyki Politycznej".

Jak niedawno napisał „Nasz Dziennik", kończący swoją kadencję jako rzecznik praw dziecka Marek Michalak proponuje zmiany w Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym, a w tym zastąpienie używanego tam pojęcia władzy rodzicielskiej pojęciem „odpowiedzialności rodzicielskiej". To byłaby w istocie fatalna rewolucja.

Pojęcie władzy w jego literalnym rozumieniu dobrze opisuje tradycyjną relację między rodzicami a dzieckiem. Rodzice mają nad dzieckiem władzę, czyli mogą mu coś kazać i wyegzekwować wykonanie polecenia, dziecko zaś ma się im podporządkować. Idzie to w parze z zapisem – co prawda nie do końca jednoznacznym – art. 48 polskiej konstytucji: „Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Wychowanie to powinno uwzględniać stopień dojrzałości dziecka, a także wolność jego sumienia i wyznania oraz jego przekonania". Jak to w polskiej ustawie zasadniczej – pierwsze zdanie artykułu implikuje prawo rodziców do pokierowania rozwojem dziecka, podczas gdy drugie każe uwzględniać „wolność jego sumienia". Co to w praktyce ma oznaczać i jak rodzice, niosący na przykład do chrztu trzymiesięcznego berbecia, mają uwzględnić jego „wolność sumienia" – nie wiadomo. Nie ma jednak wątpliwości, że prawo do wychowania w zgodzie z własnymi przekonaniami musi oznaczać sprawowanie władzy rodzicielskiej.

Gdyby pojęcie władzy zamienić na „odpowiedzialność", jak proponuje Michalak, sytuacja zmieniłaby się radykalnie. Odpowiedzialność rodziców za dziecko oznaczałaby tylko tyle, że musieliby dziecku zapewniać opiekę, wikt i opierunek, ale żadnej władzy by nad nim nie mieli. Mogliby mu coś proponować, namawiać, przekonywać, ale nie mogliby niczego nakazać. A co za tym idzie – nie mogliby go też ukarać. Ponieważ tam, gdzie nie ma nakazu lub zakazu, nie może być kary.

Najpierw zakaz stosowania kar cielesnych, potem zakaz „przemocy psychicznej", a wreszcie – całkowite rozmontowanie mechanizmu władzy rodzicielskiej

Tu wracamy do samego pojęcia kary. Zwolennicy zakazu stosowania kar cielesnych argumentują, że takie kary są upokarzaniem dzieci. Lecz przecież każda kara opiera się na jakimś rodzaju przemocy – fizycznej lub psychicznej – i każdą można zinterpretować jako „upokorzenie". Ba, z punktu widzenia dziecka mniejszym „upokorzeniem" czy uciążliwością może być otrzymanie klapsa w tyłek niż szlaban na telewizję, na komputer, na wychodzenie na podwórko czy pójście do kolegi. Utrzymanie dyscypliny w wielu przypadkach oznacza wymuszanie określonych zachowań. Lewica ten naturalny mechanizm chce zniszczyć, a całkowity zakaz stosowania kar cielesnych jest tylko wstępem do dalszych działań.

Najpierw zakaz stosowania kar cielesnych, potem zakaz stosowania „przemocy psychicznej" (co choćby w części krajów skandynawskich jest już podstawą do odebrania dziecka rodzicom, a pod które to pojęcie można podciągnąć każdą próbę werbalnego zdyscyplinowania dziecka), a wreszcie – całkowite rozmontowanie mechanizmu władzy rodzicielskiej. Z tego punktu widzenia propozycja Michalaka to trochę wychodzenie przed szereg. Zresztą przy obecnej konserwatywnej społecznie władzy nie ma raczej szans, ale – wszystko przed nami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

FOT. FOTOLIA

Z dr. Błażejem Kmieciakiem, socjologiem prawa, pedagogiem specjalnym i bioetykiem
rozmawia Łukasz Zboralski

ŁUKASZ ZBORALSKI: Ma pan dzieci?
BŁAŻEJ KMIECIAK: Nawet troje!

Czy pan je czasem karci?
Nie. Karcenie według mojej intuicji rodzicielskiej i pedagogicznej jest działaniem, którego intencją jest celowe sprawienie komuś bólu, jakiegoś cierpienia. My z żoną w naszej relacji z dziećmi podejmujemy jednak działania, w których dzieci doświadczają pewnych konsekwencji. I tego terminu wolę się trzymać. Stosowanie kar ma dla mnie charakter negatywny. Konsekwencja jest podobna w działaniu, ale pokazuje, że intencją rodzica – czyli kogoś bliskiego dziecku – nie jest celowe doprowadzenie go do bólu i cierpienia, ale doprowadzenie do sytuacji, w której ono samo zrozumie, że popełniło błąd albo że jego postępowanie było niewłaściwe.

Ależ ja tak właśnie rozumiem termin „kara" – wytłumaczenie dziecku, dlaczego musi ponieść konsekwencje swojego zachowania. Czy w ogóle można wychować dziecko, nie stosując tak rozumianej dyscypliny?
Moim zdaniem to niemożliwe. Różne środowiska powielają cytat z Janusza Korczaka o tym, że „nie ma dzieci, są ludzie". Oczywiście, że takie zdanie jest prawdziwe i nikt nie będzie tu polemizował z Korczakiem. Należy jednak pamiętać o tym, że mówimy o ludziach posiadających taką samą godność, a jednocześnie są to ludzie znajdujący się w fazie bardzo silnego rozwoju i silnego doświadczania rozmaitych rzeczy.

Nie ma możliwości wychowania dziecka – ani też możliwości samowychowania, któremu też podlegamy jako ludzie dorośli – jeśli relacja z dzieckiem będzie opierała się wyłącznie na pozytywnych doświadczeniach. Dziecko podlega bowiem bardzo silnemu rozwojowi i często podejmuje decyzje i wybory, które są szkodliwe dla niego lub dla innych. I gdy nie doświadcza negatywnych konsekwencji, to ja w tym nie widzę troski o takie dziecko.

Dzieciom potrzebna jest pewna hierarchia – czyli ktoś, kto ostatecznie podejmuje decyzję, kończy spory?
Jest taka stara maksyma prawnicza: „Rzym przemówił, sprawa zakończona". Myślę, że to w wychowaniu bardzo ważne. Od razu włącza się pewnie taka myśl, że to paternalistyczne, ale zwrócę

eprasa.pl 15dc426468

uwagę na pewną rzecz – dr Wanda Półtawska powiedziała kiedyś, że w wychowaniu musimy mieć tak jak rzeka koryto. To są pewne granice. Jeśli tego nie ma, następuje rozlanie się wody i powódź. I u dziecka coś takiego jest. W filozofii dotyczącej praw dziecka, nawet wspomnianego przeze mnie Korczaka, mocno też zwraca się uwagę na to, że dziecko potrzebuje zasad i konkretnych granic. Tylko wtedy czuje się bezpieczne.

Dzieci mają w swoim rozwoju pewne etapy graniczne, kiedy mocno testują, co i na ile im wolno. I robią to intuicyjnie dlatego, że potrzebują granicy i chcą wiedzieć np., na jaką odległość mogą same odejść.

A więc nie ma odpowiedzialnego wychowania bez tego, gdy w pewnym momencie mówi się dziecku: Stop, koniec! Mówimy tak nie dlatego, że zdanie dziecka jest nieważne, ale dlatego, że dalsza dyskusja nie ma już sensu, a dalsze działanie dziecka doprowadzi do szkody dla niego.

Czy stawianie granic dziecku może wyrażać się w postaci użycia siły, którym jest wymierzenie klapsa?

Nie jestem zwolennikiem stawiania w jednym szeregu klapsa, lania i bicia dziecka, bo istnieje tu jakaś gradacja. Twierdzę jednak, że klaps jest zawsze przegraną rodzica. Dlatego że po klapsie wychowawczo nie ma już nic więcej. W mojej rodzinie klapsów nie wymierzamy.

Za to obserwuję takie zachowania rodziców jak np. siłowe wyniesienie dziecka do innego pokoju...

...a to przecież też jest rozwiązanie siłowe!

No tak. Podczas pracy w psychiatrii dziecięcej przez wiele lat jako rzecznik praw pacjenta badałem sprawy stosowania przymusu fizycznego wobec dzieci. I czasem są takie sytuacje, w których my w ten sposób musimy zabezpieczyć dziecko przed nim samym. Obrazowo – jeśli dziecko wybiega na ulicę, to ja muszę je złapać za rękę, czasem bardzo mocno, a czasem nawet może to zostawić ślad na ręku. I dla jakieś obserwującej to osoby może to oznaczać, że stosuję przemoc. Trzeba jednak na to spojrzeć obiektywnie i stwierdzić, że ja to dziecko właśnie uratowałem przed uderzeniem samochodu. Czasem zatem użycie siły wobec dziecka może się w wychowaniu pojawić.

To czym się różni klaps?

Jest sytuacją graniczną, po której w wychowaniu ja już nic nie mogę zrobić. Opowiem panu wspomnienia jednego człowieka, który opowiadał mi, że dostał kiedyś jako dziecko od mamy w twarz. To nie była jakaś straszna przemoc, ale pamięta to do dziś. Powiedział mi, że otrzymał policzek, gdy bardzo brzydko się o matce wyraził. Przez trzy dni się do niego po tym nie odzywała. I dla niego te trzy dni milczenia były gorsze niż to uderzenie w twarz. Miał świadomość tego, że bardzo mocno zranił swoją mamę.

A pan dostawał klapsy jako dziecko?

No, wielokrotnie...

I dziś jako dorosły sądzi pan, że to wpłynęło na pana rozwój? Ma pan żal do rodziców?

Z całą pewnością jako dziecko tego nie rozumiałem. I myślę, że gdybym to jakoś przyjął i akceptował, to sam bym stosował klapsy. Ale ja i moja żona tego nie robimy. I nie dlatego, że tak mówi stambulska konwencja antyprzemocowa – która jest zresztą zupełnym pomyleniem pojęć prawnoludzkich – ale nie stosujemy klapsów dlatego, że wymierzenie ich pozostawia rodzica bezradnym. Po takim środku dalej nie mogę użyć kolejnych rzeczy, mogą być one tylko silniejsze.

Tu się nie do końca zgodzę. Po klapsie może pan przecież tłumaczyć dziecku, dlaczego wymierzył tę karę. Natomiast z drugiej strony – stosowanie innych środków, czy jak pan woli konsekwencji, to też przemoc, choć najczęściej psychiczna...

Oczywiście, że tak. W ten sposób jednak sprowadzamy całą relację rodzicielską do absurdu. Całkowicie zapominamy o tym, że relacja rodzicielska, nawet bardzo trudna emocjonalnie, to jest unikalna relacja między ludźmi, którzy mają wyjątkowe połączenie pomiędzy sobą. Nie ma drugiej takiej relacji jak rodzic – dziecko. Dzisiaj często w takim prawno-pedagogicznym dyskursie patrzymy na to głównie z poziomu patologii, która czasem się pojawia w relacjach medialnych. A musimy spojrzeć na to z takiej perspektywy, że nawet jeśli mamy trudne relacje w rodzinie, to i tak jest to prawidłowa relacja, która się buduje pomiędzy rodzicami i dziećmi. Przymus w wychowaniu musi istnieć, ponieważ dziecko testuje i bada, ale też uczy się rzeczywistości i rodzic jest zobowiązany, by – korzystając z troską

Rodzic nie jest zagrożeniem

eprasa.pl 15dc426468

ze swojej władzy rodzicielskiej – chronić to dziecko przed błędami, które może popełnić.

Niedawno w markecie byłem świadkiem tego, jak babcia dała klapsa dziecku. I nie myślałem wówczas: gdzie tu jest jakiś policjant albo najbliższy komisariat, żeby to zgłosić! Klaps w mojej ocenie mieści się w pewnej autonomii rodziny. I dlatego nie powinno być tak, że przez taką karę powinniśmy np. od razu alarmować pedagoga szkolnego.

My z żoną z racji naszej wrażliwości takiego narzędzia nie stosujemy. Ale to należy do autonomii rodziny. Opowiem na przykładzie – jedna z moich córek, gdy miała trzy lata, uderzyła mnie w twarz. Wytłumaczyłem, że to mnie boli, i ostrzegłem, że jeśli zrobi to jeszcze raz, to zaboli ją rączka. Uderzyła mnie znowu. Ja wtedy delikatnie puknąłem w jej rękę, znów tłumacząc, że nie może tak robić. Pokazałem jej pewną granicę i być może w pewien behawioralny sposób uderzenie w twarz skojarzyło się jej z bólem ręki. Nie takim, że musieliśmy jechać na chirurgię, ale nieprzyjemnym. Ktoś z boku mógłby przecież powiedzieć: Ojej! Bije po rękach swoje dzieci! A ja chciałem, żeby doświadczyła czegoś nieprzyjemnego, gdy robi źle. I to zadziałało, takie zachowanie się potem nie powtarzało. Uważam więc, że klapsy mieszczą się w pewnej granicy środków używanych przez rodziców, ale niebezpieczeństwo z nimi związane jest takie, że gdyby chcieć stosować coś po nich, to trzeba by używać czegoś jeszcze mocniejszego.

To niekonsekwentne – nie daje pan klapsów i uważa, że rodzic może wychowywać bez tej metody, a zarazem nie chciałby pan takiej zmiany prawa – a ona się pojawia np. w propozycjach rzecznika praw dziecka – dzięki której można by próbować w ogóle wyeliminować nawet najdrobniejsze użycie siły wobec dziecka, czyli klapsa...

Ponieważ relacje rodzinne są relacjami szczególnymi. Nie wszystko w tych relacjach może, a nawet nie powinno, być regulowane przez prawo. Podam przykład – w najnowszej propozycji Kodeksu rodzinnego zaproponowanej przez obecnego rzecznika praw dziecka, w bardzo ważnym dokumencie, na mniej więcej połowie strony sformułowano pojęcie „dobro dziecka". A w mojej ocenie nie ma możliwości legislacyjnego sformułowania tego, czym jest dobro dziecka.

Przecież można w prawie zapisać, że np. każde użycie siły, w tym klaps, jest złe. Przeciwnicy klapsów przytaczają taki argument – że żony albo męża w domu się nie uderza w tyłek, by przekonać do czegoś.

Jeśli chodzi o dziecko, w takim wypadku pragniemy, by doświadczyło czegoś w sposób szybszy. Klaps pojawia się w momencie pewnej bezradności, gdy rodzic nie ma już argumentu i wówczas wybiera użycie lekkiej siły. W relacji z osobami dorosłymi takich działań przecież nie podejmujemy.

Jestem jednak przeciwnikiem tak precyzyjnego formułowania zapisów prawnych dlatego, że życie rodzinne jest tak dynamiczne i żywe, iż pewne rzeczy mogą być interpretowane w bardzo różny sposób, w zależności od doświadczeń danej rodziny. Jak bowiem ocenić to – jeśli sformułujemy nawet ogólny przepis „zakaz stosowania kar fizycznych" – gdy moja córka leży i upiera się, że się nie ruszy, a ja łapię ją z całej siły za ramiona i podnoszę? Moją intencją przecież nie będzie skrzywdzenie dziecka, tylko bardzo szybkie zwrócenie mu uwagi, że jego postępowanie jest złe i że krzywdzi inne osoby.

Szwedzi czy Norwegowie poszli jednak w tę stronę i próbują eliminować każdą przemoc w stosunku do dziecka...

No tak, ale ich podejście doprowadziło do tego – i zresztą coś takiego widać w tym projekcie zmian przygotowanym przez rzecznika praw dziecka – że mamy dominację praw dziecka i dobra dziecka nad dobrem rodziny. Ja jestem zwolennikiem tezy, która jest bardzo szeroko opisana w polskim prawie i polskiej literaturze psychopedagogicznej, mówiącej o tym, że prawa dziecka mogą być realizowane w pełni dopiero w rodzinie. I tu nie chodzi o to, że rodziny rozbite czy dzieci w domach dziecka nie mają gwarancji praw dziecka, tylko że w rodzinie, w której są prawidłowe relacje, dziecko ma możliwość pełnego rozwoju i kształtowania siebie w pewnych warunkach. Prawo rodzinne nie jest w stanie wejść w te unikalne relacje rodzinne.

Bezwzględne karanie rodziców za klapsa danego dziecku – pana zdaniem – świadczyłoby o tym, że państwo za mocno wdarło się do rodzin i zaburzało panujące w nich relacje, umocowałoby tak mocno prawa dzieci, że to deformowałoby układy rodzinne?

Wówczas tworzy się takie zjawisko, w którym pierwszym zagrożeniem dla dziecka staje się rodzic. To jest patologia przekazu społecznego. Przyzwyczailiśmy się do pojęcia „przemocy w rodzinie", a już to jest pewnym zniekształceniem, to jest sformułowanie nieprawdziwe. Jest przemoc domowa. Mam świadomość, że są sytuacje, kiedy ojciec czy matka w wyniku różnych zjawisk podejmują działania przemocowe wobec własnych dzieci. To jest złe, trzeba to piętnować i nazywać po imieniu. Jednak w wielu przypadkach mamy sytuację z przemocą domową – pojawiającą się np. w związkach nieformalnych. Chodzi mi o to, że nie powinniśmy kojarzyć przemocy wyłącznie z rodziną. Rodzina jest miejscem prawidłowego rozwoju dziecka i o rodziny powinniśmy dbać.

Zwracam uwagę, że w całej dyskusji o przemocy wobec dzieci mocno pomija się też aspekt uzależnień, zwłaszcza od alkoholu. Uważa się, że to wątek poboczny. Tymczasem analizując np. statystyki policji, widzę, że większość interwencji policji związanych z przemocą była powiązana z alkoholem. Trzeba zwracać uwagę, że to alkohol może być wyzwalaczem przemocy domowej.

Czyli co – pozostawiamy rodzicom wolność w karaniu dziecka, ale zalecamy im, by klapsów nie stosowali?

Powiem coś innego – jeśli chcemy zbudować autorytet jako rodzice, to powtórzę sformułowanie kard. Stefana Wyszyńskiego: ludzie mówią, że czas to pieniądz, a ja mówię, że czas to miłość. Nie zbudujemy relacji z dziećmi poprzez incydentalne kontakty z nimi. Ojciec nie może oczekiwać, że dziecko będzie go słuchało, skoro tata nie poświęca mu czasu i dziecko go nie zna. Może warto, zwłaszcza dzisiaj, byśmy to my stali się „złodziejem czasu" dla naszych dzieci. Myślę, że wtedy temat klapsów będzie nas mniej „fascynować".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Błażej Kmieciak – wykładowca akademicki, członek zespołu do spraw ochrony autonomii rodziny i życia rodzinnego przy Ministerstwie Sprawiedliwości, sekretarz rady naukowej Centrum Bioetyki Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris.

eprasa.pl 15dc426468

Dodajemy energii polskiemu wioślarstwu

Enea sponsorem generalnym wioślarskiej reprezentacji Polski

Enea - dostawca energii do działania z pasją!

enea.pl

eprasa.pl 15dc426468

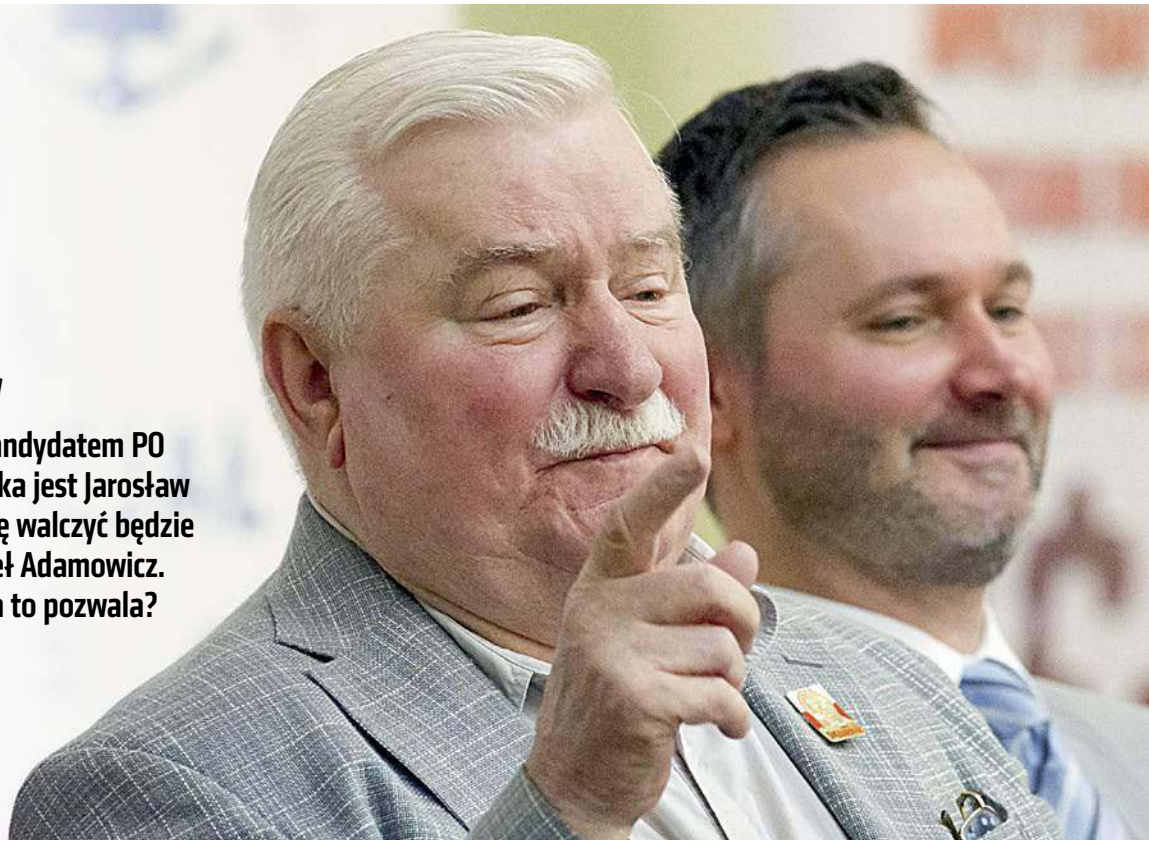

Piotr Semka

Chociaż oficjalnym kandydatem PO na prezydenta Gdańska jest Jarosław Wałęsa, to o reelekcję walczyć będzie też szef ratusza Paweł Adamowicz. Dlaczego Schetyna na to pozwala?

Kandydat w imię ojca

Paweł Adamowicz nie dał się namówić do rezygnacji z walki o reelekcję, a w czerwcu kandydatem PO na prezydenta Gdańska został ogłoszony Jarosław Wałęsa. W walce o fotel prezydenta grodu nad Motławą zmierzą się więc dwaj adwersarze z obozu Platformy oraz kandydat PiS.

Syn prezydenta w swej kampanii zapowiada koniec Gdańska jako „republiki deweloperów" i narzeka na bezruch ostatnich lat. Adamowicz ripostuje pytaniami o to, gdzie można znaleźć ślady troski młodego Wałęsy o Gdańsk w ostatnich latach.

To pęknięcie w gdańskim establishmencie III RP czy tylko sprytna ustawka?

NADZIEJA RODZINY

Danuta Wałęsowa w książce „Marzenia i tajemnice" pisze: „Rok 1976 był szczególny. Wiosną wyrzucili męża z pracy w Stoczni Gdańskiej, a 13 września urodził się Jarek. Czwarty, ostatni syn. Poród jak poród. Wszystko odbyło się jak należy".

Jarosław w pierwszych latach życia trafia na okres największego zamieszania w domu Wałęsów w latach 1980–1981. Mieszkanie oblężone przez dziennikarzy, ojciec objeżdżający Polskę i matka zmagająca się z nagłym wpadnięciem w oko politycznego cyklonu.

Danuta Wałęsowa tak wspomina tamte lata: „Jarek poszedł do przedszkola, miał cztery lata. [...] W domu panował bałagan związany z remontem, przychodzili jacyś ludzie, pracowali robotnicy. Ale Jarek płakał i nie chciał chodzić do przedszkola. Domagał się uczuć, przytulania, wolał przebywać ze mną. Po miesiącu zrezygnowałam z przedszkola. A pozostała trójka chłopaków Bogdan, Sławek i Przemysław została emocjonalnie niedopieszczona".

Kto wie, czy decyzja o pozostawieniu syna przy sobie nie przesądziła o tym, że Jarosław najlepiej poradził sobie w życiu w porównaniu z burzliwymi losami braci. Urodzony dwa lata wcześniej Przemysław zmarł w 2017 r. – miał problemy z nałogiem.

Kolejnym dobrym wyborem rodziców, jeśli chodzi o Jarosława, było wysłanie go po 1990 r. do Stanów Zjednoczonych. Tam ukończył szkołę średnią i następnie w latach 1997–2000 studiował politologię na katolickiej uczelni wyższej College of The Holy Cross w Worchester w Massachusetts, gdzie uzyskał bakalaureat. Do Polski wrócił w 2002 r. i parę lat szukał dla siebie miejsca.

Ojciec przygarnął go do swego biura prezydenckiego. Tam pracował jako archiwista i polityczny doradca.

To okres, gdy Lech Wałęsa jest na politycznym aucie. Platforma go oficjalnie ceni, ale trzyma go na dystans, bo jego prezydentura wciąż nie jest wspominana najlepiej. Dlatego syn szuka miejsca do wejścia

eprasa.pl 15dc426468

Jarosław Wałęsa jest szansą na zmianę i jednoczesne utrzymanie miejskich układów?
FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Paweł Adamowicz stara się o reelekcję i choć PO namaściła innego kandydata, lokalni działacze otwarcie go wspierają
FOT. PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS

w politykę nieco po omacku. W 2004 r. bezskutecznie startuje do europarlamentu z Narodowego Komitetu Wyborczego Wyborców – listy rozbitków z Akcji Wyborczej Solidarność pod patronatem Macieja Płażyńskiego. Potem zgłasza akces do Partii Demokratycznej – innej efemerydy łączącej byłych polityków Unii Wolności i SLD.

Złe czasy kończą się w 2005 r. Platforma Obywatelska ściga się w podwójnych wyborach z braćmi Kaczyńskimi. Niby akceptuje wizję wspólnej koalicji z PiS, ale jednocześnie zawiera sojusz z Lechem Wałęsą. Najsłynniejszy elektryk ogłasza swoje poparcie dla prezydentury Donalda Tuska, ale w zamian żąda zapłaty. Jest nim „biorące miejsce" na listach PO dla syna w wyborach do Sejmu. Jarosław zdobywa mandat, choć liczba głosów – 14 709 – nie imponuje. W ponownych wyborach sejmowych w 2007 r. 31-letni Wałęsa zdobywa już 61 278 głosów. Wyraźnie specjalizuje się w sprawach międzynarodowych. W 2009 r. przeskakuje do Parlamentu Europejskiego, zdobywa 73 968 głosów.

2 września 2011 r., jadąc motocyklem z nadmierną prędkością, zderza się z samochodem i z ciężkimi obrażeniami trafia do szpitala. Jak wspomina Danuta Wałęsowa: „Lekarze nie ukrywali, w jak poważnym syn jest stanie [...] jeden z lekarzy powiedział, że na szczęście mózg był nienaruszony. A zazwyczaj w takich wypadkach dochodzi do uszkodzenia czaszki".

Szczęście dopisało prezydenckiemu synowi. Z wypadku wyszedł bez widocznych strat na zdrowiu. Jarosław Wałęsa żeni się, rodzi mu się dwoje dzieci.

W 2014 r. odnawia swój mandat europarlamentarzysty. W Brukseli i Strasburgu nie wyróżnia się specjalnie spośród reszty posłów klubu PO. Jego specjalnością są kwestie rybołówstwa, temat istotny na Pomorzu, choć nie najważniejszy. Według eurodeputowanych PiS nie odstawał w rytualnych atakach na ich partię ani nie wyróżniał się jakimś specjalnym zapałem. Był ponoć idealnym średniakiem. Dziennikarze wspominają, że dopóki nie kandydował, dopóty niełatwo było się z nim umówić na wywiady. W prasie gdańskiej umieszczał jednak sprawozdania ze swej posługi poselskiej. – Ma w sobie coś z prymusa, nieco nudnego, ale bez większych wpadek. I pewien rys sprytu i ostrożności po ojcu – mówi jeden z eurodeputowanych SLD.

SPÓR W PLATFORMIE

Gdańscy politycy od lewa do prawa zgodnie twierdzą, że młody Wałęsa przynajmniej od roku zachowywał się tak, jakby stanowisko prezydenta Gdańska kiedyś zostało obiecane jemu lub jego ojcu. A jednocześnie nie przypominają sobie, by uczestniczył wcześniej w jakichś debatach na temat miasta i kierunków jego rozwoju.

Od objęcia władzy przez PiS w 2015 r. w obozie Platformy zaczęto przebąkiwać o konieczności znalezienia nowego kandydata w miejsce Pawła Adamowicza. Nic dziwnego. Adamowicz rządzi stolicą Pomorza od 1998 r., czyli – jak lubią mawiać jego krytycy – „dłużej niż Putin Rosją".

Na dodatek po wyjściu na jaw nieprawidłowości z liczbą deklarowanych mieszkań i wszczętymi śledztwami prokuratorskimi wątpliwości co do jego uczciwości zaczęła podzielać także część elektoratu centrum. Niektórzy posłowie z gdańskiej PO poczuli się Adamowiczem zmęczeni.

Grzegorz Schetyna od dawna już proponował Adamowiczowi rezygnację ze startu w zamian za „biorące miejsce" do europarlamentu albo do Sejmu. Ten z uporem odmawiał. Dlaczego? Wyjaśnia to jeden z bystrych obserwatorów gdańskiej polityki: – Adamowicz wie, że ponownie startując na prezydenta, stawia się w lepszej sytuacji w czasie śledztwa w jego sprawie. Każde zatrzymanie będzie mógł przedstawiać jako pomoc usłużnych prokuratorów w planie zdobycia Gdańska przez kandydata PiS. A wybory do europarlamentu lub Sejmu są w 2019 r., czyli dopiero za rok. Na dodatek Platforma nie jest tak mocna w sondażach i na Pomorzu pewny może być tylko jeden mandat. A Janusz Lewandowski nie odda łatwo jedynki na pomorskiej liście PO.

Platforma od wiosny nie ukrywała, że chce wystawić Jarosława Wałęsę. Z jej punktu widzenia to kandydat wygodny. Nie jest obciążony grzechami Adamowicza, ma popularne nazwisko i walor relatywnej młodości – jest cztery lata młodszy od Andrzeja Dudy i osiem lat młodszy od Mateusza Morawieckiego.

Platformę w tej decyzji utwierdził sondaż prezydencki „Dziennika Bałtyckiego" ogłoszony 23 maja. Wygrywał w nim Jarosław Wałęsa (37,3 proc.). Drugi był Kacper Płażyński z PiS (22 proc.). Adamowicz był dopiero trzeci z wynikiem 21,7 proc. Kandydat, który nie przechodzi do drugiej tury? To brzmiało jak sensacja, ale i argument za wystawieniem „Wałęsowicza".

eprasa.pl 15dc426468

Jakąś rolę w forsowaniu kandydatury Jarosława odegrać musiały zapewne ambicje ojca kandydata, który chce, by w gdańskiej polityce dynastia Wałęsów istniała przez długie lata.

Ostatecznie 23 czerwca Schetyna ogłosił wystawienie Jarosława Wałęsy jako wspólnego kandydata PO i Nowoczesnej. Dotychczasowa kandydatka tej drugiej partii – Ewa Lieder – się wycofała, a Jarosław Wałęsa, wzorem układanki z Warszawy, jako kandydata na wiceprezydenta wziął polityka Nowoczesnej Dominika Kwiatkowskiego, który ma być „prospołeczną" twarzą antypisowskiej koalicji.

JAK SIĘ ODRÓŻNIAĆ?

Młody Wałęsa znalazł się w niełatwej sytuacji. Rzucając wyzwanie Adamowiczowi, ma przeciwko sobie kogoś, kto jest personifikacją wszechwładzy Platformy w rządach nad Gdańskiem. Dlatego ostrożnie próbuje wymyśleć jakąś linię krytyki obecnego włodarza miasta.

Pierwsze hasło to: „Koniec republiki deweloperów w Gdańsku". Jest w tym przyznanie racji tym, którzy twierdzili, że Adamowicz siedzi w kieszeni tej branży. Hasło jest jednak nośne. Wielu gdańszczan kłuje w oczy centrum handlowe Forum Gdańsk, wielki pomnik deweloperskiej wszechwładzy nad miastem.

To politycznie śliskie stanowisko, bo przecież PO, wspierając tyle lat Adamowicza, akceptowała taki stan rzeczy.

Kolejne slogany to: „Czas na przewietrzenie spółek miejskich" i „Więcej inwestycji w dzielnicach". Brzmią efektownie, ale mało kto w Gdańsku wierzy, że wygrana Wałęsy juniora zmieni układ sił w mieście.

– Skąd młody Wałęsa ma mieć pieniądze na kampanię? Przecież będzie ich szukał u ludzi, którzy zbudowali swe fortuny na interesach z Adamowiczem. Teraz dadzą trochę pieniędzy jednemu i drugiemu. Wałęsie więcej, bo też czytają sondaże. A skoro tak, to niby kogo będzie Jarosław wietrzył po wygranej? Swych dobroczyńców? – mówi mi jeden z gdańskich biznesmenów.

Wałęsa nie jest pozbawiony emocji. W czerwcowym wywiadzie dla Wirtualnej Polski mówił: „Ja nie występuję przeciwko Pawłowi Adamowiczowi. To Paweł Adamowicz nie wywiązuje się ze swojego słowa. Kilka lat temu zapewniał mnie, że to jego ostatnia kadencja. W zeszłym roku mówił, że będzie popierał kandydata PO. W tym roku oznajmił, że chce być kandydatem zjednoczonej opozycji. Na każdym kroku łamie słowo i rozbija wspólne rozmowy, stawiając wszystkich pod ścianą. Więc to jego trzeba zapytać, czy jest lojalny wobec swojego środowiska i słowa, które dał nie tylko PO, ale i mieszkańcom Gdańska".

Zwolennicy młodego Wałęsy nie lekceważą kandydata PiS – Kacpra Płażyńskiego, ale też nie przeceniają jego siły. – Bardzo się stara, ale wciąż jest zbyt mało znany nad Motławą, by przebić Jarka. Gdańsk to jednak miasto proplatformerskie. Płażyński ma tylko 30 lat i jest nieco za młody, a Jarek, ze swoim wiekiem 42 lat, tworzy dobry balans między młodzieńczością a pewnym doświadczeniem – mówi jeden ze zwolenników PO.

Kandydat PiS cierpliwie prowadzi kampanię „od dołu", odbywając setki lokalnych spotkań. Jak mu idzie? – Nie bardzo – odpowiada jeden z gdańskich dziennikarzy. – Całkiem sprawnie wykorzystał awarię oczyszczalni na gdańskiej Ołowiance, która spowodowała wylew szamba do zatoki, przez co Adamowicz musiał się gęsto tłumaczyć, ale potem kampania znów zwolniła. W kampanii trzeba rzucać co rusz nowe pomysły, grać bon motami. Nie widać też żadnego wsparcia ze strony lokalnego PiS.

Młody Wałęsa może liczyć, że pośrednim sojusznikiem w jego walce z Adamowiczem będzie koalicja ruchów miejskich Lepszy Gdańsk. Adamowicz zrobił bardzo wiele w ostatnich paru latach, by być wzorem politycznej poprawności. Zapraszał nad Motławę imigrantów i przeforsował w radzie miasta „Model na rzecz równego traktowania w Gdańsku", który wywołał sprzeciwy organizacji katolickich. – Dzięki modelowi równości środowiska LGBT otrzymają specjalne uprawnienia oraz profity w Gdańsku. Będą miały bezproblemowy dostęp do szkół i przedszkoli. Wszystko w imię równouprawnienia i tolerancji – przekonywał prezydent Adamowicz. – My wyprzedzamy swoją epokę. Wyprzedzamy stereotypy, których jesteśmy więźniami.

Były polityk PO oskarżył też Kościół katolicki o szerzenie nienawiści. – Milczący Kościół katolicki ponosi taką samą odpowiedzialność jak instytucje świeckie za to, że ten poziom homofobii, czyli niechęci czy nienawiści do osób nieheteroseksualnych, jest wysoki – grzmiał Adamowicz.

To wszystko na niewiele się zdało. Ruchy miejskie wystawiają własną kandydatkę na prezydenta – Elżbietę Kachlewską związaną z „Krytyką Polityczną". Jarosław Wałęsa liczy, że jej zwolennicy odbiorą Adamowiczowi głosy i ułatwią mu wejście do drugiej tury. A w drugiej turze w rachubach sztabu Wałęsy juniora i tak zwycięży hasło: „Każdy, byleby nie PiS-owiec".

SPRYTNA USTAWKA?

W gdańskiej Platformie panuje zaskakujący pluralizm. Liczni politycy PO z rady miasta i sejmiku samorządowego popierają Adamowicza i nikt na razie nie narzuca im dyscypliny partyjnej. Obecnego prezydenta wspierają takie tuzy gdańskiej Platformy jak obecni wiceprezydenci Piotr Grzelak i Aleksandra Dulkiewicz. Z Adamowiczem kojarzony jest szef klubu PO w pomorskim sejmiku Jacek Bendykowski. Murem stoi za prezydentem Gdańska Aleksander Hall, którego głos jest słuchany w gdańskim platformerskim światku. Modne jest mówienie w gdańskiej PO, że „jest dwóch dobrych kandydatów".

Dlaczego tym razem Grzegorz Schetyna jest tak wyrozumiały? Jeden z gdańskich dziennikarzy wskazuje: – Interesy Adamowicza i młodego Wałęsy mogą być rozbieżne, ale z punktu widzenia „układu gdańskiego" wygląda to inaczej. Dla nich taki pojedynek to genialna ustawka. Ktokolwiek wygra, konstelacja wpływów biznesowych będzie trwała. Ten fikcyjny pojedynek zabezpiecza Platformę przed odpływem wyborców centrowych, którzy czują, że Adamowicz już lekko „cuchnie". A realnym zagrożeniem dla układu i tak jest młody Płażyński. Przy pomocy Wałęsy można kandydata PiS skuteczniej zmarginalizować niż zgranym Adamowiczem.

Tak naprawdę w PO chodzi tylko o to, „aby było, jak było". Pytanie, czy tak zmyślny plan się powiedzie?

Wałęsa, rzucając wyzwanie Adamowiczowi, ma przeciwko sobie kogoś, kto jest personifikacją wszechwładzy PO w rządach nad Gdańskiem

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

WYJĄTKOWE KOSZULKI

NIE BĘDĘ PRZEPRASZAĆ ZA POLSKĘ

DO RZECZY RED IS BAD

99 ZŁ
OFERTA LIMITOWANA

WEJDŹ NA REDISBAD.PL
ZAMÓW TERAZ

prasa.pl/5dc42

Zamach

Wojciech Wybranowski

Do wysadzenia w powietrze budynku w Bielsku-Białej przyznała się tajemnicza Brygada Wschód. I zapowiada kolejne ataki w sierpniu. Przestępcy popełnili jednak jeden błąd i mogli zostawić ślady

Strach, nerwy, chaos, pirotechnicy i policyjne patrole. Tak w ostatnich dniach wygląda sytuacja na bielskim osiedlu Sarni Stok, gdzie w połowie lipca niespodziewanie runął nowo wybudowany blok. Dzisiaj już wiadomo, że budynek został wysadzony w powietrze, ktoś przygotował też detonację innego nowego bloku. – Wykluczyliśmy już możliwość katastrofy budowlanej spowodowanej wadami konstrukcyjnymi. Prowadzone postępowanie potwierdziło, że doszło do podłożenia materiałów, które spowodowały wybuch. Na miejscu cały czas pracują eksperci – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" podinspektor Elwira Jurasz, rzecznik prasowy Komendy Miejskiej Policji w Bielsku-Białej.

W liście wysłanym lokalnym mediom do zamachu przyznała się grupa rzekomych ekologów używająca nazwy Brygada Wschód. Rzekomych, bo wcześniej ani w środowisku „animalsów", ani w służbach nie słyszano o takiej formacji. Zamachowcy żądają, by budująca w Bielsku-Białej firma DVL Group Progres wycofała się z inwestycji „zagrażającej naturze". Grożą kolejnymi atakami.

– Mieliśmy już do czynienia oczywiście ze sprawami, w których używano ładunków wybuchowych, mafijnymi porachunkami, gangami, ale takiej sprawy, w której do podłożenia materiałów

eprasa.pl 15dc426468

W nocy z 16 na 17 lipca ktoś za pomocą butli gazowej wysadził w powietrze budynek na osiedlu Sarni Stok w Bielsku-Białej FOT. ANDRZEJ GRYGIEL/PAP

wybuchowych ktoś przyznawałby się w publikowanych w mediach pogróżkach, w naszym okręgu jeszcze nie prowadziliśmy – przyznaje prokurator Jacek Boda, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Bielsku-Białej.

Według nieoficjalnych informacji „Do Rzeczy" w śledztwo, m.in. w związku z zagrożeniem dla bezpieczeństwa mieszkańców, zaangażowała się także Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Minister Maciej Wąsik, sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych, nie chciał tego komentować. Ustaliliśmy jednak, że prawdopodobny sprawca (lub sprawcy) zamachu w Bielsku-Białej popełnił poważny błąd, który zdaniem policyjnych ekspertów prawdopodobnie pomoże w identyfikacji.

By lepiej zrozumieć tę historię, trzeba cofnąć się o trzy lata. Na teren dzielnicy Stare Bielsko w Bielsku-Białej wkracza deweloper DVL Group, którego głównym udziałowcem i prezesem zarządu jest Marcin Borkowski. To też prezes i członek zarządów kilku innych spółek powiązanych z DVL Group działających na rynku nieruchomości, m.in. DVL Progres i DVL Invest.

Pod koniec 2015 r. firma deweloperska rozpoczęła na leśno-parkowym terenie osiedla Sarni Stok budowę wielorodzinnego apartamentowca. Protesty okolicznych mieszkańców, którzy obawiali się, że inwestycja zagrozi środowisku naturalnemu, a przede wszystkim ich komfortowi, trwały krótko. Szybko zostali uspokojeni zapewnieniami, że nowe osiedle nie będzie dla nich uciążliwe. Wkrótce przedsiębiorca zdobył kolejne pozwolenia i obok pierwszego apartamentowca rozpoczął budowę drugiego. I znów miał do czynienia z protestami, choć także krótkimi.

W 2017 r. spółka rozpoczęła tam następną inwestycję – tym razem budowę dwóch kolejnych sporych apartamentowców. Aby było dla nich miejsce, wycięto sporo drzew.

POŻAR, WYBUCH, POGRÓŻKI

Pod koniec listopada ubiegłego roku ktoś nocą podpalił maszyny stojące na placu budowy. Zostawił list: „Odejdźcie stąd! To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie".

– Prowadzone było w tej sprawie intensywne śledztwo. Niestety zostało zamknięte umorzeniem z powodu nieustalenia sprawcy – mówi podinspektor Elwira Jurasz z KMP w Bielsku-Białej.

Przez kilka kolejnych miesięcy wydaje się, że zapanował spokój. Jednak z 16 na 17 lipca tego roku ok. godz. 3.30 mieszkańców Starego Bielska postawiły na nogi trzy donośne wybuchy. Szybko okazuje się, że zawalił się budowany na Sarnim Potoku trzykondygnacyjny budynek wielorodzinny. Rozpoczyna się akcja ratownicza – choć budynek był pustostanem, nie wiadomo było, czy nie znajdowali się w nim ludzie, np. bezdomni. Pierwsze podejrzenia – katastrofa budowlana spowodowana wadą konstrukcyjną. Strażacy szybko jednak odkryli, że w sąsiednim budynku w pomieszczeniach piwnicznych palą się śmieci, a przy nich leży 11-kilogramowa butla wypełniona propanem-butanem. Szczątki podobnej, rozerwanej butli specjaliści znaleźli w ruinach zawalonego budynku. To jej wybuch zniszczył gmach.

– Na tym etapie nie wykluczamy żadnej hipotezy, również tej, że doszło do celowego podłożenia materiałów, które spowodowały wybuch i zawalenie bloku – mówi „Do Rzeczy" prokurator Boda i zasłaniając się tajemnicą śledztwa, odmawia rozmowy o szczegółach sprawy.

Jednak eksperci, z którymi rozmawialiśmy, ludzie ze służb specjalnych i z policji, doświadczeni w walce z terrorem kryminalnym, mówią, że wszystkie znane dotąd okoliczności zdarzenia wskazują, iż w Bielsku-Białej doszło do zamachu.

– Trzeba to nazywać po imieniu – zamachem terrorystycznym. Środki, których użyto, by wysadzić budynek, są łatwe w zdobyciu, a jednocześnie niesłychanie skuteczne w pomieszczeniach zamknię-

eprasa.pl 15dc426468

tych – twierdzi w rozmowie z „Do Rzeczy" emerytowany komisarz Jacek Wrona, były funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego. – Gazy dostają się do wszystkich pomieszczeń, mieszają w odpowiednich proporcjach i jeżeli poziom krytyczny zostanie osiągnięty, to siła i moc wybuchu są tak znaczne, że powodują większe zniszczenia niż użycie trotylu czy dynamitu.

Przedstawiciele dewelopera wydali tylko oświadczenie, że to, co się zdarzyło w połowie lipca, nie przeszkodzi w dalszej realizacji inwestycji.

Tymczasem w ostatnich dniach lipca do kilku redakcji i portali internetowych trafiło pismo od anonimowej osoby przedstawiającej się jako… „łączniczka Pocahontas". Twierdzi, że reprezentuje grupę osób, określającą się mianem ekologów z Brygady Wschód. Żąda wstrzymania budowy bloków mieszkalnych, wyburzenia stojących. I grozi kolejnymi zamachami.

Zdaniem ekspertów wykorzystanie butli gazowych do zamachu może wskazywać, że został on przygotowany przez amatorów

„[…] Deweloper z Bielska-Białej uważa sabotażystów z budowy za psychopatów – pisze autor tego listu – Lecz to nie ci partyzanci są psychopatami. Prawdziwi psychopaci niszczą i zatruwają ziemię, a świat dookoła umiera. Porządni ludzie narzekają, że wszystko jest nie tak, ale zazwyczaj tylko biernie patrzą z boku. […] Ale dość tego! Minął czas wyciszania problemu. Nadszedł czas konsekwencji. Bywa, że w dobrej sprawie musimy się uciec do pirackich metod. Wtedy to piractwo staje się dobrą sprawą". Utrzymuje, że „W Bielsku-Białej, w jednej z północnych dzielnic tego miasta zawiązała się grupa wojowników, zdolna zatrzymać armię barbarzyńców". Wzywa mieszkańców miasta zainteresowanych kupnem mieszkań u tego przedsiębiorcy, by z pomysłu zrezygnowali, i grozi, że jeśli do 6 sierpnia inwestor nie zamknie budowy i nie zrezygnuje ze swoich planów, to może dojść do kolejnych zamachów.

– List bardzo egzaltowany, zdania w rodzaju „występujemy w imieniu całej przyrody", mocne nasączenie emocjonalne mogą wskazywać, że autorem listu jest prawdopodobnie kobieta, raczej osoba wykształcona, ale to wcale nie oznacza, że to ona stoi za wybuchem – mówi nam jeden z naszych rozmówców, były oficer ABW.

Miejscowa policja próbuje ustalić, kto przysłał pogróżki. I wygląda na to, że ma na to spore szanse. – Do części redakcji list został wysłany tradycyjną pocztą, ale do kilku innych, w tym portalu, który opublikował go jako pierwszy, został przesłany pocztą elektroniczną – mówi podinspektor Elwira Jurasz.

TROP POLICJI

Według informacji „Do Rzeczy" policjanci będą zapewne najpierw sprawdzać punkty pocztowe, w których nadano list – a jeśli są tam monitoringi, to i z nich zabezpieczone zostaną obrazy. Następnie sprawdzą, czy któraś z nagranych tam osób była widziana również na terenie, gdzie doszło do zamachu. Nie obędzie się też pewnie bez sprawdzenia logowań do sieci komórkowych osób, które w danym dniu były w miejscu, gdzie nadano list, ani porównanie z danymi logowań na terenie, gdzie doszło do eksplozji.

– To są podstawowe błędy, które robią amatorzy. Zapominają, że dzisiaj znaczna część miejskiej przestrzeni bywa monitorowana. Zapominają też, że również nasze telefony komórkowe mogą wiele o nas powiedzieć. Jeszcze większym błędem ewentualnych sprawców może okazać się jednak skorzystanie z elektronicznego systemu przesyłania wiadomości – mówi „Do Rzeczy" dr Łukasz Kister, były oficer Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Nie chodzi tu wyłącznie o tak banalną metodę jak sprawdzenie adresu IP pozwalającego na ustalenie lokalizacji komputera, z którego wysłano wiadomość. Niewykluczone bowiem, że osoba reprezentująca rzekomą Brygadę Wschód korzystała z kawiarni internetowej lub sieci TOR. – Internet mimo swojej pozornej wolności jest jednak siecią posiadającą punkty kontrolne pozwalające identyfikować użytkowników, w tym m.in. – najprościej mówiąc – tzw. węzłowe punkty, punkty styku, przez które przechodzi wiadomość – objaśnia dr Kister. – Po konkretnych aktywnościach danej osoby w Internecie można określić kierunek kolejnych działań, które pozwolą zweryfikować ewentualne podejrzenia.

Inny z naszych rozmówców, były oficer ABW, mówi, że jeśli nadawca listu skorzystał z kawiarenki internetowej, to przydatny będzie monitoring miejsca, w tym specjalistyczne programy geolokalizacyjne używane już także przez polskie służby. W dodatku „łączniczka Pocahontas" w liście wskazała zwrotny adres mailowy do kontaktu z nią. „[…] Po przeczytaniu powyższej wiadomości proszę ją skopiować oraz trwale usunąć, wraz z adresem e-mail nadawcy. […] W razie potrzeby kontaktu proszę pisać na adres: [do wiadomości redakcji]" – czytamy w piśmie Brygady Wschód.

– Policja i służby sprawdzą, gdzie założono oba adresy mailowe, jak często były używane, w jakich lokalizacjach. W piśmie, które opublikował jeden z portali, owa „łączniczka Pocahontas" przeprasza za problemy w edycji e-maila i tłumaczy to ograniczeniami urządzenia, z jakiego pocztę wysłała. Czyżby był to telefon komórkowy? – zastanawia się nasz rozmówca. – Zostawiono ślady, które będą bardzo przydatne – dodaje.

AMATORZY CZY TERRORYŚCI?

Zdaniem ekspertów także wykorzystanie butli gazowych może wskazywać na działania amatorów. – Nie można sobie wyobrazić prostszej konstrukcji, każda inna wymaga już specjalistycznej wiedzy z zakresu działania ładunków wybuchowych, bo przecież np. trotyl nie wybuchnie w ogniu, jeśli nie doprowadzi się do uzyskania pewnych warunków. Bomby paliwowe jeśli nie osiągną pewnego składu, również nie są groźne. A tu? Wystarczyło poczytać w Internecie – mówi Jacek Wrona.

Wśród hipotez, które będą sprawdzali śledczy, oprócz wątku związanego z ekoterroryzmem prawdopodobnie będzie też taki dotyczący porachunków biznesowych. Sprawdzany będzie też ewentualny udział w tym terrorystów spoza Polski, choć nasi rozmówcy uważają „wątek wschodni" w całym zdarzeniu za mało prawdopodobny. Zwracają uwagę na coraz większe zagrożenie, jakim w Europie staje się tzw. ekoterroryzm, który powoli zaczyna przenikać także do Polski. W maju 2015 r. policjanci w powiecie kozienickim zatrzymali mężczyznę, który wysadził w powietrze dwie ambony myśliwskie. W jego mieszkaniu znaleziono m.in. nielegalną amunicję i sporą ilość trotylu.

Wcześniej w Polsce przez długi czas blokowano m.in. budowę obwodnicy Augustowa, wymuszając kosztowną zmianę projektowanej trasy. Próbowali też zablokować w Puszczy Białowieskiej wycinkę drzew zaatakowanych przez kornika drukarza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY SEJM

niepodległa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WSPÓŁORGANIZATOR

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

SPONSOR PGNiG

PARTNERZY PKP INTERCITY

PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company

TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl 15dc426468

Agnieszka Niewińska

Przypadek Tysona

Kontrowersyjna kampania historyczna ze znanym bokserem to nie tylko reklama. Właściciel FoodCare wymierzył tym cios rywalowi na rynku napojów energetycznych

74 lata temu, 1 sierpnia 1944 r., w obliczu zła dokonany został jeden z najodważniejszych czynów w dziejach ludzkości – oświadczył do kamery amerykański pięściarz Mike Tyson. Ubrany w koszulkę z logo Black – napoju energetycznego polskiej produkcji – i z powstańczą opaską na ramieniu recytował niezdarnie: – Jestem znany na całym świecie, byłem niekwestionowanym mistrzem wagi ciężkiej. Lecz dla mnie prawdziwymi mistrzami są ci dzielni polscy bohaterowie. Walczyli za wolność przeciwko prześladowczym i brutalnym siłom zła.

Film z Tysonem przygotowała firma FoodCare z małopolskiego Zabierzowa. Bokser od lat jest jej twarzą reklamową. Jednak jego występ w nowej roli nie wszystkim przypadł do gustu. Część osób wytykała, że to człowiek, który na ringu odgryzał uszy przeciwnikom, na ciele wytatuował sobie Che Guevarę i Mao, a w więzieniu odsiadywał karę za gwałt.

PROMOCJA CZY PRZTYCZEK W NOS?

Szymon Sikorski, dyrektor agencji Publicon, nie ma wątpliwości, że film z Tysonem opowiadającym o Powstaniu Warszawskim to nie tyle szlachetna akcja promocji polskiej historii przez FoodCare, ile prztyczek w nos w stosunku do innego spożywczego giganta – wadowickiego Maspexu, producenta napoju energetycznego Tiger. Tiger zresztą został wprowadzony na rynek przez właściciela FoodCare, ale po konflikcie z pięściarzem Dariuszem Michalczewskim, który był twarzą marki, zaczęła go produkować firma z Wadowic. W ubiegłym roku marketingowcy Tigera zelektryzowali opinię publiczną grafiką zamieszczoną na Instagramie z okazji 1 sierpnia. Na banerze można było zobaczyć środkowy palec w obraźliwym geście i sentencję: „Chrzanić to, co było, ważne to, co będzie".

Grafika wywołała burzę, a prezes Maspexu przyznał potem, że był to najpoważniejszy kryzys wizerunkowy w historii firmy. Maspex przeprosił za obrazek, wpłacił 500 tys. zł na konto Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i zaangażował się w wiele inicjatyw pomocy powstańcom i propagowania wiedzy o Powstaniu Warszawskim realizowanych wspólnie z Muzeum PW.

– A teraz producent napoju Black chce się wpisać w te działania, pokazać, że on o powstaniu potrafi opowiedzieć lepiej, dotrze do większej liczby osób. Z pewnością wciągnięcie do kampanii Mike'a Tysona daje jej większy medialny zasięg, bo choć to były kokainista, damski bokser i bankrut, to wciąż jest rozpoznawalną postacią na świecie. Wszystko jest kwestią smaku – mówi Szymon Sikorski. Sam zaangażowania Tysona do opowiadania o Powstaniu Warszawskim żadnej firmie by nie doradzał.

Wiesław Włodarski, prezes rady nadzorczej FoodCare, broni decyzji o produkcji filmiku z bokserem. – Wyrażanie uznania i szacunku dla bohaterów powstania, zarówno tych, którzy przeżyli, jak i tych zamordowanych przez niemieckich nazistów, nie powinno być ograniczone tylko do ludzi, którzy nigdy nie zrobili w życiu niczego złego. To, że jeden z najbardziej znanych sportowców na świecie, który po latach mrocznej przeszłości odmienił swoje życie, pokazuje szacunek dla tych polskich bohaterów, jest ogromnym świadectwem pamięci dla nich – mówi „Do Rzeczy" Włodarski. I dodaje, że kampania z Tysonem to akcja edukacyjna na światową skalę, bo dzięki udziałowi boksera tysiące, a być może miliony ludzi dowiedziało się o Powstaniu Warszawskim. Przypomina, że firma umieściła też w „New York Timesie" reklamę, która dotarła do innych odbiorców niż fani Tysona. – Dzięki zróżnicowaniu komunikacji docieramy do ogółu społeczeństwa w Stanach Zjednoczonych. Brakowało do tej pory takich przekrojowych działań w międzynarodowej komunikacji. Jesteśmy z tego niesamowicie dumni – dodaje Włodarski.

KRÓL DESERÓW

Na taką kampanię FoodCare z pewnością było stać. Wiesław Włodarski – jej prezes i założyciel – na dorocznej liście

eprasa.pl 15dc426468

Nie wszystkim spodobało się to, że o polskim bohaterstwie opowiada w reklamie akurat Mike Tyson, który był m.in. skazany za gwałt FOT. FOODCARE/YOUTUBE

najbogatszych Polaków przygotowywanej przez „Wprost" znalazł się w tym roku na 55. pozycji z majątkiem wycenianym na 700 mln zł. Jego firma produkuje m.in. napoje izotoniczne 4move i N-Gine, Frugo, desery Gellwe, płatki Fitella, wody Ostromecko.

Włodarski zaczynał od łakoci. Do tej pory bywa zresztą nazywany królem deserów. Już jako 19-latek kupił maszynę do lodów, a następnie założył kawiarnię w małopolskiej Alwerni. Media często przypominają, że po mleko w proszku do produkcji lodów stał w kolejkach w aptekach. W 1984 r. założył firmę Gellwe. Jego budynie, kisiele i galaretki szybko podbiły polski rynek i poważnie utrudniły opanowanie go zagranicznemu gigantowi – firmie Dr. Oetker. A Włodarski poszerzał ofertę o ciasta w proszku, polewy, kakao.

Biznesową intuicją popisał się także, reaktywując słynny w latach 90. napój Frugo. W 2011 r. odkupił markę od Aflofarmu za 1 mln euro i na nowo wprowadził na rynek. W ciągu zaledwie dwóch lat sprzedał 200 mln butelek. – Ta kultowa już marka stale się rozwija, wprowadzamy nowości, w tym roku Frugo Young Stars – orzeźwiające napoje reklamowane przez artystów młodego pokolenia. Pracujemy nad innowacjami i znów zaskoczymy w przyszłym roku – zapowiada Włodarski.

SPÓR Z CELEBRYTĄ

Napoje energetyczne to oddzielny rozdział w biznesowej działalności Włodarskiego. W tym rynku dostrzegł ogromny potencjał rozwoju własnego biznesu. Opowiadał, że na pomył wpadł, wracając z Wiednia – na stacji benzynowej kupił napój energetyczny i uznał, że sam mógłby wyprodukować podobny. Tak powstał Tiger, któremu pseudonimu i twarzy użyczył pięściarz Dariusz Michalczewski.

Napój szybko stał się hitem, a w sprzedaży wyprzedził zagranicznego Red Bulla. W 2010 r. doszło jednak do konfliktu z Michalczewskim, który wypowiedział umowę FoodCare i związał się z Maspexem. Konflikt prawny o markę Tiger trwał latami. Sądy orzekły na korzyść Michalczewskiego, ale Włodarski nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. W kwietniu w „Rzeczpospolitej" mówił, że rozważa kasację.

Nie czekał jednak na rozstrzygnięcie sporu o Tigera i od razu zaczął tworzyć nową markę – Black. Dzisiaj to ten napój jest liderem wśród energetyków. Z danych Centrum Monitorowania Rynku wynika, że w sklepach małopowierzchniowych (do 300 mkw.) od stycznia do października 2017 r. to FoodCare miał największy udział w wartości sprzedaży (27 proc.) przed Red Bullem (22 proc.) i Maspexem (17 proc.). Black Energy Drink jest dostępny obecnie w 56 krajach na świecie. Firma planuje dalszą ekspansję, od dłuższego czasu szturmuje rynek amerykański.

Spory sądowe FoodCare toczy nie tylko o Tigera. W 2008 r. głośno było o pożegnaniu się z firmą jej wieloletnich pracowników – Dariusza Gałęzewskiego i Dominika Dolińskiego. Na odchodne dostali w prezencie koce – „by mieli się czym okryć, gdy będą spać pod mostem". – Jeden daje złote pióro, drugi pieniądze, a trzeci koc – komentował prezent od byłego szefa Dariusz Gałęzewski dla Money.pl. Wbrew przewidywaniom prezesa FoodCare nie wylądowali pod mostem. Stworzyli markę napojów izotonicznych Oshee i szybko stali się liderem rynku, tocząc zresztą kolejne spory sądowe z Włodarskim, który też zrobił krok w stronę izotoników. Wypuścił m.in. 4move w butelkach łudząco podobnych do Oshee, a gospodarcze periodyki opisywały kolejne odsłony sądowej wojny firm o napoje.

Czy filmik z Tysonem to tylko kolejna odsłona wojny z Maspexem, który – chcąc nie chcąc – po ubiegłorocznej wpadce zaangażował się w temat pamięci o Powstaniu Warszawskim? Do tej pory firma FoodCare nie była znana z działań na rzecz odpowiedzialnego biznesu związanych z patriotyzmem czy historią. Czy na Tysonie poprzestanie? – Jako polska prywatna firma chcemy dbać o wizerunek Polski na świecie. Dobre imię naszego kraju to odpowiedzialność nie tylko rządu, lecz także wszystkich Polaków. Podróżując po świecie, zawsze jestem dumny z mojej polskości, więc dla mnie była to po prostu kontynuacja tego, co zawsze w jakiś sposób, tylko na mniejszą skalę, robiłem – mówi nam Włodarski. I dodaje: – Dbamy o naszą markę oraz naszą firmę i jesteśmy naprawdę dumni z Polski! Brak wystarczającej wiedzy o polskiej historii na całym świecie zachęcił nas do zrobienia wszystkiego, co w naszej mocy, jako patriotycznej firmy, aby pomóc to zmienić. Będziemy robić o wiele więcej w niedalekiej przyszłości, planujemy nasze działania długofalowo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Wilki na Słowacji

Maciej Pieczyński

Nocne Wilki to forpoczta rosyjskiego imperializmu. Marzy im się odbudowa Związku Sowieckiego. Wzięli udział w agresji na Ukrainę, a od niedawna stacjonują blisko granic Polski

Niedaleko Bratysławy powstała europejska siedziba paramilitarnej grupy, dowodzonej przez przyjaciela Władimira Putina. „Koszary" motocyklowego gangu Nocne Wilki otoczone są dwumetrowym płotem, zwieńczonym drutem kolczastym. Na zdjęciach wykonanych przez dziennikarzy dronem oraz z tych udostępnionych przez samych motocyklistów widać m.in. czołg i transportery opancerzone. Według informacji podanych przez słowacką policję jest to sprzęt historyczny, z którego „z pewnością nie da się strzelać". Pojazdy wojskowe mają stać się eksponatami w muzeum, którego otwarcie zaplanowano na jesień. Wiadomo jednak, że na terenie bazy prowadzone są ćwiczenia wojskowe. Biorą w nich udział Słowaccy Poborowi. Jan Gebert, autor filmu dokumentalnego poświęconego tej organizacji, nazwał ją w niedawnym wywiadzie dla Gazeta.pl „przykładem nowej fali populizmu i faszyzmu, który rośnie w siłę w Europie". Poborowi odwołują się do panslawizmu, czyli idei jedności Słowian pod rosyjskim protektoratem. Przywódca grupy, Peter Svrcek, w wieku 15 lat pojechał do Rosji na obóz treningowy współorganizowany przez specnaz. Nic dziwnego, że znalazł wspólny język z liderem Nocnych Wilków – Aleksandrem „Chirurgiem" Załdostanowem. Czołgi i transportery nie przyjechały jednak ze wschodu. Według portalu Pravda.sk zostały wypożyczone ze słowackiego Wojskowego Instytutu Historycznego, podlegającego tamtejszemu MON, w ramach „promocji historii wojskowości". Gdy w ministerstwie zorientowano się, kto tę historię ma promować, zapadła decyzja o zakończeniu umowy i zwrocie sprzętu. Właścicielem zarówno terenu bazy, jak i oficjalnie powstającego muzeum militariów jest Jozef Hambalek – szef słowackiego oddziału Nocnych Wilków.

– Nocne Wilki nie tylko głoszą szowinistyczne, imperialne poglądy, lecz także biorą udział w imperialnej polityce Kremla. Mają bliskie związki z Putinem i rosyjskimi służbami, brały udział w aneksji Krymu. To wszystko jednak jeszcze nie oznacza, że ich baza na Słowacji stanowi bezpośrednie zagrożenie militarne czy wywiadowcze dla państw UE i NATO. Problemem jest natomiast fakt, że władze słowackie pozwoliły na jej powstanie. To ociera się o skandal – uważa dr Łukasz Adamski, zastępca dyrektora Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Jego zdaniem celem ludzi Załdostanowa jest rozbijanie jedności w Europie. – To prowokacja wobec tych, którzy przestrzegają przed agresywną polityką Kremla. Baza Nocnych Wilków na Słowacji ma pokazać, że są takie kraje w UE, gdzie propagowanie rosyjskiego imperializmu jest akceptowane.

MOTOCYKLIŚCI PUTINA

Nocne Wilki powstały jeszcze przed upadkiem ZSRS. I jest on dla nich tylko kolejnym wcieleniem rosyjskiego imperializmu – najbardziej udanym, bo zwieńczone pokonaniem Hitlera i podbojem połowy Europy (choć oficjalnie tylko to pierwsze osiągnięcie jest przedmiotem kultu). „Bożkiem" dla Załdostanowa (jak i dla Putina, choć prezydent państwa jest w wyznaniu wiary dużo bardziej ostrożny niż prezydent klubu motocyklowego) nie jest Lenin, tylko Stalin.

O Nocnych Wilkach robi się głośno co roku na początku maja, gdy ten klub motocyklowy rusza szlakiem Armii Czerwonej od Moskwy do Berlina, by uczcić Dzień Zwycięstwa. A ponieważ oprócz pomocy „zielonym ludzikom" na Krymie otwarcie przyznają też, że część z nich – choć nie pod szyldem klubu – brała udział w walkach w Donbasie, pojawiają się obawy, czy ich sentyment do zwycięskiego marszu Armii Czerwonej

eprasa.pl 15dc426468

na Zachód nie wyjdzie poza sferę czysto propagandową.

Za czynny udział w aneksji Krymu Załdostanow dostał od Putina medal, przez Waszyngton zaś został objęty sankcjami. Szefa Nocnych Wilków łączy zresztą ponoć szczera przyjaźń z prezydentem Rosji. Lubią pokazywać się razem. – Sasza [Załdostanow – przyp. red.] mówił mi, że gdyby Władimir Władimirowicz nie był prezydentem, to na pewno jeździłby na motocyklu i cieszyłby się tą wolnością. Widać to po tym, jak mu oczy płoną, gdy tylko wsiada na motocykl – opowiadał Siergiej Gagarinski, szef samarskiego oddziału NW, w rozmowie z rosyjską telewizją.

Klub cieszy się nie tylko przyjaźnią, lecz także wsparciem finansowym ze strony Kremla. Nocne Wilki są zresztą w pewnym sensie emanacją Putinowskiej ideologii. A właściwie ideowej mieszanki, która dominuje w poglądach forsowanych przez państwową propagandę, a także wyznawanej oddolnie przez ogromną część rosyjskiego społeczeństwa. Nocne Wilki biorą udział w pielgrzymkach motocyklowych, deklarują przywiązanie do prawosławia, a kilka lat temu, jeszcze przed wybuchem wojny na wschodzie Ukrainy, eskortowali z Doniecka do Sewastopola trzynastotonowy dzwon cerkiewny – podarunek od Wiktora Janukowycza z okazji rocznicy chrztu Rusi. Oczywiście w ramach promocji „Rosyjskiego Świata".

Bardziej interesujące są jednak poglądy Nocnych Wilków na politykę i historię. Gdy w 2015 r. po raz pierwszy klubu nie wpuszczono do Polski, Załdostanow publicznie nazwał Polaków policjantami obozów koncentracyjnych. Później z tych słów częściowo się wycofał. Z jego tłumaczeń wyłania się następujący obraz: „Tylko część Polaków współpracowała z Hitlerem i właśnie ich ideowi spadkobiercy są przeciwni naszemu przejazdowi. A tak w ogóle to szanuję Polaków, bo ramię w ramię z Armią Czerwoną szli do Berlina". Czyli: antysowietyzm równa się faszyzmowi, a jedyną słuszną opcją byli berlingowcy. Przy czym Załdostanow i jego ludzie w wypowiedziach medialnych sugerują, że to ta druga, przyjazna im grupa Polaków przeważa. Zgodnie z typowym dla rosyjskiej propagandy podziałem na złą, rusofobiczną władzę w Warszawie i na dobry ogół społeczeństwa, który podziela szacunek do „bohaterów Armii Czerwonej", „pogromców Hitlera". Gdy rok temu polska straż graniczna zatrzymała jednego z Nocnych Wilków, Załdostanow interpretował to po swojemu, twierdząc, że władze w Warszawie „nie mogą się pogodzić ze społecznym poparciem dla naszego marszu".

SENTYMENT DO STALINA

Obszerną wykładnię poglądów Nocnych Wilków w wersji oficjalnej przedstawia wywiad, którego „Myśli Polskiej" udzielił jakiś czas temu Andriej Bobrowski, kierownik rajdu „Drogi Zwycięstwa". „[…] święcie czcimy Sztandar Zwycięstwa – splamiony krwią, w dodatku za wolność wielu państw. Z dumą go nosimy. Pod tym sztandarem zginęło 27 milionów obywateli sowieckich" – argumentował Bobrowski. A na pytania o „trudną przeszłość" Polski i Rosji odpowiadał tak: „Stalina nie mam prawa krytykować, wiem tylko, że w epoce jego panowania była najbardziej brutalna i najbardziej krwawa wojna. Wiem, że po sobie zostawił on wielki kraj. Wiem też, że po konferencjach jałtańskiej i poczdamskiej w 1945 r. oddał Polsce część ziem wtedy niemieckich; również sowieccy żołnierze rozgromili i zlikwidowali obozy koncentracyjne, w których Niemcy bezlitośnie masakrowali Polaków. Wiem, że zniszczył Banderowskich drani, którzy na Wołyniu w 1943 r. dokonali ludobójstwa na Polakach – organizując rzeź na starcach, kobietach, dzieciach".

Postawa Nocnych Wilków wobec polsko-rosyjskiej przeszłości nie jest jednak zupełnie jednoznaczna. Ich pierwszym przystankiem na trasie „Dróg Zwycięstwa" jest Katyń, gdzie składają kwiaty na grobach polskich oficerów pomordowanych przez NKWD. Współpracują z polskimi motocyklistami z Międzynarodowego Motocyklowego Rajdu Katyńskiego (rodziny ofiar odcięły się od Rajdu Katyńskiego, gdy jego organizatorzy zadeklarowali uczczenie pamięci czerwonoarmistów, a także wystąpili w obronie niewpuszczonych do Polski ludzi Załdostanowa). W 2017 r. Nocne Wilki w niepełnym składzie (dziewięciu osobom nie pozwolono przekroczyć granicy) swój przejazd przez Polskę rozpoczęły od wizyty w Braniewie, na największym w Europie cmentarzu żołnierzy sowieckich. W uroczystościach wzięli tam udział rosyjscy dyplomaci i przedstawiciele obwodu kaliningradzkiego, którego gubernator wygłosił pojednawcze przemówienie o „szukaniu tego, co łączy" Polaków i Rosjan. Nie doszło do żadnych incydentów, choć na harleyach „przyjaciół Putina" powiewały czerwone flagi z sierpem i młotem. Nocne Wilki, przejeżdżając przez centrum Braniewa, złożyli kwiaty pod pomnikiem… gen. Władysława Andersa. Tak, tego Andersa, twórcy sformowanej z polskich więźniów i zesłańców armii, która wyszła z ZSRS do Iranu. Tego Andersa, którego powrotu „na białym koniu" i wyzwolenia Polski spod sowieckiej okupacji wyczekiwali Polacy.

To nie oznacza też jednak, że Nocne Wilki to organizacja propolska. Po pierwsze – w Katyniu mordowano również Rosjan. Moskwa już do tej zbrodni dawno się przyznała i choć od dawna próbuje się ją bagatelizować, rozmywać odpowiedzialność i równoważyć oskarżaniem Polaków o rzekome zbrodnie na sowieckich jeńcach, to jednak uczczenie ofiar katyńskich niewiele kosztuje wizerunkowo. Po drugie, zarówno sprawa Katynia, jak i okazanie szacunku żołnierzom Andersa może być narzędziem do moralnego szantażu („Patrzcie, my szanujemy wasze groby, uszanujcie więc nasze pomniki!"). Rosyjska propaganda, oprócz tępej siły, posługuje się również o wiele, wiele bardziej wyrafinowanymi metodami.

Warto poznać wizję dziejów forsowaną przez Nocne Wilki. Podczas zeszłorocznego „bike show" (wielka impreza artystyczna organizowana przez klub, która stanowi popularyzatorską część jego działalności, również ideologicznej) w Sewastopolu można było zobaczyć przedstawienie opowiadające najnowszą historię Rosji. Jako didaskalia do występów posłużył tekst nacjonalistycznego publicysty Aleksandra Prochanowa, którego poetyckim rozwinięciem stał się poemat Leonida Korniłowa pt. „Rosyjski reaktor". Skojarzenia z bombą jądrową nasuwają się same. W warstwie metaforycznej chodzi jednak o naród rosyjski, jako „reaktor" potrafiący sam z siebie zrodzić potężną energię. W tej wizji dziejów rewolucja 1917 r. i następująca po niej wojna domowa to wielki kataklizm wywołany przez siły Zachodu, aby zniszczyć Rosję i zabrać jej Kaukaz i Ukrainę. Na szczęście w odpowiednim momencie przybywa „rycerz na białym koniu". Brutalny, ale wielki: „Stalin represjami i terrorem zatrzymał magmę niszczącej energii narodu i skierował ją w stronę modernizacji. Ogłosił sprawiedliwość, zwrócił narodowi marzenia o idealnym bycie. I ta energia […] pokonała faszystowskie imperium Hitlera, pomalowała cały świat w czerwone, sowieckie barwy". Potem jednak przyszła smuta czasów Gorbaczowa, przedstawiona jako biblijny wąż. „Na szczęście" dziś „Reaktor Zwycięstwa znów podnosi się z kolan!". Pytanie, jak daleko pójdzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

eprasa.pl 15dc426468

Joanna Lichocka

Rajza wrześniowa

Gdyby nie awantura na granicy polsko-rumuńskiej, Jarosław Marek Rymkiewicz mógłby nie być polskim pisarzem

To, że nie ma konieczności narodzin, że człowiek akurat ten, taki jak Jarosław Marek Rymkiewicz, wcale nie musiał się urodzić, poeta mówi nam od czasu do czasu. Jest tylko konieczność śmierci i ta bezwzględność kresu istnienia jest najważniejszym tematem poetyckim autora. W tomiku „Koniec lata w zdziczałym ogrodzie” i oktostychu pod tym samym tytułem mówi: „To co zjawia się wiosną – jesienią gdzieś znika / I to jest cała moja tu problematyka”. Kwestia przyczyny istnienia, powodu tego, że ktoś, coś, akurat ten, a nie inny, pojawia się wiosną, jest w twórczości Rymkiewicza mocno niejasna. W cyklu „Zapiski starucha” w odcinku „O moim dziadku Wiaczesławie” Rymkiewicz pisze: „W narodzinach (jakiegokolwiek życia) nie ma nic koniecznego – można się urodzić, ale można się też nie urodzić; konieczna jest tylko śmierć”.

Można się nie urodzić, bo mogło coś w przeszłości wydarzyć się inaczej, pójść inaczej, by nas – każdego z nas – na świecie nie było. Tak pisarz bawi się tą myślą w „Wieszaniu”, pisząc o swoim bezpośrednim przodku z czasu insurekcji: „Ów Baranowski, pułkownik imieniem Mustafa, był dowódcą polskiego pułku lekkiej kawalerii stacjonującego wówczas w Wiłkowiszkach. […] opowiedział się, jawnie i bezczelnie, po stronie samozwańczego hetmana polnego oraz rosyjskich okupantów. […] Gdyby ów pułkownik Mustafa został wówczas w Wiłkowiszkach nieopatrznie powieszony, to dalsze dzieje tatarskiej rodziny Baranowskich mogłyby się ułożyć jakoś całkiem inaczej, mogłyby się nawet zatrzymać lub skręcić w jakimś niewiadomym kierunku, mogłyby się kompletnie zwichrować, także i w ten sposób, że teraz nie byłoby mnie na świecie, nawet nigdy bym się na nim nie pojawił – przykrość wreszcie niewielka, ale trzeba przyznać, że byłaby to trochę niewygodna i kłopotliwa dla mnie (i dla dalszego ciągu tej książki, którą właśnie piszę) ewentualność. Książki by nie było i ty, miła czytelniczko, książki tej byś teraz nie czytała – taki byłby skutek powieszenia pułkownika Mustafy na sosence w Wiłkowiszkach”. Nieistnienie, nieżycie, „przykrość wreszcie niewielka” – pisze narrator kokieteryjnie do miłej czytelniczki, wiedząc chyba dobrze, że czytelniczka z miejsca zaprotestuje.

PRZYPADEK?

Protestuje przeciwko władzy przypadków nad istnieniem wcześniej i sam narrator „Rozmów polskich latem 1983 roku” (nawet sporo wcześniej – wydanie „Rozmów” i „Wieszania” dzieli 24 lata). Otóż zdaniem pana Mareczka jego zaistnieniem nie może kierować przypadek, decyduje się ono w miejscu, gdzie historia spotyka się z metafizyką – i jest to w przekonaniu pana Mareczka w przypadku jego istnienia miejsce nad Wieprzem i początek ofensywy Piłsudskiego, a w jej efekcie klęska bolszewików (bo gdyby Rosjanie nie zostali odparci, rodzice pana Mareczka byliby zamordowani lub zesłani na Sybir, zanim się w ogóle poznali). „Każde ważne wydarzenie historyczne decyduje przecież – i to w sposób ostateczny – o losie tysięcy istnień ludzkich, co już zaistniały, i o losie milionów istnień, co mogą, ale nie muszą zaistnieć. Ale jeśli o mnie chodzi, to właśnie to miejsce wydaje się szczególnie ważne – rozmyśla pan Mareczek o brzegu Wieprza. – Tu metafizyka zapytuje historię, czy to poszczególne istnienie ludzkie – moje – ma zaistnieć, a historia zastanawia się, jak ma odpowiedzieć na to pytanie. Ale kiedy tak to ujmuję, czuję się od razu poniżony i nie wyrażam zgody na to, aby jakaś potyczka, co odbyła się lub nie odbyła sto czy tysiąc lat temu, miała decydować o tym, że ja istnieję, jestem. Bo to oznaczałoby, że jestem niekonieczny, przypadkowy, że moje istnienie jest i zawsze, nim jeszcze zaistniałem, było uzależnione od miliona, tryliona przypadków historycznych. […] Więc jednak nieco inaczej, a nawet całkiem inaczej powinienem to ująć, mówiąc, że w tym tajemniczym miejscu przecięcia – bo ono oczywiście istnieje – gdzie decyduje się to, czy zostanę przywołany, czy nie, to nie metafizyka błaga historię, by pozwoliła mi kiedyś zaistnieć i tak zaistnieć, jak właśnie istnieję, lecz przeciwnie, historia pada na kolana przed metafizyką i prosi, by wolno jej było potoczyć się tak, jak pragnie tamta, potężniejsza, oraz by wolno jej było powołać mnie lub nie powołać do istnienia, oczywiście dostosowując się do decyzji

eprasa.pl 15dc426468

tamtej, potężniejszej. Ale metafizyka jest mądra, nie będzie przecież ujawniać przed głupią historią swoich sekretnych planów dotyczących przyszłych istnień ludzkich, więc mówi: – Tocz się, jak chcesz, głupia historio, i tak się stanie wedle mojej woli, i tak potoczysz się tak, jak ja chce, choć wcale o tym nie będziesz wiedziała, i te istnienia, które sobie umyśliłam, i tak pojawią się akurat wtedy, kiedy będę sobie tego życzyć, i akurat w takim kształcie, jaki chcę im nadać, albowiem to ty mi służysz, nie ja tobie […]. W tym punkcie przecięcia, gdzie o mnie zadecydowano, historia, jeśli przemówiła, to miała głos zaledwie doradczy. Bo człowiek jest po to, aby służyć Bogu. A dopiero potem jeśli chce, niech służy historii”.

Zatem – gdybyśmy się tego trzymali, nie bacząc na późniejsze zwątpienia poety w tę teorię – istnienie pana Mareczka z „Rozmów...”, narratora „Wieszania” i Jarosława Marka Rymkiewicza, byłoby dzięki sprawstwu metafizyki, nie przypadku.

TURECKI CHŁOPIEC

Tyle że metafizyka musiałaby się w przypadku naszego poety wtrącać kilka razy. Nie wiemy bowiem na przykład, gdzie było to miejsce, w którym wtrąciła się, by Jarosław Marek Rymkiewicz się narodził jako ten właśnie chłopczyk tych rodziców, a nie półtureckie chłopię. Miał niewątpliwie na to szansę (oprócz nieistnienia). Wspomina o tym w „Kinderszenen”, gdy opisując dramatyczną, zapierającą dech w piersiach ucieczkę przed łapanką ulicami wojennej Warszawy, przypomina swoje dziecięce wspomnienie – upokorzony mówi, że ma dość bycia polskim chłopcem, chce być tureckim. I to, jak mama wykręciła mu ucho, by nigdy więcej tak nie ważył się mówić. Potencjalna tureckość Jarosława Marka Rymkiewicza wzięła się stąd, że jego mama, nim wyszła za mąż za ojca poety, miała romans z tureckim lekarzem i oficerem wojsk Atatürka, niejakim Razim, którego poznała w czasie wycieczki lekarzy do Turcji. Jego zdjęcia wklejone były do albumu rodzinnego, a dzieci doskonale wiedziały, że był taki wspaniały, przystojny Turek i że mama jednak go nie wybrała (a przecież mogła, a oni, Alinka i Jarek, mogliby być dziećmi ze Stambułu, nie z Warszawy). „Czy moglibyśmy być dziećmi tureckimi, półtureckimi?” – przywołuje w „Kinderszenen” autor wiążące się z tym romansem rozważania z dzieciństwa. I zdania, które wypowiedział do matki po ucieczce przed Niemcami na pl. Zbawiciela: „Zostaw mnie tu – powiedziałem. – Nigdzie nie pójdę. Nie chcę być Polakiem. Chcę mieszkać w Stambule. Chcę, żebyśmy tam oboje mieszkali”. Narrator „Kinderszenen” komentuje to tak: „To był (jak teraz to oceniam) jeden jedyny wypadek w moim życiu, kiedy moja tożsamość była poważnie zagrożona; jeden jedyny przypadek, kiedy miałem kompletnie dość mojej polskości…”.

Znamy jednak inny moment, całkiem konkretne miejsce i czas, w którym zdecydowała się – jednoznacznie – polskość poety.

CUDOWNE OCALENIE

Rajza wrześniowa – tylko tak mówi się w domu w Milanówku o wydarzeniach, które były udziałem przyszłego poety i jego rodziny w pierwszych tygodniach wojny. Można z dużą dozą pewności napisać, że gdyby przebiegła inaczej, ty, miły czytelniku, tomików poetyckich Rymkiewicza ani jego głośnych książek byś nie czytał – bo nie byłoby pewnie ani „Wieszania”, ani „Kinderszenen”, ani „Encyklopedii Słowackiego”, ani cyklu mickiewiczowskiego. Chociaż może – nie wiemy, jakie alternatywne ewentualne plany miała metafizyka – byłyby jakieś inne książki, jakieś inne wiersze – angielskiego lub amerykańskiego pisarza polskiego pochodzenia Yaroslava Marca Schultza.

To, że tak się nie stało, pan Mareczek w „Rozmowach polskich…” nazwał cudownym ocaleniem. Nie ma konieczności narodzin, ale – gdy już się człowiek narodzi – nie ma też konieczności bycia Polakiem. A jest to dla pana Mareczka ewentualność dramatyczna: „Powiedzmy, że jestem Anglikiem – mówi pan Mareczek. – Choć nie rozumiem, jak można być Anglikiem. Można być tylko Polakiem. Być kimś innym to przecież jakaś straszna kara za nie wiadomo jakie, ale na pewno potworne grzechy”.

„Rajza” – to słowo przeniesione z języka niemieckiego, „Reise” oznacza podróż, dziś jest rzadziej używane, a jeśli już – tak podpowiada mi intuicja językowa ze współczesnej centralnej Polski – to z kontekstem ironii, czegoś niepoważnego, może nawet szalonego.

Nasza rajza, wrześniowa, oznacza drogę kolumną autobusów zatłoczonymi drogami, między nalotami i ostrzeliwaniem z karabinów maszynowych. Ze spadającymi bombami obserwowanymi zza okien hotelu aż do mostu na rzece granicznej. I z powrotem, wozem lawirującym między trupami koni, lejami po bombach, między Sowietami a Niemcami.

Wtedy, droga metafizyko, zdecydowało się to, że mamy poetę?

Pisarz wspomina rajzę w „Rozmowach polskich latem 1983 roku” i w „Kinderszenen”. Mówi o niej także siostra poety w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”:

„Kiedy Niemcy zbliżali się już do Warszawy, rzucono hasło opuszczania miasta. Ten exodus to było szaleństwo. Ruszyliśmy w kierunku wschodnim autobusem ewakuacyjnym, który Kasa Chorych podstawiła dla swoich pracowników i ich rodzin. Jechaliśmy kilka dni. Bardzo się bałam bombardowań i płakałam, Jarek jeszcze nie rozumiał i wołał: »Ale walą, ale walą!«. Jego to bawiło. Ile on miał... Cztery lata. Myślę, że rodzice nawet mu nie tłumaczyli, co się dzieje”.

Od razu sprostujmy – nie Kasa Chorych, ale Ubezpieczalnia Społeczna, bo w taką formę przekształciły się na cztery lata przed wojną Kasy Chorych. Hanna Szulc pracowała na etacie w szpitalu ubezpieczalni, który mieścił się na Powiślu, przy ul. Solec, a jako wolontariuszka w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Kamienica przy ul. Nowogrodzkiej 33, w której mieszkali rodzice poety, była w samym Śródmieściu, na rogu Marszałkowskiej, i ten obszar miasta był silnie bombardowany w pierwszych dniach września.

Nie udało mi się ustalić, którego dnia wyruszył konwój ewakuacyjny Ubezpieczalni Społecznej – czy było to 6, czy raczej 7 września zaraz po apelu płk. Umiastowskiego. Chyba musiało być to jednak po, bo taką kolej rzeczy – najpierw wezwanie przez radio do wyjścia z miasta, a potem wyjazd – zapamiętał z dzieciństwa, podobnie jak jego siostra, poeta. Ze wspomnień autora „Kinderszenen” wynika, że pojechali rodzice, on z siostrą oraz siostra ojca, ciotka Lilka z maleńkim synkiem Tomkiem.

Niemcy bombardowali i ostrzeliwali z karabinów maszynowych ciągnące głównymi i bocznymi drogami konwoje instytucji i wozy cywili, bombardowali składy jadących pociągów i strzelali do ludzi uciekających z nich do zagajników czy chowających się gdzieś w polu. Generalnie ewakuacja rządu

eprasa.pl 15dc426468

i administracji kierowała się na wschód lub południowy wschód. „Diariusz wrzesień–grudzień 1939" Jana Szembeka pokazuje nam, jak odbywało się to w przypadku MSZ – Szembek, który był wiceministrem spraw zagranicznych, otrzymał najpierw polecenie ewakuowania się do Nałęczowa (przez Lublin) i tam miał organizować działanie MSZ. Tam też ewakuował się korpus dyplomatyczny. Już 6 września zarządzono jednak ewakuację z Nałęczowa na Wołyń. Na trasie były: Lublin, Chełm („przed starostwem ogromna ilość samochodów […], wszystko ubiegało się o benzynę"), Włodzimierz Wołyński, Łuck („o noclegu w Łucku wobec napływu ewakuantów i dygnitarzy nie mogło być mowy. W mieście znajdował się premier i kilku ministrów"), Krzemieniec. Tam kilka dni przerwy i 14 września przejazd dalej, w kierunku Kut. Przez Zbaraż, Tarnopol, Trembowlę i Kossów. A gdy 17 września gruchnęła budząca grozę informacja, że wojska sowieckie przekroczyły granicę polską, „ewakuacja rządu do Rumunii była właściwie w tym momencie już postanowiona". Minister Szembek dostał zadanie wyjazdu do Budapesztu, by zadbać o ewakuację części południowej polskiego wojska i części administracji. Przez most w Kutach na Czeremoszu przekroczył granicę polsko-rumuńską i przez Czerniowce przejechał na Węgry. Czy taka była trasa także kolumny aut Ubezpieczalni Społecznej? Mogła być. W biogramie posła i senatora II Rzeczypospolitej Czesława Meisnera, lekarza, zamieszczonym w książce Jarosława Zawadzkiego „Senatorowie, losy wojenne i powojenne" mamy taką informację: „[…] w nocy 19/20.09.1939 lub 21.09.1939 wraz z kolumną transportową Ubezpieczalni Społecznej z Warszawy przedostał się na Węgry, internowany, pracował w szpitalu w Nögrad-Věröce".

Alina Sawicka w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów" powiedziała: „Tak dojechaliśmy do granicy polsko-rumuńskiej. Jarek opisuje to w »Rozmowach polskich latem 1983 roku«. Kiedy już mieliśmy przekroczyć rzekę graniczną, mama oświadczyła, że Polski nie opuści. Inni przejechali przez most, myśmy zostali. I ruszyliśmy w drogę powrotną, stając w okolicznych wsiach".

Przystojny Turek Razi, z którym matka Jarosława Marka Rymkiewicza miała romans, nim wyszła za ojca poety (u góry), oraz poeta w dzieciństwie (na dole)

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Pan Mareczek w „Rozmowach polskich..": „[…] pojechaliśmy autobusami, którymi ewakuowali się lekarze, do Rumunii i tę podróż całkiem już nieźle pamiętam, a szczególnie tę scenę w pobliżu rumuńskiej granicy – pewnie gdzieś pod Zaleszczykami? – noc, pada deszcz, matka stoi na środku szosy i mówi do ojca, a potem krzyczy, bo ojciec nie rozumie, o co jej chodzi, krzyczy, że dalej nie pojedzie, że wracamy do Warszawy, że ona z Polski wyjechać nie zamierza. A gdyby wtedy, nad Dniestrem, matka nie uparła się, nie wyciągnęła mnie i mojej siostry z autobusu, nie wyrzuciła walizek na szosę, to kim bym dzisiaj był, gdzie bym był?".

Nocna awantura między rodzicami poety, z wyrzucaniem z autobusu walizek, wyprowadzaniem z niego dzieci i uporem matki, że z Polski nie wyjedzie – to wyraziste wspomnienie poety, wspomnienie strasznej awantury nocą na szosie. „A to, że wtedy, na tej szosie, matka wpadła w taką wściekłość, dzisiaj wydaje mi się czymś w rodzaju cudownego ocalenia" – pisze narrator w „Rozmowach…".

Powrót trwał długo, odbywał się wynajętymi wozami, jakimiś podwózkami od wsi do wsi. Siostra poety Alina Sawicka wspominała w „Wysokich Obcasach": „Tata zrobił tabliczkę z napisem »lekarz« i wbijał ją albo wieszał przed chatą, w której zatrzymaliśmy się na nocleg. To był początek wojny, do miasta daleko, lekarze się rozpierzchli. Mnóstwo ludzi ze wsi przychodziło zasięgnąć u mamy porady. Czasem dostawaliśmy za to jedzenie, a czasem miejscowi w ramach zapłaty wieźli nas furmanką do kolejnej wsi".

Kierowali się w okolice Pułtuska, do Świerczyna, majątku babki Baranowskiej. Nie wiemy, czy przejechali przez Warszawę, czy pojechali prosto do babci. Wjazd do Warszawy wyglądał tak: „Przy moście Poniatowskiego spotykamy pierwszy posterunek. Obok mostu ślady niedawnych walk. Zwoje drutów kolczastych, rozbite karabiny maszynowe, powywracane samochody, resztki barykad. Drzewa popalone i połamane. [...] Z dala miasto wygląda cało […] zbliżamy się do alei 3 Maja i do Alej Jerozolimskich. Konie potykają się po coraz to gęściej usianych przeszkodach. To jakieś żeliwa, to poszarpana jezdnia, omijamy leje od bomb. Dopiero teraz widzimy całą grozę. Sterczą co prawda ściany domów, ale powypalane wnętrza świecą pustką, jakby wypatroszone. Sterczą zgliszcza. […] Warszawa to gruzy, to szkielet miasta […]. Powywracane tramwaje, pogięte latarnie i na każdym kroku niemieckie patrole. Niemcy głośni, butni, zwycięzcy […]".

Czteroletni chłopczyk wszedł w krąg wojny, nie miał z niego wyjścia. Stała się jego losem, mojrą, przeznaczeniem. Tutaj jednak metafizyka miała już niewiele do powiedzenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem powstającej książki o Jarosławie Marku Rymkiewiczu.

eprasa.pl 15dc426468

Ci przeklęci Polacy

Piotr Gociek

Wiele się działo w polskiej fantastyce po roku 1989, jednak śmiałości w marzeniach nasi pisarze muszą się dopiero nauczyć

Jaka będzie Polska za lat 10 albo 100? Co nas czeka: wielki kryzys czy era chwały? Wbrew pozorom najbardziej serio takie pytania powinni traktować nie fantaści, lecz naukowcy, generałowie, politycy. I wielu z nich tak je traktuje, choć dochodząc do skrajnie sprzecznych wniosków. Proszę porównać choćby pesymistyczną „Przedziwną śmierć Europy" brytyjskie-

Jedna z ilustracji Przemysława Truścińskiego do cyklu „Ostatnia Rzeczpospolita" Tomasza Kołodziejczaka, w którym cały świat idzie w diabły, ale my, Polacy, dajemy radę

FOT. MATERIAŁY Z WYSTAWY PT. „TRUST/KOŁODZIEJCZAK – KOMIKS I ILUSTRACJA" ORGANIZOWANEJ PRZEZ OŚRODEK DZIAŁAŃ ARTYSTYCZNYCH W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM W 2014 R.

go komentatora politycznego Douglasa Murraya z optymistyczną prognozą Marka Leonarda „Why Europe Will Run the 21st Century", szefa paneuropejskiego think tanku European Council on Foreign Relations (założonego zresztą za pieniądze George'a Sorosa).

W ostatnich dekadach, od zimnej wojny po dzisiejszą nową epokę lodowcową w relacjach USA z Rosją, zachodni generałowie próbowali opisywać w książkach scenariusz nadchodzącej wojny. Ostatnim tego typu osiągnięciem jest znana także w Polsce książka generała NATO Richarda Shirreffa „2017: Wojna z Rosją". No i wreszcie spójrzmy na polityków – polski czytelnik może zajrzeć do książki „Rewolucja" – manifestu francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona, w którym kreśli on swój plan przyszłej Unii. A może i zastanowić się nad całkiem odmienną prognozą premiera Viktora Orbána, twierdzącego, że w Europie nadchodzi kres systemu demokracji liberalnej, bo idzie czas nieliberalnej demokracji chrześcijańskiej.

Piszę o tym wszystkim, aby przypomnieć, że rozważania o przyszłości to nie tylko domena pisarzy fantastów, można by nawet rzec, że przyszłość to rzecz zbyt poważna, by zostawić ją autorom science fiction.

ZAPIS LĘKÓW

Jaką zatem Polskę przyszłości wyobrażają sobie polscy autorzy? Zacznijmy od tego, że wyobrażają ją sobie od niedawna, a dokładniej, że w ich prognozach (lub zapisie lęków) zieje gigantyczna dziura, którą były czasy PRL. W czasach II RP fantazji naukowych nie publikowano wiele, ale rzeczą oczywistą było to, że rozmaite przygody przytrafiają się Polsce i Polakom. Mieliśmy swoich bohaterów podobnych do postaci z powieści Verne'a: śmiałych podróżników, odkrywców, naukowców, wynalazców. Mieliśmy polską „torpedę czasu", mieliśmy własne końce świata. Własne historie alternatywne i własną polską wyprawę na Księżyc (powieść Życkiego-Małachowskiego „Zdobywcy przestworzy").

W czasach PRL polska fantastyka szybko przestała zajmować się polską przyszłością, bo tę musieliśmy już dzielić z sowieckim okupantem, a sny i fantazje musiały być wspólne: w ramach obozu „krajów demokracji ludowej". Nadszedł zatem krótki czas utopii komunistycznych, w których Polak mógł oczywiście trafić na pokład kosmolotu, ale jedynie jako członek „internacjonalistycznej" załogi pod dowództwem mądrego człowieka radzieckiego. A o tym, jak wygląda Polska, z której ów bohater się wziął, raczej nie dyskutowano. Każdy, kto znał realia socjalizmu, wiedział, że tego tematu lepiej nie poruszać. W powieściach dla dzieci i młodzieży mogliśmy jeszcze mieć fantastyczny „mały realizm", kiedy to polski prof. Rawa konstruował człekopodobnego robota (Alfred Szklarski „Sobowtór profesora Rawy"), a polscy inżynierowie budowali chronomobil na Żeraniu (Bohdan Korewicki „Przez ocean czasu"). Długo to nie potrwało.

Kiedy polska fantastyka podrosła i zaczęła na serio brać się za bary z rzeczywistością, musiała już chować się w aluzje, wymyślone krainy i społeczeństwa, bo to, co miała do powiedzenia, nie było przyjemne, a na krytykanctwo i wrogów ustroju przecież w PRL miejsca być nie mogło. Na spotkaniach z pisarzami w latach 80. dowiadywaliśmy się więc bezpośrednio od nich, że na przykład opuszczone, zdewastowane i opanowane przez gangi zidiociałych brutali miasto z powieści „Cylinder van Troffa" Zajdla to Warszawa przyszłości. Jednak oficjalnie (i w samej książce) ani słowa na ten temat. Cenzura nigdy by takiej opowieści nie przepuściła.

Po roku 1989 odzyskaliśmy przyszłość, ale polska fantastyka przeżywała trudne czasy. Rynek zalała fala przekładów fantastyki zagranicznej. Potem jej główny nurt popłynął w inną stronę. Królowała fantasy – wszyscy chcieli być jak Sapkowski. Przyszła fala opowieści o zmaganiach anielskich zastępów na Ziemi, narodziła się swojska makabra i horror. Pojawiały się rozmaite alegorie, w tym religijne.

HISTORIE ALTERNATYWNE

Okazało się, że dużo spraw mamy do załatwienia w przeszłości. Można było wreszcie mówić o niej tak, jak się komu żywnie podoba, bez zwracania uwagi na PRL-owską cenzurę, można było analizować, szydzić, bawić. Pojawiły się historie alternatywne. Przy tych ostatnich warto wreszcie wyjaśnić podstawową rzecz, bo jakby było mało w Polsce sporów politycznych i światopoglądowych, do opisu fantastyki wkradło się pomieszanie języków. Popularność historii alternatywnych (i promowanie tego gatunku np. w serii książek wydawanych przez Narodowe Centrum Kultury) sprawiła, że dla wielu stały się one synonimem fantastyki jako takiej. Tak nie jest. Zatem aby przestawić wszystko z głowy na nogi: o historiach alternatywnych mówimy wtedy, kiedy autor proponuje nam spojrzenie na to, jak świat mógłby wyglądać, gdyby historia potoczyła się inaczej, niż miało to miejsce w rzeczywistości. Wybiera się jakiś punkt zwrotny, przedstawia sedno zmiany (Hitler zamordowany w kołysce, Napoleon wygrywa pod Waterloo, Rosjanie zajmują Polskę i Europę, bo przegrywamy Bitwę Warszawską, dżuma wybija wszystkich w średniowiecznej Europie i zasiedlają ją Arabowie), a potem konsekwentnie opisuje, jak taki świat mógłby wyglądać. Natomiast opowieść o bliskiej lub dalekiej przyszłości wychodząca od tego, jak sprawy mają się teraz – to po prostu zwykła, poczciwa fantastyka z zacięciem futurystycznym.

Historie alternatywne, w których często autorzy zastanawiają się nad tym, czy nasza historia mogła potoczyć się inaczej, to znaczy lepiej, stały się parę lat temu obiektem ataku tygodnika „Polityka". Teza była prosta – to rojenia narodowo-konserwatywnych fanatyków, odreagowanie traumy przez ludzi, którzy nie potrafią się odnaleźć w dzisiejszym świecie. Dawałem odpór tym bredniom w tekście „Drogi niewybrane" („Do Rzeczy" 10/2015), podobnie jak Maciej Parowski na łamach „Frondy LUX". Minęły trzy lata i „Polityka" złagodniała, bo w artykule „Gdyby Polska" (29/2018) Marcin Zwierzchowski zauważa, że historie alternatywne to w sumie dla Polaka wybór naturalny, bo „nasze dzieje dostarczają kuszących punktów zwrotnych". Myli się jednak kompletnie, twierdząc, że na rynku anglosaskim „nie są to fabuły szczególnie popularne", bo akurat po angielsku historii alternatywnych ukazało się mrowie. Podobnie jak na rynku rosyjskim.

Podtrzymuje za to zarzut sprzed trzech lat – że to zabawy, wicie, rozumicie, polityczne. I że ta polityczność się rozpełza. „Rozlało się w ostatnich latach takie polityczne podejście do literatury na wszystkie strony, bo już nie tylko wstecz, lecz także w przyszłość, czego przejawami są choćby »Plankton« Mariusza Sieniewicza, gdzie w 2082 r. Polska i Europa dręczone są efektami wojen religijnych, albo »Siwy dym« Ziemowita Szczerka, który przenosi nas do połowy XXI w., również do pogrążonej w chaosie Europy". I tu zaniemówiłem z dwóch powodów – po pierwsze, ani Sieniewicz, ani Szczerek do cenionych polskich fan-

eprasa.pl 15dc426468

tastów nie należą, a wspominane dzieła nie są nowatorskie, więc czemuż robić z nich typowe przykłady? Po drugie, nie rozumiem, dlaczego przestrzeganie przed przyszłymi wojnami religijnymi albo chaosem w Europie miałoby być wyrazem jakiejś „polityczności", skoro akurat wojnę religijną już dziś obserwujemy, a i chaos daje nam się we znaki.

Co tak naprawdę przydarzyło się polskiej fantastyce po roku 1989, to znaczy tym pisarzom, którzy nie dali się pożreć fantasy, horrorowi, zgrywie, alternatywkom? Nieliczni opukiwali najbliższą przyszłość: Rafał A. Ziemkiewicz przewidział chaos na Ukrainie i kłopoty wewnątrz Kościoła, Konrad T. Lewandowski bawił się konceptem polskiej armii stawiającej opór amerykańskiej (i w dodatku spuszczającej Amerykanom manto). Polskie lęki przed Unią Europejską i Niemcami bywały pokazywane w wersji naiwnej („Aksamitny Anschluss. Alternatywa" Eugeniusza Dębskiego) lub wręcz debilnej („Za błękitną kurtyną. Polski wywiad na tropie masonów" Romana Bertowskiego) albo całkiem sensownej (opowiadania Jarosława Grzędowicza, w tym „Weekend w Spestreku"). Bywały i sugestywne opowieści dark future rozgrywające się w Polsce (opowiadania Andrzeja Ziemiańskiego czy Roberta J. Szmidta, ostatnio polska seria powieści postapo w Fabryce Słów).

W ostatniej dekadzie pojawiły się też powieści militarne należące do fantastyki bliskiego zasięgu, których autorzy zastanawiają się, jak Polska poradziłaby sobie w realnym starciu z Rosją (prym wiodą tu autorzy zasłużonej oficyny Warbook). Z drugiej strony (znaczy duchowej) – mieliśmy i przestrogi przed nadchodzącymi złymi czasami dla chrześcijan (powieść „Quo vadis: Trzecie tysiąclecie" Marcina Więcława czy „Operacja »Chusta«" Tomasza Terlikowskiego).

Świetnym przeglądem nadziei, strachów, przestróg była antologia „PL +50. Historie przyszłości", wydana w roku 2004, której autorzy mieli przedstawić opowieści o Polsce za pół wieku. Czegóż tam nie było! Chińska inwazja, reaktywacja komunizmu, szalejące feministki, bardzo brzydka twarz Unii Europejskiej. Dla każdego coś miłego, w dodatku przemieszano fantastów „zawodowych" z przypadkowymi autorami mainstreamowymi (Tokarczuk, Odija, Sosnowski, Piątek) i publicystyką. Efekt

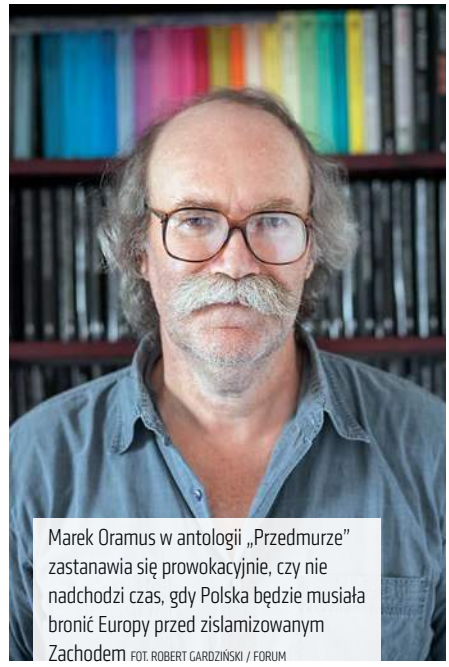

Marek Oramus w antologii „Przedmurze" zastanawia się prowokacyjnie, czy nie nadchodzi czas, gdy Polska będzie musiała bronić Europy przed zislamizowanym Zachodem FOT. ROBERT GARDZIŃSKI / FORUM

literacki był taki sobie, materiał do przemyślenia – ciekawy.

Jedyną od tamtej pory poważną próbą zainteresowania czytelników rozważaniami bardziej serio była z kolei antologia „Przedmurze" (2016), w której najoryginalniejszym tekstem było opowiadanie tytułowe. Marek Oramus zastanawia się w nim prowokacyjnie, czy wieki po tym, jak Polska była przedmurzem chrześcijaństwa chroniącym Europę przed atakami od wschodu, nie nadchodzi czas, kiedy będzie pełniła tę funkcję od drugiej strony, czyli przeciwstawiając się zislamizowanemu Zachodowi.

Zarzut, że polscy fantaści, rozmyślając o przyszłości Polski i świata, inspirują się polityką lub religią, jest absurdalny – wszak polityka i religia to dwa z trzech zjawisk definiujących nasz świat. Trzecim jest nauka, i tu widziałbym powód do lamentu. Ponieważ nasze uczelnie są trzeciorzędne, a nasi fantaści żyją z dala od głównego nurtu przemian technologicznych, który płynie przez amerykańskie laboratoria, to siłą rzeczy brak u nas poważnej fantastyki tego typu, brak polskiego Neala Stephensona, Williama Gibsona i tak dalej. Honoru Polski broni jedynie Jacek Dukaj, który stara się trzymać rękę na pulsie, a którego bohaterom (jak Adamowi Zamoyskiemu z „Perfekcyjnej niedoskonałości") zdarza się być i Polakiem, i elementem niesamowitej, zaawansowanej technologicznie odległej przyszłości.

Nasze sny o przyszłości po roku 1989 charakteryzuje zupełnie inny problem niż „polityczność" albo nadmierna skłonność do ucieczki w historie alternatywne. Kłopotem jest to, że było ich tak naprawdę niezbyt wiele i raczej skromne. Całkiem jakbyśmy po wyjściu z PRL i jego duchoty, marazmu, zakazów dopiero uczyli się rozmachu w marzeniach. Jakbyśmy nie byli pewni, czy potrafimy stać na własnych nogach, jakbyśmy wciąż tylko w oczach innych szukali potwierdzenia, że mamy prawo istnieć i marzyć samodzielnie.

KU POKRZEPIENIU SERC

Ciekawa rzecz – od wielu wydawców słyszałem, że bez powodzenia poszukują fantazji śmiałych, polskich do szpiku kości, ku pokrzepieniu serc, by pokazać, że Polak potrafi. Ich zdaniem czytelnicy na takie opowieści czekają – logiczny wniosek z rosnącej popularności literatury historycznej, której autorzy wyzwolili się z pedagogiki wstydu i opowiadają o tych chwilach z naszych dziejów, które są powodem do dumy. Dowodem, że wydawcy mogą mieć rację, jest dla mnie popularność cyklu powieściowego Tomasza Kołodziejczaka „Ostatnia Rzeczpospolita", w którym – co prawda – cały świat idzie w diabły, ale my, Polacy, dajemy radę, i nawet przybyli z innego wymiaru przedstawiciele obcej rasy dochodzą do wniosku, że jak sojusz przeciw złu, to tylko z Rzeczpospolitą.

Proszę się nie śmiać – dlaczegóż to amerykańscy marines mogą nieustannie ratować świat, a Polacy nie? I zaraz przypominam sobie, jaki entuzjazm w roku 1983 wywołało u czytelników krótkie, zabawne opowiadanie opublikowane w miesięczniku „Fantastyka". Składało się z raportów z pola kosmicznej bitwy między atakującymi Ziemię obcymi a biorącymi okrutnie w skórę Ziemianami. Narrator opisuje sukcesy kosmitów, póki nie nadchodzi gwałtowna zmiana sytuacji – do akcji wkracza nowa ziemska jednostka i nagle to kosmici dostają baty. A ze strzępów przechwyconych komunikatów wystraszony oficer obcych dowiaduje się, że losy wojny odmienili „Ci przeklęci Polacy" (taki właśnie był tytuł opowiadania Bronisława Kijewskiego). Miał autor szczęście – wtedy „Polityka" go zignorowała. Dzisiaj zapewne wyszydziłaby go natychmiast. Jeszcze jeden powód, dla którego warto tęsknić za takimi opowieściami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

REPUBLIKA

THE FIRST SOURCE OF RELIABLE INFORMATION

Poland Daily

WEATHER

BUSINESS

Everyday on Telewizja Republika

10:00 PM, 12:00 AM, 2:00 AM, 4:00 AM (Warsaw time)
4:00 PM, 6:00 PM, 8:00 PM, 10:00 PM (Eastern Time, US)

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

Zmarł Tomasz Stańko

FOT. FILIP ĆWIK/NAPOIMAGES/FORUM

Był jednym z najwybitniejszych trębaczy ostatnich dziesięcioleci. Zajmował wysokie miejsca we wszystkich światowych rankingach najlepszych instrumentalistów, nie tylko jazzowych. Nagrał ok. 40 płyt, pisał dla filmu (m.in. „Pożegnanie z Marią", „Reich") i teatru. Był pionierem europejskiego free jazzu, kiedy zakładał z Adamem Makowiczem na początku lat 60. formację Jazz Darings.

Współpracował z największymi muzykami swojego czasu: Cecilem Taylorem i Donem Cherrym, Garrym Peacockiem i Dino Saluzzim, z Krzysztofem Komedą, z którym nagrał najwybitniejszą płytę w dziejach polskiego jazzu – „Astigmatic" (1965). Był członkiem jego sławnego kwintetu, a później, gdy Komeda wyjechał do USA, stworzył własny kwintet i został jego liderem. W płytowym dorobku twórcy kołysanki z „Rosemary's Baby" słychać trąbkę Stańki również na niemieckim albumie „Jazz aus Polen".

Z jednej strony Stańko mówił o Komedzie: „Nie ma wśród nas takiego, kto by z nim nie pracował i nie pokochał na całe życie", z drugiej – wraz z upływem czasu stawało się coraz bardziej oczywiste, że sztuka Stańki jest zjawiskiem absolutnie odrębnym, na wskroś indywidualnym, nie potrzebuje żadnych porównań czy odniesień.

Komeda powiadał o sobie, że nie czuje się kompozytorem filmowym. „Zawsze byłem, jestem i będę jazzmanem" – akcentował, może dlatego, że czuł urazę, odkąd – dwukrotnie! – nie przyjęto go do Związku Kompozytorów Polskich. Tomasz Stańko podkreślał, że jazz ma coraz więcej wspólnego z muzyką klasyczną, w żadnym wypadku nie jest elitarny, a dla niego samego równa się przede wszystkim improwizacji. To wielka sztuka – mówił – ale i „rasowy motherfucking". A o tym, że Krzysztof Trzciński-Komeda był jednak dla niego kimś wyjątkowym, świadczy to, że grać skomponowaną przez siebie muzykę zaczął dopiero po śmierci Krzysztofa w 1969 r. „Wcześniej nie miałem takiej potrzeby, bo w pełni wyrażałem się w jego kompozycjach" – mówił.

Dźwięk trąbki Stańki na zawsze zapamiętali uczestnicy pogrzebów: oczywiście Komedy, ale i w 1986 r. Wacka Kisielewskiego, a w 2002 r. Marka Kotańskiego. Tak żegnał się z przyjaciółmi, z wielkimi artystami czy ludźmi, których cenił szczególnie.

Sztuce podporządkował wszystko. Z pewnością nie udało mu się życie rodzinne, choć po latach znalazł porozumienie z córką, która współpracowała z nim jako menedżerka. Miał w swojej karierze artystycznej trudny okres, gdy nadużywał narkotyków i alkoholu. Wyszedł z niego po męsku: powiedział „dosyć" i trzymał się tego.

Zmarł na raka płuc 29 lipca, następnego dnia po śmierci Kory. Znali się od lat, Stańko opowiadał, że gdy likwidował swoją prywatną domową ptaszarnię, podarował jej parę nimf. W latach 80. towarzyszył jej w nagraniu piosenki „Die Grenze", o „ludziach bez twarzy, ludziach bez serc".

Ostatni raz widzieliśmy go 18 marca na gali w Teatrze Wielkim, gdzie odbierał Nagrodę Stulecia ZAiKS-u razem z Krzysztofem Pendereckim, Krzysztofem Zanussim, Januszem Gajosem. Zdążył nagrać kolejną płytę, której wydania już nie doczekał. Ale dla nas zagra jeszcze ten jeden raz. ©℗

Krzysztof Masłoń

eprasa.pl 15dc426468

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Kora: Ze słońcem twarzą w twarz

O wiele za dużo pisze się po śmierci Kory o jej wyborach światopoglądowych, o wiele za mało o tym, czego dokonała na estradzie czy w studiach nagrań. A zdarzało się, że były to rzeczy wielkie. Dzisiaj jej występ na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu w roku 1980 wspominany jest niczym pojawienie się Rolling Stonesów w 1967 r. w Warszawie. No, spadła nam z nieba i swoim „Boskim Buenos", które w istocie było przepisanym fragmentem powieści „Żeby cię lepiej zjeść" argentyńskiego pisarza Eduardo Gudiño Kieffera, wbiła nas w krzesła, bo czegoś podobnego w PRL nie widziano. Każdym swoim gestem, ruchem, słowem przekazywała jedno: nowy czas, który nadchodzi, będzie czasem Maanamu. Bo ma nam być lepiej, czyż nie?

Na razie były jednak coraz bardziej puste półki, ledwie dychająca cenzura i groźba sowieckiej interwencji. Na tym tle znakomicie sprawdzało się ostre brzmienie Maanamu, furorę robiły kompozycje Marka Jackowskiego (od 1971 r. męża Kory, zmarłego w 2013 r.), dziewczyny upodabniały się do wokalistki zespołu, chłopcy się w niej kochali. Wszystkich zżerała ta sama żądza pieniądza i wbrew rzeczywistości powtarzaliśmy za Korą: „Stoję, stoję, czuję się świetnie". Zespół jeździł jak oszalały z koncertami po kraju, w Kongresowej potrafił wystąpić trzy razy w ciągu jednego dnia, zarejestrował też pierwszą płytę długogrającą. Wcześniej był tylko singielek z „Hamletem" i „Oprócz", wielkim – jak miało się okazać – evergreenem Marka Jackowskiego.

Kora bez złudzeń oceniła to, co się stało 13 grudnia 1981 r. Wykrzykiwała: „Zdrada zdrada zdrada/ Podstępne zimne oczy gada", ale i dawała nadzieję: „Czekam na wiatr co rozgoni/ Ciemne skłębione zasłony/ Stanę wtedy na raz/ Ze słońcem twarzą w twarz". Kolejne płyty – „Maanam", „O!", „Nocny patrol", „Mental Cut" – ugruntowywały nadzwyczajną pozycję Maanamu na polskiej scenie rockowej. Konkurować z nim mógł jedynie Perfect, jako wokalistka Kora konkurencji nie miała.

Zespół umiejętnie wykorzystywał wentyl rockowy, niechętnie, bo niechętnie, ale udostępniony przez władze dla ukochanej przez młodzież muzyki. Kiedy jednak w 1984 r. Maanam odmówił występu na koncercie przyjaźni polsko-radzieckiej, objął go zapis cenzury równoznaczny ze zniknięciem piosenek Kory z radiowej anteny. To wtedy Marek Niedźwiecki w liście przebojów Trójki zamiast notowanych na niej przebojów Maanamu puszczał perkusyjne solo z „Takiego tanga". Zakaz nie obowiązywał długo i po kilku miesiącach Maanam wrócił i do radia, i na trasy koncertowe.

W 1984 r. Kora rozwiodła się z Markiem Jackowskim, co usankcjonowało istniejącą sytuację, gdyż piosenkarka od dłuższego już czasu pozostawała w związku z Kamilem Sipowiczem. W 2013 r. wzięła z Kamilem ślub. Sipowicz współpracował przez lata z Korą jako organizator jej koncertów, a także autor niektórych tekstów przez nią śpiewanych. Pisał też książki o Korze i Maanamie, hipisach w PRL (Kora wywodziła się z tego środowiska, wcześniej, niż ją zobaczyłem, słyszałem o niej jako o partnerce bodaj najbardziej znanego krakowskiego hipisa o pseudonimie „Pies", którym był obecny wicemarszałek Sejmu, Ryszard Terlecki). Ale może najważniejsze z dzisiejszego punktu widzenia było zaangażowanie Sipowicza w sprawę legalizacji medycznej marihuany, a następnie objęcia refundacją drogiego leku, który ją zawierał. Kampania ta zakończyła się połowicznym sukcesem, a decyzję o udostępnieniu tego leku, który zażywała chora na raka Kora, podjął PiS-owski minister zdrowia.

Wcześniej, w 2012 r., Kora została oskarżona o posiadanie konopi indyjskich. Ilości były śladowe i sprawę warunkowo umorzono, w czym pomógł zapewne były prezydent Aleksander Kwaśniewski, udzielając wspólnie z nią wywiadu „Newsweekowi". Inny prezydent, Komorowski, uhonorował ją w 2011 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W rewanżu weszła w skład Komitetu Poparcia Prezydenta Komorowskiego w 2015 r.

Polską politykę oceniała bardzo krytycznie. Jarosława Kaczyńskiego nazywała psujem, ale suchej nitki nie pozostawiała też na opozycji, przyrównując ją do przebitej dętki. Opowiadała się za prawem kobiet do aborcji, a par homoseksualnych do adopcji dzieci. W Kościele katolickim widziała uosobienie zła, co – prawdopodobnie – wiązało się z jej doświadczeniami z (bardzo trudnego) dzieciństwa i kontaktem z księdzem pedofilem. W „Zabawie w chowanego" śpiewała: „Bywało, że nas wołał gestem albo słowem/ Wybierał jedną jak owcę ze stada".

Nagrała 18 płyt, w tym 11 z Maanamem. Ciekawe, że w największym nakładzie sprzedany został bodaj najłagodniejszy liryczny album „Róża" z 1994 r. W jednej ze znanych piosenek z tej płyty śpiewała: „Nie nie żartuję, bardzo tęsknię i czuję/ Że bez Ciebie umieram, powietrza mi brak". I to takie utwory sprawiały, że Kory chciało się słuchać i że jej teraz nam brak. A nie reklamowanych jako dialog „Boga z Szatanem" numerów w stylu „Ping-ponga", nawiasem mówiąc z tekstem będącym lekko zmodyfikowanym wierszem byłego współpracownika SB, Józefa Kurylaka.

Kora zmarła 28 lipca w swoim domu na Roztoczu. Miała 67 lat, nie przyjęła ostatniego namaszczenia. Kamil Sipowicz stwierdził potem: „Moja żona do końca była wierna religii słońca, wiatru i kwiatów". Tak wybrała. ©℗ ***Krzysztof Masłoń***

eprasa.pl 15dc426468

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Prawda pod całunem

★★★☆☆☆

REŻ. FERZAN ÖZPETEK
„NEAPOL SPOWITY TAJEMNICĄ" („NAPOLI VELATA")
WŁOCHY 2017

wyst. Giovanna Mezzogiorno, Alessandro Borghi, Peppe Barra

Neapol, ojczyzna pizzy, od wieków jednych śmieszy, drugich tumani, a trzecich przestrasza. Drzewiej nosił nazwę Partenopa – na cześć kochliwej syreny, która wzgardzona przez Odyseusza popełniła samobójstwo – i ta rozpiętość emocji mu została. Kazimierz Chłędowski twierdził, że mieszkańcy stolicy Kampanii odziedziczyli po greckich przodkach spryt, klimat dodał do tego lenistwo, obce rządy zaś – porywczość i skłonność do przemocy. Zdaniem galicyjskiego polihistora typowy neapolitańczyk jest jak wąż: „Drzemie spokojnie w słońcu, ale podrażniony rzuca się na ofiarę, pożera ją albo przynajmniej krew z niej wypija".

Miasto z taką reputacją musiało zapłodnić wyobraźnię literatów i filmowców. Powstała cała masa utworów bezwstydnie kiczowatych, opiewających urodę „najbardziej włoskiego z włoskich miast" oraz cnoty jego mieszkańców. „Neapol spowity tajemnicą" to dzieło z pogranicza. Efektownie sfotografowane i udźwiękowione, z intrygującą – do pewnego momentu – fabułą.

Pierwsza scena mogłaby wyjść spod ręki Paola Sorrentino, skądinąd rodowitego neapolitańczyka. Kamera prowadzi nas w górę marmurowymi schodami. Ani chybi jesteśmy w jakimś pałacu. Kobieta w jedwabnej koszuli nocnej strzela do eleganckiego mężczyzny. Świadkiem zbrodni jest mała dziewczynka, która w przyszłości zostanie lekarką specjalizującą się w autopsjach. Pewnego dnia w zwłokach młodzieńca z wydłubanymi oczami, znalezionych na zapleczu Muzeum Archeologicznego, rozpozna swego kochanka…

Czyżby Ferzan Özpetek, po 40 latach spędzonych wśród Włochów, opamiętał się i nakręcił film w stylu Hitchcocka? Nawet jeśli miał taki zamiar, wyszło mu coś przeciwnego: dreszczowiec pozbawiony napięcia zmiksowany z beznamiętnym melodramatem. Giovanna Mezzogiorno i Alessandro Borghi dali z siebie wszystko, trudno jednak zbliżyć się do konwencji „Fatalnego zauroczenia" i „Nagiego instynktu" pod batutą reżysera, który ze zmysłowością jest na bakier (sam przyznaje, że miał ochotę ocenzurować wyczyny aktorów). Koncept z bliźniakami spycha zaś fabułę w stronę fantasmagorii.

Według Özpetka neapolitańczycy są zblazowanymi poganami, po których chrześcijaństwo spłynęło jak woda po kaczce. Z uporem zakładają maski, choć w tak rozplotkowanym środowisku żaden sekret długo się nie utrzyma. Rozczarowany tą konkluzją wróciłem do przerwanej lektury „Solfatary" Macieja Hena. Jak na razie wychodzi na to, że polski pisarz lepiej zna duszę Partenopy niż „zmakaronizowany" Turek. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MISSION: IMPOSSIBLE – FALLOUT"

Szósty kinowy film o agencie specjalnym Ethanie Huncie (Tom Cruise), drugi (po „Rogue Nation") reżyserowany przez Christophera McQuarriego, który współpracował też z Cruise'em przy ekranizacji prozy Lee Childa „Jack Reacher–Jednym strzałem". Fabuła „Falloutu" nawiązuje do wydarzeń z poprzedniego filmu. Ocalali agenci złowrogiego Syndykatu zakładają terrorystyczną organizację Apostołowie. W rozgrywkę wplącze się także CIA. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Mission: Impossible – Fallout", reż. Christopher McQuarrie, wyst. Tom Cruise, Henry Cavill, Ving Rhames, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Człowiek, który zabił Don Kichota", reż. Terry Gilliam, Wielka Brytania/Hiszpania 2018***
- ***„Jak rozmawiać z dziewczynami na prywatkach", reż. John Cameron Mitchell, USA 2017***
- ***„Rodziny się nie wybiera", reż. Dany Boon, Francja 2018***

eprasa.pl 15dc426468

Niebezpieczna kobieta

W trzeciej części „Zabójczej broni" u boku niezrównoważonego Mela Gibsona (pardon, Martina Riggsa) pojawiła się pyskata i wygimnastykowana sierżant Lorna Cole. Scena, w której pokazują sobie blizny będące pamiątką służby w LAPD, przeszła do historii kina. Od tej chwili minęło już z górą ćwierć wieku i twarda jak stal policjantka doczekała się wielu następczyń. Jedną z nich jest główna bohaterka śląskiego dreszczowca „Odnajdę cię". Justa ma więcej testosteronu niż mężczyzna. Pali, pije, klnie i bije (zwłaszcza eks-małżonek musi się mieć na baczności). Główkować też potrafi, jej pomysł na dotarcie do świadka koronnego zaimponowałby nawet porucznikowi Borewiczowi. Przy okazji potwierdziło się, że nasi filmowcy zanadto polegają na umiejętnościach dość wąskiej grupy aktorów. Ewa Kaim, która dotąd grała w kinie ogony, wręcz rozsadza ekran. Z panów nadąża za nią tylko Mariusz Żurawski.

Na koniec dwa słowa o reżyserii. Późne debiuty zwykle dostarczają żeru szydercom, lecz Beata Dzianowicz stanęła na wysokości zadania. Ferzan Özpetek mógłby się od scenarzystki „Plebanii" uczyć, jak trzymać tempo i dramaturgię. Swoją drogą to zabawne, że nasze kino kryminalne, którego fundament położył mizogin Władysław Pasikowski, stacza się na pozycje feministyczne. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. BEATA DZIANOWICZ
„ODNAJDĘ CIĘ"
POLSKA 2018
wyst. Ewa Kaim, Dariusz Chojnacki, Michał Żurawski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CZARNE JEST PIĘKNE

Wakanda to kraj w sercu Afryki – kraina ludzi szczęśliwych, sytych, korzystających z niezwykłych cudów medycyny i technologii. Władcy tej czarnej utopii pilnie strzegą tajemnicy jej istnienia. Potęgę daje Wakandzie dostęp do jedynych na Ziemi zasobów niezwykłego metalu – vibranium. „Czarna Pantera" to historia walki o sukcesję w tym niezwykłym miejscu, włączona jednocześnie w szerszy nurt zdarzeń z kinowego uniwersum Marvela. Musi więc się pojawić jakiś superbohater. To tytułowa Czarna Pantera. Ten tytuł tradycyjnie przysługuje władcy Wakandy, który odziany w niezwykły pancerz jest pierwszym żołnierzem i największym herosem królestwa. Film Cooglera to jak dotąd drugi najbardziej kasowy film roku 2018 (1,35 mld dol. wpływów). Zawdzięcza to nie tylko sporej dawce przygody i humoru, lecz także przewrotnej zabawie rasowymi stereotypami. W tej opowieści to cywilizacyjnie zaawansowani czarni zostawiają w tyle białych konkurentów.

★★★★☆☆

REŻ. RYAN COOGLER
„CZARNA PANTERA" („BLACK PANTHER")
USA 2018, GALAPAGOS
wyst. Chadwick Boseman, Michael B. Jordan, Lupita Nyong'o

DOBRY BYCZEK, DOBRY

Żył sobie kiedyś byczek Fernando, który zamiast interesować się korridą, wolał podlewać kwiatki i kontemplować widoki. Jego byczy koledzy śnili tymczasem o sławie, jaką mogliby zdobyć u boku jakiegoś torreadora. Na szczęście dla Fernanda przyszło mu dorastać z dala od tych głuptasów. Niestety, świat walk byków upomniał się o niego. Film Carlosa Saldanhy powstał na motywach bestsellerowej książeczki Munro Leafa dla dzieci z 1936 r. (Pierwsza adaptacja filmowa – oczywiście Walta Disneya – powstała jeszcze przed wojną). Za nową wersję odpowiada Carlos Saldanha, brazylijski filmowiec, który szlify zdobywał przy animowanych filmach z cyklu „Epoka lodowcowa". Podobnie jak wspomniane produkcje „Fernando" jest skierowany raczej do młodszych dzieci. Z trudną tematyką (śmierć rodziców, krwawy sport, przemysł mięsny) radzi sobie dobrze – delikatnie i taktownie. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★★☆☆☆

REŻ. CARLOS SALDANHA
„FERNANDO" („FERDINAND")
USA 2017, IMPERIAL
wyst. John Cena, Kate McKinnon, Bobby Cannavale

GRA TYGODNIA: „YAKUZA 0"

W roku 2006, na bazie popularności serii Grand Theft Auto, ukazała się japońska odpowiedź dla amerykańskiej produkcji o złodziejach w wielkich metropoliach i kradzionych samochodach. „Yakuza 0" od początku była jednak tak specyficzna jak kraj, w którym powstała, dlatego miłośnicy GTA nie będą się nudzić. Nowa produkcja SEGI oferuje bowiem podróż przez Tokio z końcówki lat 80., w którym oprócz bijatyk i szlifowania gangsterskiego fachu będziemy mogli wziąć udział w dziesiątkach minigierek: od wyciągania pluszaków w salonach gier po zarządzanie nieruchomościami i budowę własnego baru z hostessami. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *Akcja/TPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/PS3*
- ***Producent, dystrybutor:*** *SEGA*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18*

eprasa.pl 15dc426468

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ballada o Heńku Lubickim

Punktualnie w godzinę „W", 1 sierpnia 1944 r. Stefan Rassalski wykonał swoją pierwszą powstańczą fotografię – kilka niekompletnych oddziałów wokół fontanny w ogrodzie Politechniki Warszawskiej, przed Gmachem Fizyki.

W Powstaniu Warszawskim pełnił obowiązki fotograficznego sprawozdawcy wojennego, działającego w obszarze między Al. Ujazdowskimi i al. Niepodległości a Al. Jerozolimskimi i Polem Mokotowskim.

Nie miał 34 lat, lecz już był wdowcem. Dwa i pół miesiąca przed powstaniem zmarła jego żona, matka trzyletniego wtedy Bożydara Rassalskiego, dziś autora wstępu i opracowania ojcowskich tekstów, które złożyły się na książkę „Warszawskie dziewczyny, kanały i gołębiarze".

W powstaniu, byli sami: on i ojciec. Zostawiał synka pod opieką czasem przypadkowych osób i szedł dokumentować walkę. Przeżyli 63 dni powstania, a potem półroczną tułaczkę po nim. Gdyby nie okresy głodu – powiada Bożydar Rassalski – można by rzec, że mieliśmy wyjątkowe szczęście.

Istotnie, wyjątkowe. W kontekście tym szczególnie wzrusza rozdział książki poświęcony powstańczym dzieciom; tym najmłodszym i tym trochę starszym, udającym dorosłych, „małym lwom i panterom Powstania".

Nikt nie dodawał im odwagi, bo tylko ją mieli. „Tylu znamy bohaterów Powstania – pisał Stefan Rassalski – ale czy ktoś słyszał o Heńku Lubickim? Heniek leżał na barykadzie zamykającej ulicę Śniadeckich, u wylotu na plac Politechniki, i słuchał, jak strzelcy przeklinają ciemną noc.

– Niech to cholera weźmie! Ciemno choć oko wykol.

FOT. JERZY TOMASZEWSKI/EAST NEWS

– Do pioruna, tam coś się rusza!

– Poczekajcie chwilę, ja zobaczę – szepnął Heniek.

– Cicho, smarkaczu! Leż i nie gadaj!

Ale Heniek ani myślał leżeć. Prześlizgnął się przez grzbiet barykady i wpełznął na plac. Żołnierze psykali na niego, żeby wracał, lecz on nie zwracał na to uwagi. Chłopcy czekali, było im głupio i nieswojo. Heniek zniknął w mroku i nagle ogromna jasność rozdarła noc. W świetle promieni rozbitej butelki zobaczyli skuloną postać chłopca, a przed nim czający się oddział Niemców.

Sekunda i w kierunku barykady poleciały granaty, z barykady zaś zaterkotały karabiny. Po chwili kanonada ucichła. W czerwonej łunie rozlanej na placu benzyny widać było pięć leżących cieni. Cztery wielkie, w żelaznych hełmach, i jeden mały, z biało-czerwoną opaską na rękawie.

Za barykadą zaległa cisza. Nagle jeden z żołnierzy odezwał się z żalem w głosie:

– Jeszcze na koniec musiałeś mu tak brzydko przygadać…".

A dziewczyny? Takie jak „Wisła", „podobna do sarny, smukła i lekka, z wielkimi, smutnymi oczami i popielatymi włosami. […]

Kiedyś widziałem, jak się pudruje przed drogą powrotną. Nic nie powiedziałem, tylko się uśmiechnąłem, a ona na to:

– Wiedz, że jeśli dziewczyna ma zginąć, chce wyglądać ładnie.

I rzeczywiście. Gdy poległa przed wykopem w Alejach Jerozolimskich, wyglądała ślicznie. Jak żywa".

Z 15 pomieszczonych w książce tekstów Stefana Rassalskiego (zm. 1972) tylko jeden był wcześniej publikowany. Najbardziej osobisty charakter mają fragmenty dziennika z okresu między 1 sierpnia 1944 a 30 marca 1945 r. Znajduje się tu m.in. znamienna próba racjonalizacji powstania. Na dzień przed wyjściem z obróconego w perzynę miasta pisał autor: „Jestem szczęśliwy, żeśmy przeżyli ten czas w powstańczej Warszawie, że zapisałem swoje nazwisko w tej historycznej walce o honor narodu, bo tak było. Niemcy, chcąc z Warszawy uczynić fortecę obronną przeciw wojskom sowieckim, które osiągnęły Wisłę, postanowili całą ludność zesłać do obozów koncentracyjnych i do obozów pracy w Niemczech. Gdy akcję tę rozpoczynały już oddziały karne SS, żandarmerii i Ukraińców, wtedy chwyciliśmy za broń, tj. 1 sierpnia.

Po dwóch miesiącach walki uzyskaliśmy honorowe warunki kapitulacji, zginęło wprawdzie 250 tys. ludzi, lecz sądzę, że Niemcy wymordowaliby więcej, a przede wszystkim tę młodzież, która teraz idzie do honorowej niewoli i dane są jej gwarancje bezpieczeństwa, jak i całej ludności. Moim zdaniem, mimo strasznych zniszczeń i strat, bardziej się nam to opłaciło, niż gdybyśmy się bez walki oddali na rzeź […]". ©℗

★★★★☆

BOŻYDAR RASSALSKI „WARSZAWSKIE DZIEWCZYNY, KANAŁY I GOŁĘBIARZE" BELLONA, 2018

eprasa.pl 15dc426468

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nigdy się nie poddawaj

Sześć Cztery" to kryptonim nierozwiązanej sprawy porwania i morderstwa sprzed 14 lat. Ofiarą była siedmioletnia dziewczynka. Pytania o to, co tak naprawdę się wówczas wydarzyło, wracają, kiedy współcześnie dochodzi do kolejnego porwania. Zadziwiająco podobnego. Czy powrócił seryjny morderca? Jeśli tak, to dlaczego poszło mu tak łatwo za pierwszym razem? I dlaczego ważny szef policji ze stolicy przybywa z nagłą wizytą, by nalegać na spotkanie z ojcem pierwszej ofiary, przy czym jedyne, na czym zdaje się mu zależeć, to obecność dziennikarzy.

Wypadki oglądamy oczami głównego bohatera, policjanta Yoshinobu Mikamiego. Dawniej był gwiazdą dochodzeniówki, teraz użera się z dziennikarzami jako szef biura prasowego. Nikt za nim nie przepada. Dla żurnalistów jest kolejnym policyjnym biurokratą, który utrudnia im pracę rozmaitymi restrykcjami, dla kolegów policjantów jest osobnikiem niegodnym zaufania, potencjalnym źródłem przecieków. Jakby tego było mało, także w domu ma kłopoty. Jego dorastająca córka Ayumi także zniknęła. Uciekła z domu? Została uprowadzona? Nie wiadomo. I ta niepewność niczym rak zżera duszę Mikamiego.

W opasłym tomie (niemal 800 stron) tropienie przestępców zajmuje jednak zadziwiająco niewiele miejsca. To opowieść japońska do szpiku kości: większość uwagi bohaterów zaprzątają skomplikowane relacje przełożonych z podwładnymi, stosunki między policyjnymi departamentami, między tymi, którzy oddają przysługi, a tymi, którzy czują się ich dłużnikami. Obie warstwy pięknie się łączą, okaże się bowiem, że nie da się rozwikłać zagadki kryminalnej bez odpowiedzi na pytanie, jak daleko posunie się policja, żeby ukryć swoją nieudolność. I bez zrozumienia, jak wiele rozmaici ważni ludzie są w stanie poświęcić, by zrobić to, co dla Japończyka jest najważniejsze: ocalić twarz.

Poza wszystkim jest to opowieść o bezwzględnej walce o władzę. I jak to często bywa, sprawy skrzywdzonych maluczkich nie będą się specjalnie liczyły dla bezwzględnych graczy. Tym mądrzejszej lekcji udzieli wszystkim pod koniec (będzie się to wiązało z rozwiązaniem zagadki porwania) jeden z bohaterów, dla którego najważniejsze będą upór, cierpliwość i nadzieja w beznadziejnej, zdawać by się mogło, sytuacji. „Sześć Cztery" może rozczarować tych, którzy szukają „szybkiego" kryminału na lato, za to na pewno spodoba się tym, którzy cenią oryginalność i precyzję konstrukcji. A dla miłośników Japonii jest pozycją obowiązkową. ©℗

★★★★★

HIDEO YOKOYAMA „SZEŚĆ CZTERY" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa książka współautora „Ptaków drapieżnych" i „Made in Poland". 2 sierpnia 1943 r. doszło do wybuchu powstania, w którego wyniku kilkuset Żydów zginęło, a drugie tyle uciekło z Treblinki. Wojnę przeżyło ok. 70 z nich.

MICHAŁ WÓJCIK „TREBLINKA '43. BUNT W FABRYCE ŚMIERCI" ZNAK

Rzecz o objawieniu z czerwca 1877 r. na Warmii (wówczas zabór pruski). Oprócz przypomnienia o jego duchowym znaczeniu autorka kreśli też tło polityczne – wszystko to działo się wszak w czasach wojny Bismarcka z Polakami i ich wiarą.

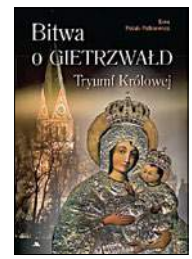

EWA POLAK-PAŁKIEWICZ „BITWA O GIETRZWAŁD. TRYUMF KRÓLOWEJ" WYDAWNICTWO AA

Historia przyjaźni aktora Grega Sestero i ekscentrycznego Tommy'ego Wiseau. Czyli książka, na podstawie której James Franco nakręcił głośny film o kulisach powstania filmu „The Room". Ciekawsza i jeszcze zabawniejsza od ekranizacji.

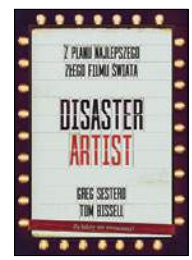

GREG SESTERO, TOM BISSELL „DISASTER ARTIST" ZYSK I S-KA

Nowy thriller znanego szkockiego pisarza i scenarzysty, znanego w Polsce z trylogii o wyspie Lewis. Trzy kryminalne historie łączą się w tej stylowej, nastrojowej fabule, której akcja rozgrywa się na Hebrydach i w Edynburgu.

©℗ *poleca Piotr Gociek*

PETER MAY „NA SZLAKU TRUMIEN" ALBATROS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.***
2. ***Remigiusz Mróz „Hashtag" (Czwarta Strona) – nowa powieść najpłodniejszego autora polskich kryminałów. O dziwnych zaginięciach i mocy Internetu.***
3. ***Olga Tokarczuk „Bieguni" (Wydawnictwo Literackie) – wznowienie powieści autorki „Ksiąg Jakubowych" sprzed 11 lat.***
4. ***Stephen King „Outsider" (Prószyński) – najnowsza powieść króla grozy, łącząca kryminał z elementami horroru.***
5. ***B.A. Paris „Za zamkniętymi drzwiami" (Albatros) – jest wznowienie hitu sprzed roku, jest powrót na listę. Thriller o tym, ile zła może czaić się w małżeństwie.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 9 do 22 lipca 2018 r.)

eprasa.pl 15dc426468

FOT. EMMANUEL JAMBO

Bach ze slumsów

Ponad 300 tys. ludzi stłoczonych na 1,5 km kw. Bieda, niewyobrażalne warunki sanitarne, przemoc. W slumsach każdy dzień jest walką o przetrwanie, ale dla mieszkających tam ludzi, którzy często innego świata nie znają, stają się domem, którego nawet nie próbują opuścić. Wsiąkają, przywykają, rosną, dojrzewają, współtworzą to miejsce.

Jakże surrealistycznie w Korogocho, slumsach kenijskiej stolicy Nairobi, musi brzmieć muzyka klasyków. Jakże szaleńczy musiał wydawać się pomysł Elizabeth Njoroge, która przed 10 laty powołała do życia organizację The Art of Music z nadzieją, że odkrywając przed dzieciakami ze slumsów muzykę klasyczną, filmową, ucząc gry, oddaje w ich ręce nie tylko zdezelowane, pożyczane instrumenty, lecz także przepustkę do innego świata.

W tym szaleństwie jest metoda. Z dziećmi z Ghetto Classics zaczęli pracować artyści z całego świata, w tym również Polak – Radzimir Dębski „Jimek". Kompozytor, dyrygent, producent muzyczny, twórca muzyki filmowej. Syn kompozytora Krzesimira Dębskiego oraz piosenkarki jazzowej Anny Jurksztowicz. Muzyk, który rozłożył na łopatki liczącą ok. 3 tys. twórców z całego świata konkurencję w organizowanym przez Beyoncé konkursie na remix jej piosenki (trafił na minialbum amerykańskiej gwiazdy), a za swoją „Historię hip-hopu" zebrał pochwały również od artystów zza oceanu, których hiphopowe brzmienia zostały przełożone na język muzyki symfonicznej. I właśnie z Radzimirem Dębskim i zaproszonymi przez niego wirtuozami 20-osobowa reprezentacja Ghetto Classics zagrała swój pierwszy koncert poza Kenią. Koncert w Polsce, we wrocławskim Capitolu, podczas Brave Festival 2018.

Dzięki organizacji Elizabeth Njoroge ok. 650 dzieci z kenijskich slumsów poznaje twórczość i uczy się grać kompozycje Mozarta, Bacha i Brahmsa. Najlepsi mają szansę trafić do Narodowej Młodzieżowej Orkiestry Kenijskiej, kształcić się dalej, iść na studia. Pozostali, jeśli zechcą, będą chociaż mogli zarabiać na życie graniem na ulicy. A to, jak na miejsce, w którym żyją, i tak już sporo. ©℗ ***Radosław Wojtas***

NA SŁUCH

Chodzi o to, by pomysł był

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

★★★★☆☆

MŁYNARSKI – MASECKI JAZZ CAMERATA VARSOVIENSIS „FOGG – PIEŚNIARZ WARSZAWY" MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Po sukcesie ubiegłorocznej płyty „Noc w wielkim mieście" Jan Młynarski i Marcin Masecki kontynuują eksplorację dawnej polskiej piosenki.

Tym razem panowie wybrali szlagiery Mieczysława Fogga i to ze wszystkich okresów jego kariery. A był on uwielbiany i przed wojną, i podczas niej, i w okresie socjalizmu. Chociaż w latach 60. młodzi wielbiciele bigbitu szczerze go nienawidzili. Wtedy bowiem piosenkami Fogga byli na okrągło katowani przez państwowe radio.

Pięćdziesiąt lat później to, co raziło (staromodna maniera wokalna), dziś nabrało urokliwej patyny. Mimo że autorzy projektu stoją okrakiem między powagą a pastiszem. W sferze instrumentalnej Masecki zachwyca aranżacjami, szczególnie że oprócz sekcji dętej wykorzystuje swingujące smyczki. Natomiast wokaliści, Agata Kulesza, Joanna Kulig, Barbara Kinga Majewska, Szymon Komasa i Jan Młynarski, niestety tylko „lecą" Foggiem. Barytonu lirycznego pana Mieczysława po prostu nie da się podrobić na poważnie. Rozumiem, że teksty przedwojennych szlagierów aż proszą się o mruganie okiem, tyle że albo tworzymy hołd najwybitniejszemu piosenkarzowi Warszawy, albo lecimy bez trzymanki.

Niestety, liderzy nie pokusili się o nowe odczytanie takich standardów jak „Tango milonga", „To ostatnia niedziela", „Warszawo ma" czy „Piosenka o mojej Warszawie". Rocznicowa dotacja została wydana bez zarzutu, tylko sama płyta długo w pamięci nie pozostanie. ©℗

★★★☆☆☆

THE CURE „MIXED UP" (3 CD DELUXE EDITION)

Płyta z radykalnymi miksami piosenek grupy w 1990 r. nie odniosła sukcesu. W obecnym wydaniu interesująca jest ostatnia, trzecia płyta. Zawiera 16 premierowych miksów, po jednym utworze z każdej płyty studyjnej i kilku singli. Dla maniaków.

★☆☆☆☆☆

TACO HEMINGWAY „CAFÉ BELGA" ASFALT

Z miejsca na szczycie listy najpopularniejszych płyt. Najpopularniejszy polraper tak jak amerykański Drake użala się nad sobą oraz wyznaje miłość Idze. Znienawidzony przez środowisko i uwielbiany przez nastolatki 27-latek dotarł do szczytu żenady. ©℗

eprasa.pl 15dc426468

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pustka muzeów

W ramach postępującego z wiekiem zdziwaczenia odkryłem w sobie nową pasję. Otóż lubię odwiedzać muzea, których nikt inny nie odwiedza. Bycie jedynym (rodziny nie liczę) zwiedzającym w takim przybytku jest dla mnie przyczyną specyficznej przyjemności.

To się zaczęło ponad dekadę temu w Belgradzie. Z trudem odnalazłem niezbyt wyeksponowane mauzoleum Josipa Broza-Tito, a dyżurujący muzealnik aż podskoczył na widok niespodziewanego gościa. Dopiero jednak w te wakacje udało mi się ustrzelić dublet.

Miejscowość Nyírbátor na Węgrzech nie jest mekką turystów, choć może pochwalić się całkiem interesującymi zabytkami. W pozostałościach po dawnym zamku Batorych urządzono wystawę figur woskowych, odgrywających co ważniejsze sceny z życia tego znamienitego rodu. Nie dość, że panoptikum było efektowne i podobało się mojemu synkowi, to jeszcze było doskonale puste. Prócz nas oraz pokonanych Turków i triumfujących Batorych nie było w nim absolutnie nikogo.

Z kolei w dawnym klasztorze zebrano, co się tylko dało. Trochę starej broni, meble, dawne narzędzia rolnicze z okolicy, stroje, rozmaite bibeloty, ot takie muzealne mydło i powidło. Wszystko opisane wyłącznie po węgiersku, czyli absolutnie nic nie byliśmy w stanie zrozumieć. Naszą uwagę przykuła jednak czasowa wystawa zdjęć z początku XX stulecia. Od zachwytu nasza węgierszczyzna się nie poprawiła, więc mogliśmy się jedynie domyślać, że to fotografie miejscowej ludności – od chłopów i Cyganów po lokalną śmietankę – którą uwieczniał jakiś zapaleniec z wielkim aparatem na trójnogu.

Stare zdjęcia są niesamowite. Różnią się zdecydowanie od późniejszych, nie wspominając o dzisiejszych selfikach. Widać, jakim przeżyciem było dla ludzi pozowanie przed aparatem. Jak odziewali się w najlepsze odświętne stroje i maskowali swoje ubóstwo. Jak starali się wypaść okazale oraz godnie. I jeszcze jedna szczególna cecha: powaga. Na starych zdjęciach nie ma uśmiechu. Wszyscy są bardzo serio. I członkowie rodów królewskich, i arystokraci, i prości chłopi. Nikt się nie śmieje. Wszyscy patrzą w obiektyw ze śmiertelną powagą.

To o tyle dziwne, że przecież fotografia kojarzy nam się ze szczerzeniem zębów. Odkąd pamiętam, kazano mi się uśmiechać do aparatu. Fotografowie zawsze i wszędzie domagają się, żebyśmy zademonstrowali uśmiechem, jacy szczęśliwi jesteśmy. Ponuractwo nie jest tolerowane. Musi być uśmiech, ewentualnie – od lat kilku – dziubek.

Może dlatego stare zdjęcia są takie fascynujące. Chociaż pozowane jak w teatrze, z wypomadowanymi wąsami i pozycją na baczność, to jednak bez dolepionego uśmiechu wydają się prawdziwsze.

A puste muzea zdecydowanie polecam. Są inspirujące. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Żądza krwi

Trzeba być naprawdę zaślepionym na oczywiste oczywistości, aby nie przyjmować do wiadomości, że „totalni" przegrali totalnie. Rozumiem, że pogarda dla własnego społeczeństwa nie pozwala im patrzeć jego oczami na rzeczywistość i muszą tkwić gdzieś w nirwanie lat 90., kiedy to „najważniejsza gazeta w Polsce" decydowała o powszechnym stanie świadomości. Wtedy się udawało. Pamiętam, jak wskutek zmasowanej presji nie udało się w 1997 r. powołać sądu lustracyjnego. Nie znalazło się 21 sprawiedliwych w postkomunistycznej Sodomie. Jednak czasy się zmieniły. Sądy też.

Mimo gigantycznego nacisku „autorytetów", stowarzyszeń, ulicy i zagranicy do Sądu Najwyższego zgłosiło się więcej chętnych, niż jest miejsc. Nacisk już nie działa. To, co przed 20 laty wydawało się straszne, dziś jest jedynie śmieszne. Reforma sądów stała się faktem i trudno wyobrazić sobie, by coś ją zatrzymało.

Oczywiście „opozycja totalna" nie przyjmuje tego do wiadomości, jak spłukany gracz w kasynie, zamiast dać sobie spokój i mieć przynajmniej na taksówkę, uparcie rzuca swe ostatnie sztony na jeden numer, wierząc, że jeśli trafi, wygrana będzie 36-krotna. Wymarzony numer to prowokacja – trzeba zmusić rządzących, aby zrobili coś takiego, po czym Polska się zagotuje, dwa miliony wyjdą na ulicę, na którą przybędzie Tusk na białym koniu. Tyle że rządzący jak na złość nie chcą pałować, wsadzać, kneblować. Pani prof. Środa namawia do tworzenia państwa podziemnego z własnymi sądami, mediami, szkolnictwem. A co zrobić z tymi, które są? Jak na razie większość mediów to organy opozycji totalnej, uczelnie są matecznikiem przeciwników dobrej zmiany, a w sądach są i będą ci sami sędziowie. Nie podważa to przekonania, że krew na chodniku mogłaby to zmienić. Każda kolejna akcja coraz bardziej kompromituje chętnych do władzy. Jedyne, na co stać sterników rewolucji, na którą się nie zanosi, to dostać się do Sejmu. Nie za pomocą wyborów. W bagażniku.

Cóż, jacy Odyseusze, taki koń trojański. ©℗

eprasa.pl 15dc426468

Tomasz P. Terlikowski

Antykoncepcyjny przełom?

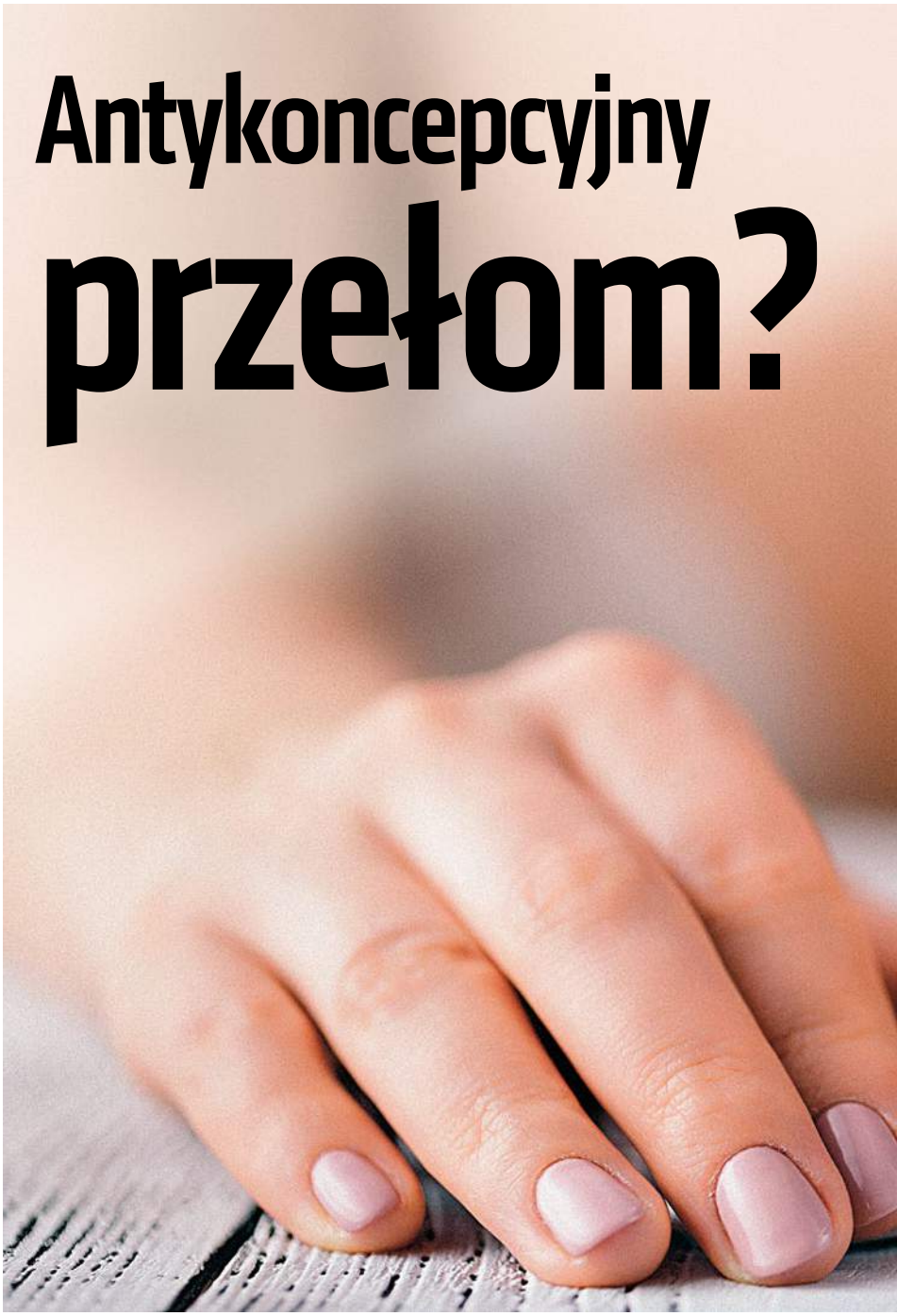

Czy 50 lat po opublikowaniu „Humanae vitae" Franciszek zdecyduje się na jakąś formę „duszpasterskiej rewolucji" także w kwestii dotyczącej antykoncepcji?

Od 50 lat trwa nieustanny festiwal zapewnień, że już za moment, za jakiś czas, gdy zmieni się papież albo gdy ten nowy dobry zmieni zasady, zasady zapisane w „Humanae vitae" zostaną zmienione. Argumenty są różne. Jedni podkreślają, że wielu katolików tej prawdy nie zaakceptowało i nie akceptuje, a przecież do uznania jakiegoś nauczania konieczna jest jego recepcja przez cały Kościół. Inni przekonują, że zmieniła się świadomość społeczna, pogłębiło się rozumienie małżeństwa, a to ma oznaczać, że trzeba na nowo przemyśleć zawartość encykliki „Humanae vitae" i wyjść naprzeciw owym zmianom. Jeszcze inni domagają się „duszpasterskiego miłosierdzia" wobec par, które od dawna antykoncepcję stosują i nie są w stanie zaakceptować nauczania Kościoła.

Jest jednak w całej tej debacie coś nowego. Otóż jeszcze kilka, kilkanaście lat temu opinie takie płynęły od teologów, których określić można było dysydenckimi i którzy – choć uwielbiani przez media – nie byli (i wszyscy mieli tego świadomość) oficjalnymi reprezentantami Kościoła.

Teraz sytuacja się zmieniła, sygnały nadchodzącej zmiany wysyłają już bowiem ludzie związani z watykańskimi instytucjami, a ich tezy publikują oficjalne periodyki Konferencji Episkopatów (Niemiec, Włoch czy Austrii).

SYGNAŁY ZMIANY

Przykładem, być może najostrzejszym, jest tekst o. Maurizia Chiodiego, członka Papieskiej Akademii Życia. Jego zdaniem, gdy „metody naturalne są niemożliwe do realizacji, trzeba znaleźć inne formy odpowiedzialności w kwestii rodzicielstwa". Co to oznacza? Dla tego teologa tyle, że w takich sytuacjach sztuczne metody antykoncepcji „mogłyby zostać uznane za akt odpowiedzialności, który jest dokonywany nie z powodu odrzucenia daru dziecka, ale gdy małżeństwo wezwane jest do innych form przyjmowania i gościnności". Argumentacja ta została przedstawiona podczas wykładów z okazji 50-lecia „Humanae vitae" na papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim, a później przedrukowano ją w należącym do Konferencji Episkopatu Włoch dzienniku „Avvenire". Jakby tego było mało, opatrzono ją odredakcyjnym wstępem, którego autorzy przekonywali, że to stanowisko w toczącej się debacie wokół „Humanae vitae" nie może być rozumiane jako krytyka lub odrzucenie encykliki. Ale jednocześnie wskazują, że nie jest ona ani nieomylna, ani niezmienna.

„Z tej perspektywy refleksja teologa może być rozumiana jako propozycja, której celem jest rozwój tradycji. Tradycja, aby być żywa i przemawiać nadal do kobiet i mężczyzn naszych czasów, nie może być skostniała, ale musi pozostać dynamiczna, co oznacza,

eprasa.pl 15dc426468

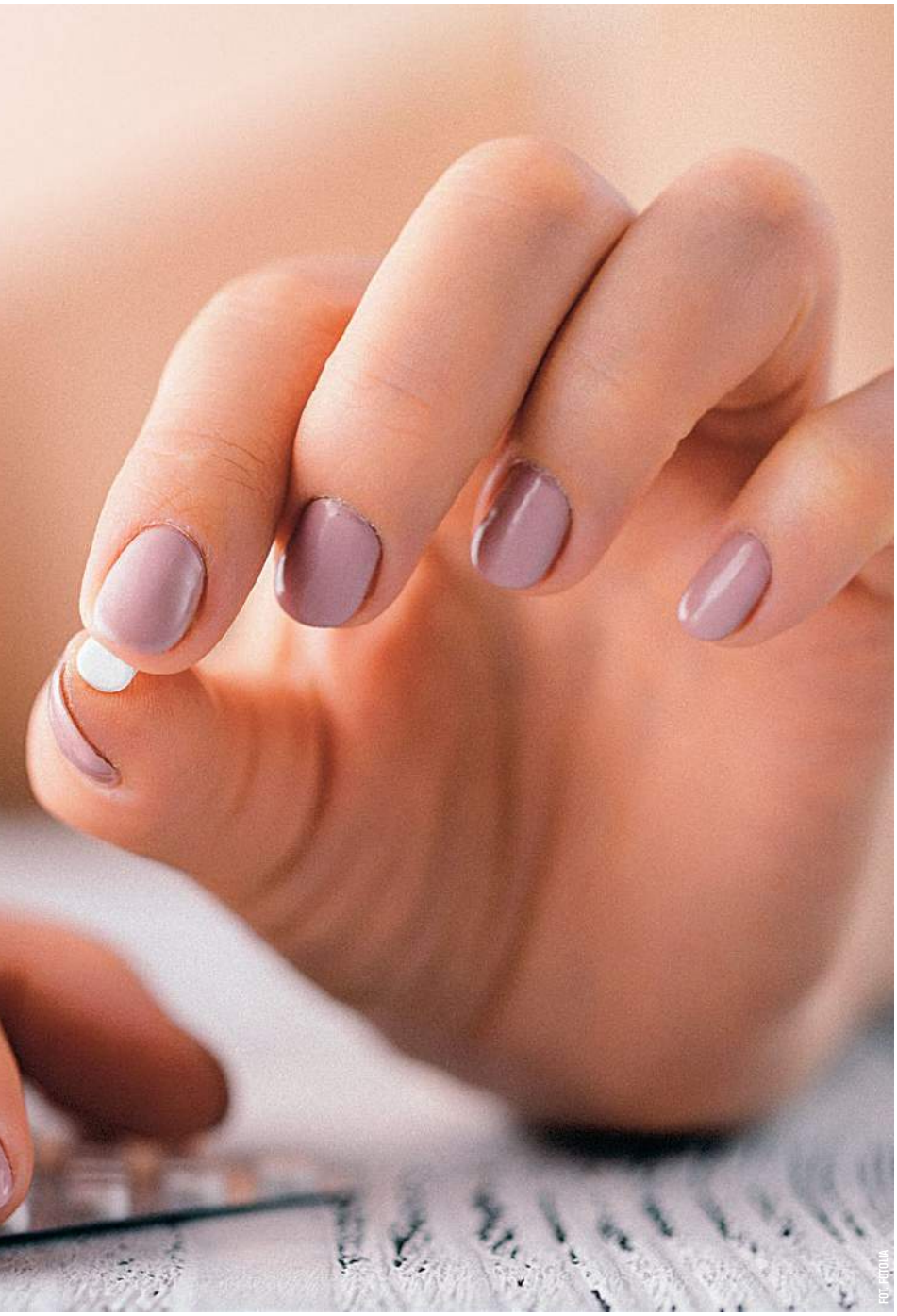

FOT. POTOLA

że musi być zgodna ze zmieniającym się społeczeństwem. Ksiądz Chiodi ma odwagę zdefiniować problem poruszany przez niektórych teologów i ekspertów w zakresie praktyk duszpasterskich. Czy naturalne metody są naprawdę rozumiane jako jedyny możliwy sposób planowania rodziny?” – napisali autorzy wstępu do tekstu o. Chiodiego.

W debacie publicznej pojawiają się także inne sygnały, które mogą sugerować, że na 50-lecie „Humanae vitae” jednoznaczne nauczanie Kościoła może zostać nieco osłabione. Tak jest z informacjami dotyczącymi powołania komisji historycznej, która zajmuje się okolicznościami prac komisji powołanej do zajęcia się problemem antykoncepcji i która – jak zapewniają jej członkowie – nie ma badać problemu dopuszczalności sztucznych metod zapobiegania ciąży, lecz jedynie historię sporu, ale… samo wywołanie tej dyskusji wzbudziło wśród pewnej części katolików nadzieje na zmianę. Czy są one uzasadnione? Czy nauczanie Kościoła w tej kwestii może zostać zmienione? Czy Franciszek albo jakiś kolejny papież może uznać, idąc za przykładem choćby Cerkwi prawosławnej, że w pewnych okolicznościach, po „rozeznaniu” (to, jak się zdaje, jest tu kluczowy termin) w sumieniu, możliwe będzie korzystanie z jakichś metod sztucznej antykoncepcji?

STATUS „HUMANAE VITAE”

Ujmując rzecz krótko i jednoznacznie: na poziomie doktryny nic na to nie wskazuje. Dlaczego? Odpowiedź, którą trudno sformułować lepiej, znajdziemy w raporcie mniejszości komisji Jana XXIII. Jego autorzy jednoznacznie wskazują, że „Kościół nie może zmienić tej odpowiedzi, ponieważ jest ona prawdziwa”. Ale to nie wszystko. Przypominają też, że spór nie dotyczy prawdziwości i obowiązywalności „Casti connubii” (a wtedy to o tej encyklice dyskutowano, teraz te same słowa można odnieść do „Humanae vitae”), ale tego, czy Kościół w kwestii istotnej dla zbawienia ludzkiego może głęboko się mylić i uznać to, co nie jest grzechem, za grzech (albo odwrotnie)? „Gdyby Kościół mógł się w tak głęboki sposób pomylić, to autorytet zwyczajnego magisterium w sprawach moralnych zostałby zakwestionowany. Wierni nie mogliby zaufać prezentowanemu przez magisterium nauczaniu moralnemu, zwłaszcza w sprawach seksualnych” – wskazują autorzy raportu.

Te krótkie sformułowania w istocie czynią bezużytecznymi – z punktu widzenia praktycznego, bo rzecz jasna dla teologów mogą one pozostać istotne i ważne – szerokie i tak często przywoływane rozważania na temat rangi doktrynalnej „Humanae vitae” (a także wcześniejszych dokumentów papieskich w tej kwestii). Niezależnie bowiem od tego, czy uznać, że encyklika nie spełnia kryteriów nauczania nieomylnego, czy też uznać ją za przejaw nieomylnej, bo wynikającej ze stałego, niezmiennego, jednomyślnego i powszechnego nauczania Kościoła – trudno będzie polemizować z taką opinią. Paweł VI, podchodząc do nauczania dotyczącego ludzkiej seksualności, a – w węższym rozumieniu tego tematu – antykoncepcji, nie mógł bowiem uznać, że ma prawo cokolwiek zmienić, a mógł jedynie zastanawiać się, czy pogłębione rozumienie ludzkiej seksualności (a takie niewątpliwie się dokonało), postęp

eprasa.pl 15dc426468

w dziedzinie kontrolowania natury, obawy związane z rzekomą bombą demograficzną, a także zmieniająca się sytuacja kobiet w społeczeństwie nie powodują, że pewne kwestie moralne mogą być głębiej zrozumiane.

Badania historyczne, które zostały zlecone specjalnej komisji, pokazują, że Paweł VI mocno złagodził pierwotną treść dokumentu i próbował zrobić wszystko, by wpisać go w kontekst zarówno współczesnej wiedzy medycznej, jak i psychologicznej. W niczym nie zmienia to jednak tego, że ani on sam, ani Kościół – według wspólnej katolikom wiary – nie miał władzy nad prawem moralnym. Papież, sobór ani cały Kościół nie mogą bowiem sprawić, że to, co wewnętrznie złe, przestanie nim być.

ROZEZNANIE JAKO ZMIANA?

Odrzucenie tej zasady oznaczałoby głęboką doktrynalną rewolucję, dlatego zwolennicy „liberalizacji” doktryny (przynajmniej ci z otoczenia papieża Franciszka) kładą nacisk nie tyle na zmianę zasad, ile na konieczność rozeznawania. Ich zdaniem – co doskonale pokazuje wykład kardynała Blase’a Cupicha wygłoszony na Von Hügel Institute w St. Edmund College w Cambridge – ogólne zasady (także te moralne) są w istocie paternalizmem i autorytaryzmem, z którymi Kościół, właśnie w imię „rozeznania”, powinien zerwać. Trzeba „odrzucić autorytarny lub paternalistyczy sposób postępowania z ludźmi, który ustanawia prawo, a który udaje, że ma wszystkie odpowiedzi lub łatwe odpowiedzi na złożone problemy” – wskazuje kard. Cupich. „Tak więc w autentycznie synodalnym Kościele nie ma hierarchicznego rozróżnienia między tymi, którzy mają wiedzę, a tymi, którzy jej nie mają. Najważniejszą konsekwencją wezwania do towarzyszenia powinno być zwrócenie większej uwagi na głosy świeckich, zwłaszcza w sprawach małżeństwa i życia rodzinnego, ponieważ żyją oni w tej rzeczywistości z dnia na dzień. Tak działa Kościół synodalny” – wskazuje kardynał. I to właśnie taką drogą dokonywać się będzie, prawdopodobnie, określana duszpasterską, zmiana.

Sam papież Franciszek, choć zdarzały mu się wypowiedzi sugerujące jakąś możliwość zmiany (choćby ta z pokładu samolotu, gdzie powoływał się na nieprawdziwe historie dotyczące zgody rzekomo udzielonej przez Pawła VI na stosowanie pigułki przez zakonnice zagrożone gwałtem), w oficjalnych dokumentach możliwość taką odrzuca. W 80. paragrafie szeroko komentowanej adhortacji „Amoris laetitia” papież powtarza – choć w ogromnym skrócie – zasady, które sformułował jasno i dobitnie bł. Paweł VI. „… związek ten [chodzi o małżeństwo – red.] jest ukierunkowany »z natury« na prokreację. Przychodzące dziecko nie przybywa »z zewnątrz jako dodane do wzajemnej miłości małżonków; wyłania się w samym centrum tego wzajemnego daru, którego jest owocem i wypełnieniem«. Nie pojawia się pod koniec procesu, ale jest obecne od początku miłości, jako istotna cecha, której nie można zaprzeczać bez okaleczenia samej miłości. Od początku miłość odrzuca wszelkie impulsy do zamykania się w sobie i otwiera się na płodność, która ją przedłuża, wykraczając poza swoją własną egzystencję. Zatem żaden akt płciowy małżonków nie może zaprzeczyć temu znaczeniu, chociaż z różnych powodów nie zawsze może rzeczywiście prowadzić do zapoczątkowania nowego życia” – zauważa Franciszek. Słowa te zupełnie jednoznacznie odnoszą się (co zasygnalizowane jest w przypisie) do „Humanae vitae” i w istocie wykluczają dopuszczenie sztucznego ubezpłodnienia aktu małżeńskiego.

To, że ani z duszpasterskiego, ani doktrynalnego punktu widzenia zmiana nie jest możliwa, nie oznacza jeszcze, że jej nie będzie

Warto też wskazać, że jeśli traktować poważnie i zgodnie z intencjami św. Ignacego Loyoli termin „rozeznawanie” (pochodzi on z jego „Ćwiczeń duchowych”), to i on sam wyklucza jakiekolwiek uznanie sztucznego ubezpłodnienia aktu małżeńskiego. Powód jest zaś bardzo prosty. U św. Ignacego proces rozeznania zawsze dotyczy rzeczy dobrych, moralnie dopuszczalnych, a nie takich, które z natury są złe. „Jest rzeczą konieczną, by wszystkie rzeczy, które będą przedmiotem wyboru, były same w sobie obojętne lub dobre i by zgadzały się ze świętą Matką, Kościołem hierarchicznym, by zatem nie były złe i Jemu przeciwne” – podkreślał św. Ignacy Loyola. W innym zaś miejscu uzupełniał, że podjęcie wyboru niezmiennego (np. o kapłaństwie czy małżeństwie) nie podlega już dalszemu rozeznawaniu, nie można się bowiem uwolnić z decyzji, którą już się podjęło, a którą Bóg umocnił i potwierdził w Kościele przez sakrament. Co z tego wynika w omawianej przez nas dyskusji? W największym skrócie tyle, że w istocie rozeznawanie, także w odniesieniu do kwestii pożycia małżeńskiego, jeśli ma być rzeczywiście wyborem dokonującym się w przestrzeni Bożej i wewnątrz dobrze ukształtowanego sumienia, musi pozostawać w zgodzie z nauczaniem Kościoła, którego wyrazem pozostaje nauczanie na temat antykoncepcji. Małżonkowie mogą zatem dokonywać wyborów, rozeznawać kwestie związane z własną płodnością, otwarciem na życie czy pożyciem seksualnym, tylko pozostając wewnątrz jasno zarysowanej doktryny Kościoła.

ROZMYWANIE SENSÓW

To jednak, że ani z duszpasterskiego („rozeznanie”), ani doktrynalnego punktu widzenia zmiana nie jest możliwa, nie oznacza, że jej nie będzie. Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że ani z doktrynalnego, ani z duszpasterskiego punktu widzenia niemożliwa jest zmiana stanowiska Kościoła w sprawie komunii świętej dla rozwodników, a dziś jest ona przyjęta i przyklepana przez większość (tak, przez większość) episkopatów świata zachodniego (wyjątkiem są Polska, Stany Zjednoczone, gdzie każdy biskup przyjął odmienne stanowisko, i kraje Europy Środkowej). Wtedy wszystko rozpoczęło się także od szerokiej debaty, badań historycznych, lekkich, ale znaczących sygnałów. W sprawie antykoncepcji może być podobnie, a trzeba pamiętać o tym, że odrzucenie „Humanae vitae” od lat znajduje się na krótkiej liście celów kościelnych liberałów, których papabile przez lata był kard. Carlo Maria Martini i którzy doprowadzili do wyboru na papieża kard. Jorge Bergoglia. Jeśli zaś zmiana ta dokona się, co nie musi wydarzyć się szybko, to rzecz jasna pod hasłem „duszpasterskiego otwarcia”, które nie narusza doktrynalnego stanowiska. I nikt nie będzie wyjaśniał, jak można pogodzić duszpasterskie „tak” z doktrynalnym „nie”. Co najwyżej malkontentów określi się mianem faryzeuszy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

Z Leszkiem Millerem, byłym premierem i byłym szefem SLD
rozmawia Marcin Makowski

Zetrą się dwie Polski

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

MARCIN MAKOWSKI: Ostatnio częściej niż w kontekście polityki pojawia się pan w tabloidach, komentując poczynania wnuczki. „Monika nie miała dziewczyn w znaczeniu seksualnym. [...] Jest normalną, heteroseksualną kobietą" – powiedział pan w „Super Expressie" po tym, gdy Monika Miller ujawniła, że jest biseksualna. „Chłopak-dziewczyna, normalna rodzina"?

LESZEK MILLER: To nie tak. Ja przez moment zapomniałem, że Monika Miller nie jest małą dziewczynką, ale dorosłą kobietą.

Trudno ukryć.

Dlatego to była ostatnia wypowiedź odnośnie do życia prywatnego wnuczki. Nie jestem do tego upoważniony, aby je komentować.

Ale ja pytam o pańskie słowa, które już padły i odbiły się sporym echem.

One wynikały z przekonania, że wnuczka wymaga stałej opieki i mam jej pomagać, również w mediach. Bez znaczenia, jaką orientację seksualną wybierze, będę ją kochał tak samo. W niczym mi to nie przeszkadza. Jej orientacja jest mi obojętna, cenię ją za to, kim jest i ile radości mi daje.

Niemniej jednak rzeczniczka SLD Anna-Maria Żukowska przeprosiła w imieniu partii za pańskie słowa. Wzburzył pan również część młodszej, radykalnej lewicy.

Nie upoważniałem pani Żukowskiej, aby mnie reprezentowała i przepraszała za to, co powiedziałem. SLD miał w swoim okresie wiele takich momentów,

eprasa.pl

gdy np. Aleksander Kwaśniewski często przepraszał za PRL. Teraz rzeczniczka przeprasza za mnie, ale widać, że to przepraszanie w takim ujęciu jest cokolwiek deprymujące.

Co jest złego w zdaniu, że ktoś ma „normalną, heteroseksualną rodzinę"?

(cisza) Wie pan, trzeba pamiętać, w jakim społeczeństwie żyjemy. Polacy są dosyć konserwatywni, a Polska w swojej większości preferuje tradycyjny model rodziny. Co nie znaczy, że nie ma miejsca dla innych orientacji. Uważam, że to, kto z kim mieszka i sypia, jest jego prywatną sprawą. Zawsze byłem za legalizacją związków partnerskich i próbowaliśmy to w poprzedniej kadencji przeprowadzić, co jest potrzebne również z powodów ekonomicznych. No i tyle. Zdaję sobie jednak sprawę, że postulaty wysuwane przez ugrupowania lewicowe kłócą się z tym dominującym w Polsce modelem, co nie znaczy, że nie mają one prawa ich głosić.

Czy Strajk Kobiet i często agresywne ruchy kobiece to naturalni sojusznicy SLD? A może wróg wewnętrzny?

Wróg? Nie sądzę. W samym SLD jest wiele kobiet o podobnym temperamencie, choćby prof. Senyszyn. Z moich doświadczeń i spotkań z kobietami Sojuszu wynika, że przeważa u nich jednak troska o problemy socjalne i ekonomiczne oraz równouprawnienie – o byt polskich rodzin. Nie zamykamy jednak oczu na to, że istnieją po naszej stronie grupy, dla których sprawa lewicowości kulturowej jest bardziej eksponowana niż sprawy socjalne.

Może w takim razie przyszłość państwa rozstrzygnie się w debacie o aborcję i rolę Kościoła, a nie o Sąd Najwyższy i KRS?

Może się tak zdarzyć, ale jeśli chodzi o pozycję PiS, mam wrażenie, że może być zagrożona przez co najmniej dwa czynniki. Pierwszy – załamanie sytuacji gospodarczej, drugi – nawarstwienie się zjawisk uderzających w tożsamość PiS, takich jak nepotyzm, afery i żerowanie na finansach państwa. Jeśli jednak do tego nie dojdzie, zrozumiem, że opozycja będzie szukać innych metod. Bo ona musi być totalna.

A jednak.

Totalna, czyli wykorzystująca każdą szansę zgodną z prawem, aby przejąć władzę. A to osiąga się poprzez docieranie do elektoratu w najróżniejszy sposób. Przestać być opozycją to najważniejsze zadanie opozycji.

Tylko jak ma to osiągnąć, skoro twierdzi, że w Polsce panują faszyzm, autorytaryzm, demokracja nieliberalna albo PRL bis? W takich systemach nie ma wolnych wyborów.

Gdybym miał wybierać, nie sięgałbym po faszyzm, tylko użyłbym terminu demokracji nieliberalnej albo autokracji wyborczej.

A kiedy słyszy pan z ust osób z dorobkiem, np. prof. Andrzeja Friszke, że mamy do czynienia z quasi-faszyzmem, uważa pan, że taka definicja pomaga opisać rzeczywistość?

Nie pomaga. Sądzę, że to określenie przesadne i na wyrost. Raczej służące ostrzeżeniu, że tak może się stać, ale nie da się dzisiaj uczciwie intelektualnie stawiać znaku równości między rządami PiS a faszyzmem.

Bardzo częste w przestrzeni publicznej są również nawiązania do PRL. Pan te czasy – delikatnie mówiąc – pamięta. Są uzasadnione analogie?

Myślę, że zwłaszcza w kontekście tego, co dzieje się z sądownictwem, o wiele lepszym i trafniejszym odwołaniem jest sytuacja Polski międzywojennej po zamachu majowym. Wtedy również piłsudczycy dokonali „reformy", a de facto zamachu na trzecią władzę. Zmieniono prezesów Sądu Najwyższego, wprowadzono szerokie możliwości przenoszenia sędziów w stan spoczynku oraz do innych sądów bez ich zgody. Był nawet zwyczaj, który wprowadził minister sprawiedliwości Witold Grabowski, aby wysyłać do sądów okręgowych gotowe wyroki wypracowane w Warszawie. Sprawował on zresztą kontrolę nad wszystkimi sędziami.

Wróćmy do teraźniejszości i polityki samorządowej. Były poseł Ruchu Palikota Andrzej Rozenek będzie kandydatem SLD na prezydenta Warszawy. Wcześniej wycofano poparcie dla Andrzeja Celińskiego, który w wulgarny sposób zwyzywał w mediach społecznościowych swojego kontrkandydata Jana Śpiewaka.

To nie najlepszy sygnał dla wyborców, bo przecież wszyscy pamiętamy moment rekomendacji pana Andrzeja Celińskiego, w obecności premiera Cimoszewicza i całej grupy liderów warszawskiego SLD. Padły wtedy słowa bardzo miłe dla Andrzeja.

Kwestią formalności było, aby wygrał wybory w pierwszej turze.

Wie pan, to zawsze się tak mówi o każdym kandydacie: że na pewno wygra, a jeśli nie wygra, to ma szansę wejść do drugiej tury. Nie znam wszystkich szczegółów tej sprawy, ale wydaje mi się, że Andrzej Celiński bardzo emocjonalnie zareagował, no i zapewne sam, albo za namową partii, musiał się wycofać z tego wyścigu. Stąd błyskawiczny casting na następcę. Andrzej Rozenek startował już w wyborach na prezydenta Warszawy, ale zdaje się dostał nieco ponad dwa procent głosów. Mam nadzieję, że tym razem będzie lepiej.

Trzy procent?

Chciałbym, żeby wszedł do drugiej tury, ale czy tak będzie…

Nie ma pan wrażenia, że trochę się ta kampania SLD rozjeżdża?

Przykro mi, bo bardzo cenię Andrzeja. Widocznie uznał, że atak pana Śpiewaka był dla niego zbyt bolesny. Zareagował, jak zareagował – jak pan widzi, poniósł konsekwencje.

Powinien pana zdaniem przeprosić Jana Śpiewaka za nazwanie go ch*m?**

Nie wiem, nie wypowiadam się w imieniu innych, którzy mają przepraszać. Nie mam pojęcia, co Andrzej Celiński zamierza zrobić.

Nie ma partia szczęścia do tych kandydatur prezydenckich.

Mówi pan o prezydentach miast?

Trochę wyżej. I nieco wcześniej.

No cóż… Następne wybory prezydenckie za jakiś czas. Zobaczymy, co się do tego momentu wydarzy, są przecież wybory europejskie, samorządowe,

Opozycja totalna to ta, która wykorzystuje każdą szansę zgodną z prawem, aby przejąć władzę

eprasa.pl 15dc426468

parlamentarne – Sojusz musi być przygotowany na wszelkie scenariusze. Proszę pamiętać, że SLD jest nadal jedną z niewielu partii, która ma silne struktury terenowe i może wystartować do równej walki z PO i PiS w regionie, wystawiając kandydatów do wszystkich szczebli samorządu terytorialnego w Polsce.

Monika Jaruzelska będzie startować w wyborach samorządowych z list SLD. Wcześniej w podobnym przypadku, gdy do Sejmu wybierała się Małgorzata Wassermann, Joanna Senyszyn stwierdziła, że „robi politykę na trumnie ojca". Widzi pan tutaj jakieś analogie?

Nie widzę żadnych analogii. Nie sądzę też, aby Małgorzata Wassermann wybiła się „na trumnie ojca".

Takie było stanowisko jednej z czołowych twarzy ówczesnego Sojuszu.

No dobrze, więc ja tego punktu widzenia nie podzielam. Jaką winą pań Jaruzelskiej i Wassermann jest, że ich ojcowie nie żyją? Czy to oznacza, że córki i synowie znanych polityków mają nie wychodzić z domów i nie udzielać się publicznie? Zarówno Monika Jaruzelska, jak i Małgorzata Wassermann muszą udowodnić, że mają wystarczające kompetencje, aby zajmować się polityką – więcej nie potrzeba.

„SLD powsadza PiS do więzienia. Tryb się znajdzie, wszystko zmienimy" – to słowa Włodzimierza Czarzastego, który uważa, że Platforma w tym względzie jest za miękka. Czy w takim razie widzi pan za kratami Jarosława Kaczyńskiego?

Politycy nie wsadzają do więzień, bo od tego jest wymiar sprawiedliwości. Trzeba wystrzegać się takich określeń, które ostatecznie zamazują konieczny dystans władzy wykonawczej wobec władzy sądowniczej. Jeśli chodzi o odpowiedzialność wysokich funkcjonariuszy państwowych, to ona jest jasno sprecyzowana, a jeśli będzie miał się tym zająć Trybunał Stanu, to są na to szczegółowe procedury postępowania.

Jednak przed Trybunał mogą stawiać właśnie politycy.

Mogą inicjować ten proces. Istnieje również Kodeks karny, ale to już nie jest domena parlamentarzystów, tylko właśnie wymiaru sprawiedliwości.

Politycy PiS zasłużyli na takie kary?

Oczywiście. Sprawa prof. Małgorzaty Gersdorf jest przykładem złamania ustawy zasadniczej, ale już wcześniej odchodzono od zasad konstytucyjności, mam na myśli np. sposób powoływania KRS czy skracanie kadencji sędziów SN. Przyszły Trybunał Stanu będzie miał co robić.

Czy pana zdaniem wymiar sprawiedliwości radzi sobie wizerunkowo w tym sporze? Amnezja sędziego Iwulskiego o stanie wojennym, wyjazd prof. Gersdorf do Niemiec sponsorowany przez tamtejszy rząd frekwencji na protestach nie robią.

Frekwencja to akurat inny przypadek, wynikający z przekonania, że nie ma sensu umierać za sądy. Ludzie uważają, że jest zbyt wiele uwag co do funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Tylko gdyby PiS ich posłuchał i chciał zrobić coś pożytecznego, powinien zacząć od zmian w kwestiach, które ludzi najbardziej denerwują. A nie jest to obsada stanowiska prezesa Sądu Najwyższego, ale np. przewlekłość postępowań. Oczywiście, że można mieć również do części środowiska sędziowskiego i prawniczego uwagi, ale ja nie będę dodatkowo utrudniał sytuacji tym osobom. Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie napięcia przeżywają.

A panu marzy się pisanie po murach Sejmu i wjazd za jego szlaban w bagażniku samochodu? Wszystko w walce o demokrację?

Akurat wwiezienie tych dwóch osób z Obywateli RP na teren Sejmu jest o tyle dysfunkcjonalne, że daje argumenty marszałkowi, aby jeszcze bardziej wzmocnić kontrolę nad całym kompleksem. To jest niepotrzebne zachowanie. Ale ja generalnie nie podzielam poglądu, że mamy obecnie w kraju do czynienia z jakimś niezwykłym natężeniem walki ulicznej. Dobrze pamiętam początek lat 90., gdzie w Warszawie co chwila odbywały się wielkie manifestacje. Gdzie trwały bitwy uliczne między demonstrującymi a policją. Strzelano z broni gładkolufowej, próbowano podpalać gmachy publiczne. To, co w tej chwili ma miejsce, nie bardzo przypomina ówczesne wydarzenia. Jedyna różnica jest taka, że tamte protesty miały podłoże ekonomiczne wywołane planem Balcerowicza. Te mają kontekst ustrojowy i polityczny, ale daleko im w swoim emocjonalnym wyrazie do tego, co Polska już przeżyła.

Tyle że diagnoza, którą stawia część opozycji, jest taka: mamy wojnę, a skoro tak, „musimy się pogodzić z tym, że trzeba będzie ubrudzić ręce". Tak twierdzi Klementyna Suchanow.

Politykę uprawia się również na ulicy.

Władzę też przejmuje się na ulicy?

Władzy się tam nie da przejąć, ale można powiedzieć znacznie więcej niż w parlamencie, w którym opozycja została zepchnięta do roli nic nieznaczącego ozdobnika. To, że ludzie maszerują, krzyczą, mają transparenty i hasła, nie jest niczym złym.

Ale czy ktoś ma do normalnych protestów pretensję? Chodzi chyba o szukanie konfliktu z policją, o której Andrzej Halicki powiedział, że przejęła metody ZOMO. Jak dla mnie i tak wykazuje niespotykaną cierpliwość.

Oczywiście nie określiłbym jej tak ostro jak Halicki, ale usprawiedliwianie jej w każdym przypadku przez szefa MSW, to, że policjanci przestają nosić identyfikatory, stanowi naruszenie ustawy o policji, które nie powinno być tolerowane.

Politycy nie wsadzają do więzień, bo od tego jest wymiar sprawiedliwości. Trzeba się wystrzegać takich określeń, bo zamazują dystans władzy wykonawczej wobec sądowniczej

Myśli pan, że Polskę na stulecie rocznicy odzyskania niepodległości da się jeszcze jakoś posklejać?

Nie jestem tutaj optymistą i wydaje mi się, że główny konflikt wybuchnie przy okazji wyborów parlamentarnych. Zetrą się w nich dwie Polski, a każda będzie uważała, że to jej należy się całkowite zwycięstwo. Jeśliby jeszcze okazało się, że PiS-owska Polska przegrała, a Sąd Najwyższy zdominowany przez nowych sędziów unieważniłby wybory, wtedy mielibyśmy do czynienia z wybuchem społecznym o nieobliczalnych konsekwencjach. Muszę ze smutkiem powiedzieć, że to wszystko idzie w tym kierunku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

Historyczna pornografia

Piotr Gursztyn

Wojciech Lada zebrał kilka prawdziwych historii zbrodni popełnionych przez żołnierzy polskiego podziemia. Wyszła z tego zbieranina bez ładu i składu, a co gorsza – bez kontekstu

Recenzje książek prawie zawsze odnoszą się do kryterium merytorycznego. Być może to błąd. Weźmy książkę Wojciecha Lady pod niebanalnym tytułem „Bandyci z Armii Krajowej". Nie wiem, jakie były intencje autora. Załóżmy, że czysto komercyjne. Wtedy na ocenę trzeba poczekać, a do autora nie będzie można mieć pretensji, że napisał książkę, której jedynym celem jest wywołanie skandalu i co za tym idzie – zarobienie pieniędzy. Jeśli ktoś lubi wydawnictwa tego rodzaju, to będzie miał następną rzecz na półkę, gdzie stoją już pozycje, takie jak np. „Inga, wilczyca z SS", „Seksualne tajemnice życia Stalina" (albo Hitlera, jak kto woli), „UFO w służbie nazistów", wreszcie dzieła Jana Tomasza Grossa.

Produkcja rzeczy substandardowych nie jest czymś nadzwyczajnym i tak samo dotyczy książek, jak i taniej żywności. Mądrość jednak podpowiada, aby czytać etykiety i nie dać sobie wcisnąć trocin udających pożywienie. Podobnie jest z książkami.

SAME BRUDY

Wojciech Lada zebrał kilkanaście prawdziwych historii, zbrodni popełnionych przez żołnierzy polskiego podziemia i nadał temu wspomniany tytuł „Bandyci z AK". Jest to jednak zbieranina bez ładu i składu, tak jak zresztą i tytuł. Są tam bowiem rzeczy dotyczące nie tylko Armii Krajowej, lecz także Narodowych Sił Zbrojnych, Batalionów Chłopskich, powojennego podziemia antykomunistycznego, a nawet Gwardii Ludowej. Zamierzeniem autora – jak można się domyślać z jego słów – było pokazanie czytelnikowi, że na wojnie zdarzali się ludzie źli także po polskiej stronie. I że wojna w ogóle jest okropna. W istocie wyszedł zapis zadziwienia i jakiejś bezmiernej naiwności.

Reprezentanci tegoż nurtu wydawniczego i ich obrońcy twierdzą, że czynią tak, aby nie było żadnych białych plam, aby historia nie była zbyt cukierkowa, aby była prawdziwa. Osobiście uważam tę argumentację za „kit", czyli oszustwo. Każdy, kto czytał cokolwiek wartościowego o II wojnie światowej, wie, że autorzy nie ukrywali zbrodni po własnej stronie, małości, zdrady, chciwości. Sam Lada przecież opiera się wyłącznie na rzeczach już wydanych, łatwo dostępnych. Tam znalazł fakty i oceny, z których ułożył swoją książkę. Czyli jednak nie było ich ukrywania. Różnica jest taka, że Lada wyciągnął wyłącznie rzeczy brudne i ukazał je bez żadnej proporcji i kontekstu. Odwrotnie niż czynili to autorzy, z których korzystał. Cytowani przez niego Stefan Korboński czy Zygmunt Zaremba otwarcie odnotowywali zjawiska negatywne, ale pisali wyraźnie, że nie dominowały one w życiu i walce ludzi polskiego podziemia niepodległościowego.

Odwołajmy się tutaj do człowieka, który był świadkiem i uczestnikiem historii, a dodatkowo zawodowym cenionym historykiem. Mowa o płk. Adamie Borkiewiczu, żołnierzu AK, autorze fundamentalnej i bardzo szczegółowej pracy o Powstaniu Warszawskim. Tak pisał we wstępie do swojej książki: „Starałem się w prostej formie przedstawić tę wielką tragedię mego Miasta, w której, jak zwykle w tragedii, małość, egotyzm i warcholstwo szły mimo woli na rękę złu. Cienie te podkreśliły wyraźniej bezprzykładne poświęcenie i wartość duchową pokolenia, które na najwyższy poziom podniosło narodową cechę Polaków: umiłowanie wolności".

To właśnie uchwycenie tej proporcji pozwala uniknąć wpadnięcia w kategorię, którą można nazwać historyczną pornografią. Selektywny dobór jest bowiem podstawową cechą manipulacji lub braku kompetencji.

Jak już wspomnieliśmy, książka „Bandyci z AK" dotyczy nie tylko Armii Krajowej, lecz także ludzi, którzy nie podlegali armii podziemnej, bo byli np. członkami NSZ albo nie byli już w AK, albo byli wręcz jej wrogami – bo należeli do Gwardii Ludowej. Ryczałtowo jednak ich zbrodnie zostały zaliczone na konto AK. Wstrząsające fakty przypomniane przez Ladę mieszczą się w specyficznej cezurze czasowej. Zaczynają się w 1944 r., a kończą już za czasów władzy komunistycznej. Trzeba tu zadać pytanie o to, co z latami wcześniejszymi, wszak wojna zaczęła się w 1939 r. Czy wcześniej nie było takich przypadków? A jeśli były, to dlaczego Lada o nich nie pisze? A jeśli nie było, to dlaczego? Sztuką bowiem przy pisaniu historii jest nie tylko zadawanie pytania: „Dlaczego to się zdarzyło", ale też postawienie pytań nieoczywistych – „dlaczego coś innego się nie stało". Wtedy bowiem odkrywamy właściwą proporcję rzeczy. Przekaz Lady jest taki, że do partyzantki napłynęło zbyt dużo ludzi, często przypadkowych, więc zaczęła się orgia okrucieństw. Podlał to sosem psychologicznym – cytując Zimbardo, jakieś historie z rzezi Hutu i Tutsi – pisząc, że każda wojna jest z natury kryminogenna, że szaleje stres bojowy i że mężczyźni w ogóle wariują, gdy tylko poczują władzę, jaką im daje trzymany w rękach karabin. Jednak nawet początkujący historyk wie, że wojny – mimo wszystko – jednak się różnią. Jakoś inaczej wyglądały zwyczaje wojenne i traktowanie cywilów oraz jeńców na froncie zachodnim II wojny światowej, a zupełnie inaczej na froncie wschodnim. Tu i tam byli mężczyźni z bronią w ręku. Inaczej wyglądała sytuacja pod względem przemocy i bandytyzmu na polskiej prowincji w roku 1940, a inaczej 1944. Dlaczego? Tylko dlatego, że pojawiła się partyzantka w skali masowej? Jeśli tak, to jest nasza wina, Polaków? A w książce Lady prawie w ogóle nie występuje okupant – ani niemiecki, ani sowiecki. To znaczy jest, ale gdzieś w tle, jako abstrakcyjna odległa siła, która z rzadka tylko wtrąca się w polskie porachunki. Według tej narracji w okupowanej Polsce można było stanąć z boku i nie mieć związku z ową przemocą,

eprasa.pl 15dc426468

można było wziąć swoje zabawki i wrócić na własne podwórko. Tak jest opisana partyzantka – jako zbiorowisko narwańców szukających zysku i przygody. Którzy mogli jednak spokojnie siedzieć w domu, zamiast hasać po lasach.

Trzeba jednak tłumaczyć, jak było. Opisana przez Ladę eksplozja bandytyzmu i pospolitej przestępczości była wynikiem przede wszystkim polityki okupanta. Zniszczył on najpierw struktury państwa polskiego, cały czas niszczył więzi społeczne i jakiekolwiek naturalne hierarchie. I miał też w nosie bezpieczeństwo ludności cywilnej okupowanego kraju – czego zapewnienie skądinąd należało do jego obowiązków w myśl podpisanych przez Rzeszę Niemiecką konwencji (do których Niemcy lubili się odwoływać, gdy było im to potrzebne). Legalne władze polskie – zarówno rząd w Londynie, jak i cywilne oraz wojskowe – bardzo długo wstrzymywały tworzenie oddziałów leśnych. Powód był oczywisty – po to, by nie dawać Niemcom pretekstów do represji. Z biegiem czasu rosła liczba ludzi „spalonych", poszukiwanych przez okupanta, osób, które przeżyły pacyfikacje swoich wsi, uciekinierów. Możliwości ich legalizacji były ograniczone. Okrucieństwa Niemców powodowały, że lawinowo wzrastała liczba desperatów, którzy chcieli odwetu za pomordowanych najbliższych. Coś trzeba było zrobić z tymi ludźmi, bo alternatywą było ich przejęcie przede wszystkim przez organizacje komunistyczne, czyli agenturę sowiecką. Ten świat nie był idealnie różowy, co gorszy autorów typu Lada. Mógł za to być jeszcze straszniejszy. Bo zamiast pytania: „Dlaczego było tak wiele tych zbrodni?", trzeba postawić pytanie: „Jak udało się doprowadzić do tego, że tych zbrodni było tak mało?".

NADUŻYCIA I MYLENIE POJĘĆ

Mimo wszystko dzięki działaniom władz Państwa Podziemnego ziemie polskie nie przekształciły się w miejsce wojny wszystkich przeciw wszystkim – tak jak np. miało to miejsce w okupowanej Jugosławii, ale też tej części Włoch, która po 1943 r. była pod okupacją niemiecką. Użyte przez Ladę określenie „partyzancka wojna domowa" w odniesieniu do walk między GL a NSZ czy AK jest nadużyciem. Gwardia Ludowa nie była oddolnie powołaną polską organizacją podziemną, ale obcą agenturą. Argument, że w jej szeregach byli Polacy, jest fałszywy, ponieważ gdyby zniknął sponsoring z Moskwy, to GL rozpłynęłaby się sama w okamgnieniu.

Jest w książce Lady dużo drobniejszych niestaranności. Cytuje raport Rady Głównej Opiekuńczej o ludności sterroryzowanej przez bandy, ale nie pisze, o jakie bandy w tymże raporcie chodzi. Przestępcze czy partyzantów? Witolda Bieńkowskiego – prawdopodobnego inicjatora morderstwa Makowieckich i Widerszala – nazywa politykiem skrajnie prawicowym. Bieńkowski był powiązany z organizacjami bliskimi Stronnictwu Pracy, czyli partii chadeckiej. Zbrodnie popełnione przez Romualda Rajsa „Burego" nazywa „orgią ludobójstwa". Jakkolwiek były odrażające, to jednak nie nosiły znamion ludobójstwa (jak nazwał to jeden z prokuratorów IPN). Terminy mają swoje precyzyjne znaczenie. „Bury" był winny zbrodni wojennych, a ludobójstwem było np. wymordowanie ludności wsi Wierzchowiny przez oddział NSZ Mieczysława Pazderskiego „Szarego".

Brak wiedzy wyszedł też w rozdziałach poświęconych zbrodniom popełnionym w ramach konfliktów polsko-litewskiego i polsko-ukraińskiego. „Mimo niechęci do Polaków Litwini nie prowokowali jednak starć. Podległa władzom niemieckim Hilfspolizei – policja pomocnicza – brała co prawda aktywny udział w litewskim holokauście, mordowano również Polaków narodowości żydowskiej, były to jednak zbrodnie z podtekstem antysemickim. Jeśli zdarzały się zabójstwa Polaków bez takiego podtekstu – co miało miejsce choćby w maju 1942 r. w powiecie święciańskim – były to akcje odwetowe sprowokowane przez Niemców i przeprowadzone pod ich nadzorem" – pisze Lada. Przepraszam, ale to jest głupie. Takie akcje nie były prowokowane przez Niemców, ale przez nich zarządzane. Akurat w Święcianach litewscy kolaboranci ochoczo w niej uczestniczyli. Fakt, że podlegali Niemcom, nie powodował, że tamtejsi Polacy patrzyli na nich z większą wyrozumiałością. Sformowana z Rosjan brygada RONA mordowała mieszkańców warszawskiej Ochoty też na niemiecki rozkaz, ale w oczach warszawiaków nie miało to wpływu na ich rozgrzeszenie. Lada pisze bzdury o powściągliwości Litwinów. To w końcu szaulisi rozstrzeliwali w podwileńskich Ponarach już od 1941 r., gdzie oprócz kilkudziesięciu tysięcy Żydów życie straciło co najmniej kilkanaście tysięcy Polaków, w tym wielu przedstawicieli wileńskiej inteligencji. Tak samo tajna litewska policja (sauguma) sekundowała gestapo w ściganiu AK.

WOJCIECH LADA „BANDYCI Z ARMII KRAJOWEJ" ZNAK HORYZONT 2018

Podobnie gorzej niż słaby jest rozdział poświęcony okrucieństwom konfliktu ukraińsko-polskiego. Lada próbuje tłumaczyć to sięganiem znów do Zimbardo czy Gustawa Le Bona. Prościej byłoby, gdyby sięgnął do literatury przedmiotu – np. do „Wołynia '43" Grzegorza Motyki. Po prostu rzeź wołyńsko-galicyjska była zaplanowanym aktem ludobójstwa, wymyślonym przez kierownictwo OUN-UPA (nawet nazwiska można tu wskazać – jak np. Mychajło Kołodziński), a nie erupcją ludzkich emocji. Ludzie na wojnach nie zawsze są aż tak źli, jak opisuje ich Lada. Stają się źli nie ze swojej natury, lecz wtedy, gdy przyjmą za swoją jakąś zbrodniczą ideologię. I to jest zasadnicza różnica, która sprawia, że żołnierze Armii Krajowej byli po innej stronie mocy niż żołnierze Wehrmachtu, Armii Sowieckiej, podległych im formacji kolaboracyjnych i wreszcie UPA.

Bezskutecznie od kilku lat namawiam i zachęcam, aby ktoś napisał książkę o rzezi Ochoty. Tak bowiem się składa, że o zbrodni popełnionej w stolicy Polski, gdzie życie straciło kilkanaście tysięcy ludzi, nie powstało żadne monograficzne ujęcie. Ani popularne, ani naukowe. Nie ma też książki o Verbrennungskommandos, czyli ekipach polskich mężczyzn przymuszonych przez Niemców do palenia zwłok pomordowanych mieszkańców Warszawy. Kilkaset zmasakrowanych przez okupanta niemieckiego wsi polskich również zostało potraktowanych ryczałtowo. Mimo upływu dekad mamy ciągle wielkie luki w piśmiennictwie. Nie jest to wynik trudności w dotarciu do źródeł. Przeciwnie, np. w przypadku rzezi Ochoty masa relacji i zeznań jest dostępna w Internecie. Nawet nie trzeba wychodzić z domu, aby z nich skorzystać. Problem jednak jest taki, że autor takiej książki powinien liczyć się z tym, że nagrodą będzie szacunek ze strony wdzięcznych czytelników, ale nie jakaś nadzwyczajna gratyfikacja finansowa. Nie będzie też zainteresowania ze strony portali typu naTemat.pl ani pochwał w mediach Agory. „Z tylu różnych dróg przez życie każdy ma prawo wybrać źle" – śpiewał poeta. Ma też jednak prawo wybrać dobrze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

Z prof. Władysławem Duczko, archeologiem, znawcą wczesnego średniowiecza
rozmawia Marcin Bartnicki

Geniusz Mieszka I

MARCIN BARTNICKI: W szkołach uczymy się historii X w. od czasów rządów Mieszka I, tymczasem na terenie obecnej Polski wcześniej działo się mnóstwo ciekawych rzeczy.

PROF. WŁADYSŁAW DUCZKO: Działy się rzeczy niezwykłe. Niestety z pierwszej połowy X w. nie mamy ani jednego źródła pisanego. Żadne europejskie kroniki w ogóle nie wspominają o tym, co się dzieje na wschód od Odry.

Z badań archeologicznych wynika, że na terenie Wielkopolski spośród ok. 90 grodów istniejących na początku X w. 77 zostało spalonych i porzuconych, a nowe są zakładane w niezasiedlonych dotąd miejscach. To przymusowe przesiedlenia?

Naturalnie. Budowanie państwa w tym okresie nie polegało na tym, aby się dogadywać, ale żeby niszczyć i budować coś nowego. Zaczyna się to w latach 20. i 30. W latach 40. na terenie, który stanowił najwyraźniej centrum nowego tworu politycznego – na ziemi gnieźnieńskiej – pojawiają się potężne, wspaniałe grody.

Idea państwowości została podpatrzona na zewnątrz czy ktoś przyniósł ją do Wielkopolski?

W XIX w. prawie wszyscy polscy historycy uważali, że państwo polskie zostało stworzone przez Skandynawów – albo wywodzących się bezpośrednio ze Skandynawii, albo z Rusi.

W tamtym okresie te hipotezy były bardzo silnie uwarunkowane politycznie.

To było związane z ogólnym poglądem dotyczącym Słowian – według którego nie byli w stanie wytworzyć organizacji państwowej, ponieważ należeli do innej cywilizacji. Takiej, która nie tworzyła państw i miast. Wiemy, że od początku VI w., przez kolejne stulecie, Słowianie mieszkający na terenie Basenu Karpackiego zajęli całe Bałkany, czyli starą, bogatą prowincję rzymską, włącznie z Grecją. Co z tego jednak, jeśli nie stworzyli tam państwa. Słowianie tego nie robili.

Widzimy to u Słowian połabskich, którzy przez wieki potrafili skutecznie walczyć ze wszystkimi

eprasa.pl 15dc426468

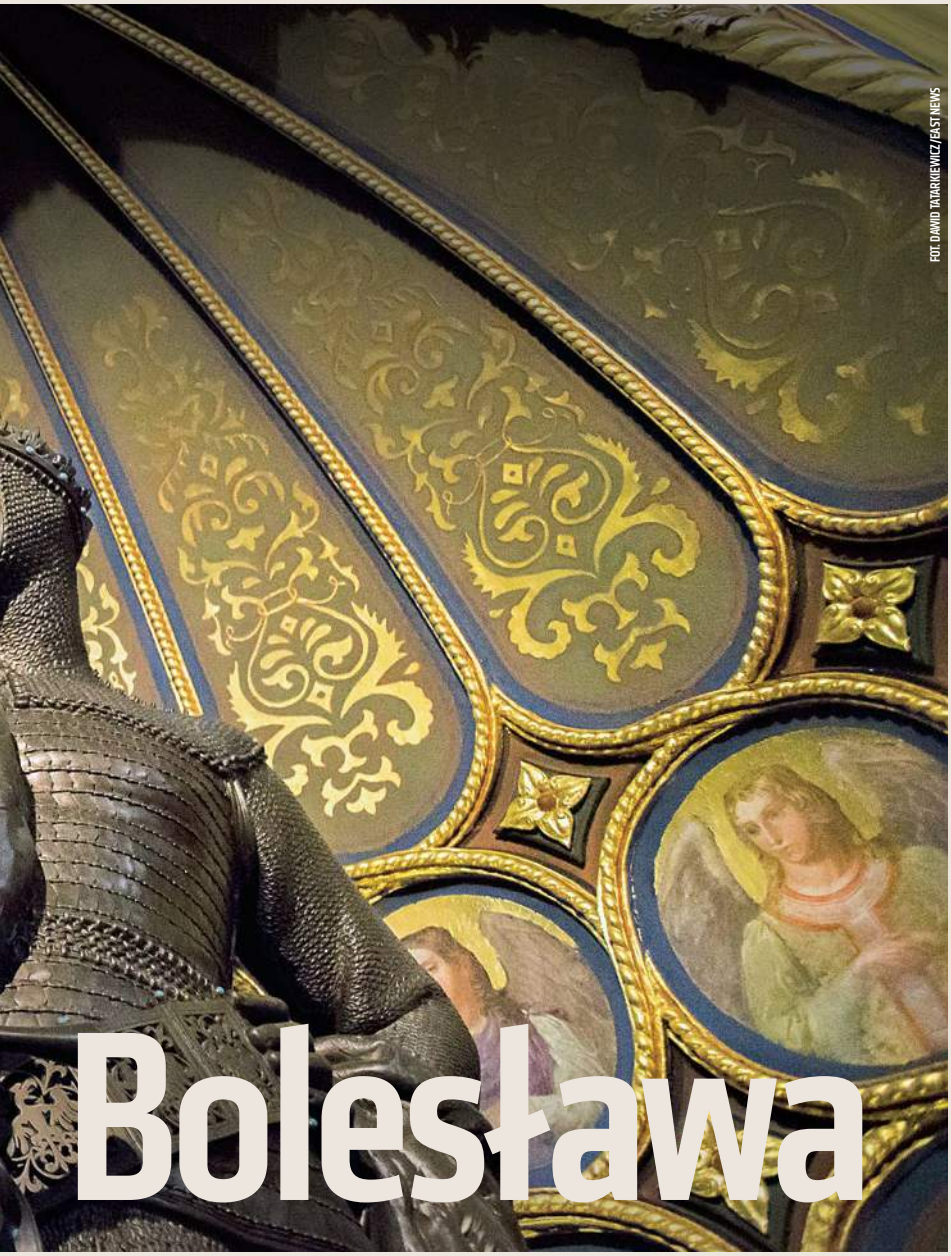

FOT. DAWID TATARKIEWICZ/EAST NEWS

Bolesława

sąsiadami, ale ostatecznie nie zbudowali stabilnego państwa.

Obodryci stworzyli na początku VIII w. pierwsze księstwo połabskie dlatego, że sąsiadowali z Duńczykami, którzy byli świetnie zorganizowani już wcześniej. Mają też obok siebie Sasów, widzą, jak to się robi, i organizują się.

W IX w. na terenach współczesnej Słowacji i Moraw powstaje jedno z pierwszych samodzielnie zorganizowanych państw słowiańskich, które było potęgą polityczną i kulturową.

Wpływy tego państwa miały ogromne znaczenie.

W czasie upadku państwa wielkomorawskiego, które zostało podbite przez Węgrów, coś zaczyna dziać się również w Wielkopolsce.

Jedną z poszlak wskazujących na wpływy wielkomorawskie jest imię jednego z synów, którego Mieszko miał z Odą – Świętopełk. Pojawia się ono jednak również w Kijowie. Tym tropem daleko nie zajdziemy. Archeologia pokazuje nam ciekawsze rzeczy. W latach 40. X w., kiedy tworzenie potęgi politycznej Piastów jest najbardziej rozkręcone – to czas budowania wielkich, wspaniałych grodów – pojawiają się tzw. skarby – duże depozyty srebrnych monet zakopywane w ziemi. Nie chodziło o to, aby schować przed kimś kruszec, ale o to, aby skarb służył po śmierci, a także już teraz przodkom, którzy umarli. To zjawisko pochodzące ze Skandynawii nagle pojawia się na terenie Wielkopolski.

Wracamy więc do hipotezy o wpływach skandynawskich wikingów.

W tych skarbach na początku nie mamy jednak w ogóle skandynawskich ozdób. Występują za to srebrne kobiece ozdoby o bardzo zaawansowanej technologii produkcji. Takie jak produkowane w Czechach. Oznacza to, że Wielkopolska miała wczesne kontakty z tym regionem. W Czechach nie było jednak tradycji zakopywania skarbów.

Mamy połączenie dwóch wynalazków kulturowych, wywodzących się z różnych rejonów Europy.

Tak, to zjawisko pojawia się na kolejnych terenach z chwilą, gdy zajmują je Piastowie. Tak jest na Śląsku i w Małopolsce. Nie wiemy jednak, jakie związki mieli Piastowie ze Skandynawią. Mieszko wszedł w sojusz z Erykiem Zwycięskim, królem Uppsali, który mieszkał daleko na północy. Nie wiemy, w jaki sposób do tego w ogóle doszło. A miało to ogromne znaczenie dla całej Europy Północnej, bo aż do połowy XI w. Europą Północną, łącznie z Anglią, rządzą potomkowie Mieszka.

Co wyróżniało władztwo Piastów od innych sąsiednich plemion?

Aby zrozumieć, z czym mamy do czynienia w przyszłej Wielkopolsce, musimy odwołać się do pochodzącego z IX w. źródła, które nazywa się „Geograf Bawarski". Podaje ono niesłychanie dokładnie wszystkie nazwy ludów, które mieszkały na północ od Dunaju.

Właśnie, w naszej rozmowie nie padło do tej pory słowo „Polanie". „Geograf Bawarski" w ogóle ich nie wymienia. Nazwa tego plemienia pojawia się w źródłach pisanych dopiero w XI w.

Oczywiście, wszystko wskazuje na to, że nie było żadnego plemienia Polan, że powstanie tej nazwy jest związane przede wszystkim z sytuacją, jaka wytworzyła się na początku XI w. dzięki działalności Bolesława Chrobrego. Stworzył nową wersję władztwa Piastów, która wymagała własnej nazwy.

To był chwyt propagandowy?

Niesłychanie ważny. Należy pamiętać, że Cesarstwo Bizantyjskie z zasady nie rozmawiało z ludami, które nie miały swoich nazw. Uznawali wtedy, że te ludy nie istnieją i nie ma powodu z nimi rozmawiać.

eprasa.pl 15dc426468

Jeśli jest nazwa, to znaczy, że jest państwo i legalna reprezentacja żyjących w nim ludzi, mogąca podejmować w ich imieniu wiążące zobowiązania.

Właśnie tak. Zwykle mówi się o plemionach, ale są to zgrupowania ludzi, którzy przez jakiś czas mieli nazwę nadaną z zewnątrz. Tak było z Czechami. W tych najwcześniejszych źródłach pisanych – czyli u saskiego kronikarza Widukinda z Korbei czy Ibrahima ibn Jakuba, nikt nie wspomina o państwie Piastów czy Polan albo o plemieniu Polan, tylko mówi się o kraju Mieszka.

Nie było żadnego plemienia Polan, chrzest Mieszka nie odbył się w 966 r., o pochodzeniu nazwy Polski nie wiemy nic, za to pierwsi Piastowie byli politycznymi geniuszami – mówi prof. Władysław Duczko

„Księstwo Bolesława" już nie wystarczało, dlatego powstała nazwa „Polska"?

Uważam, że to naturalnie jest robota Bolesława. Pamiętajmy, że dokument podpisany w Gnieźnie przez cesarza Ottona III mówił o Sclavinii, czyli o Słowiańszczyźnie. W ogóle nie było mowy o Polsce czy Polanach.

Słowiańszczyzna to szerokie pojęcie, nie wiadomo, do którego dokładnie państwa czy ludu miało się odnosić.

Właśnie. To, co stworzyli pierwsi Piastowie przed Mieszkiem i również sam Mieszko, to była prywatna firma rodzinna. Kiedy po raz pierwszy słyszymy o Mieszku u Ibrahima ibn Jakuba, jest on już potęgą militarną, ale na takich zasadach, że ma drużynę, z którą jeździ to tu, to tam, żeby się porządnie nakraść. Początkowo ta drużyna do niczego innego nie jest mu potrzebna. Dopiero później zabiera się do ekspansji terytorialnej. Jednak to jest działalność rodzinna, tak samo robili Rurykowicze w Kijowie.

Państwo, które jest własnością dynastii.

Tak, ale to jest dynastia, która załatwia sprawy rodzinne i dziedziczenia po zmarłym w swoim kręgu. Żadne źródła nie mówią o jakichś wiecach polańskich, które wybierają nowego króla. Mamy tylko ród Piastów i ich prywatną własność. To jest niesłychanie ważne, aby zrozumieć, co wydarzyło się na początku w Wielkopolsce. Mianowicie, że Polska powstała w zupełnej głuszy. Pełno lasów, wody, trochę rolników, ale nic więcej.

Skoro nazwa „Polska" nie powstała od nazwy plemienia Polan, to od czego pochodzi?

Pierwszy kronikarz, który był Polakiem, zapisał tylko to, co mu powiedziano. A potem, do tego, co mu nie wystarczało, dołożył fantazje, które były obecne wszędzie w piśmiennictwie europejskim. Natomiast w późniejszych źródłach widać, że nikt nie miał pojęcia, skąd w ogóle wzięła się nazwa. Przecież Wincenty Kadłubek, wspaniały intelektualista i pisarz, również tego nie wie, więc wymyśla sam – np. od polewania, czyli od chrztu.

Mówimy dziś „plemiona polskie", ale czy one różniły się od innych słowiańskich plemion, które mieszkały wokół nich, czy raczej to późniejsze określenie, np. z czasów Chrobrego? Taki propagandowy chwyt: to są ci nasi.

Odpowiedzi na to pytanie udzielają badania archeologiczne. Bardzo wyraźnie pokazują, że kultura archeologiczna, którą mamy na terenie Wielkopolski oraz południowej i zachodniej Polski, to przedłużenie kultury z Łużyc występującej na zachód od Odry. Mamy te same formy budowania grodów, tę samą ceramikę. Łużyczanie to Serbowie, ci, którzy przenoszą się później na południe i do dziś mieszkają na Bałkanach. To są ci sami ludzie. Wszystkie te ludy są częścią tej samej kultury, która istnieje między Łabą a Wisłą.

To znaczy, że tereny, które zdołali podbić Mieszko, a później Bolesław Chrobry, nazwano Polską i do tego sprowadza się cała ówczesna odrębność zamieszkujących te tereny ludów?

Oczywiście. Bardzo często nawet świetni polscy historycy mówią o „zbieraniu ziem do macierzy". Jakiej macierzy? To prywatna działalność rodziny, która zdobywa i podłącza tereny do swojego centrum władzy. I to wszystko. Wiemy, co się stało ze Śląskiem, który został zdobyty prawdopodobnie w połowie lat 80. X w. przez Mieszka. Brzetysław, wracając po splądrowaniu Polski w 1039 r., zabiera ze sobą Śląsk. Nie zapominajmy, że Śląsk do 1945 r. nie należy w całości do Polski.

Nie udało się stworzyć państwa na północnym Mazowszu, na Pomorzu, które miało kontakty w obrębie Bałtyku, ani na Śląsku i w Małopolsce, które graniczyły z powstającymi państwami – wielkomorawskim i z Czechami. Tak samo jest ze Słowianami połabskimi. Państwo powstało jednak w samym środku, otoczone przez lepsze – jak by się wydawało – miejsca do tworzenia państwowości. Czegoś tu brakuje.

Jest to fenomen, którego ani historycy, ani archeolodzy nie są w stanie wyjaśnić. W każdym razie powstanie Polski jest przede wszystkim nietypowe. W przypadku Czech źródła pisane mówią o wiecach, które miały coś do powiedzenia przy wyborze władców. Na terenie piastowskim nie mamy niczego podobnego. Wszystko wskazuje na to, że ta domena główna była pod totalną kontrolą Piastów i ludność tych terenów nie miała nic do powiedzenia.

Czyli silna, dobrze zorganizowana władza.

Na tym to polegało. Jednak wiemy, że Mieszko, nawet gdy już został chrześcijaninem, nie próbował wprowadzać nowego wyznania wśród ludności swojego państwa. Praktycznie nic nie wskazuje na to, że Mieszko był zainteresowany ewangelizacją.

Dlaczego w takim razie przyjął chrzest? To był doraźny powód polityczny, potrzebował sojuszu?

Żadne współczesne mu źródło w ogóle nie mówi, że on przyjął chrzest.

„W 966 r. Polska przyjęła chrzest" – tego uczyliśmy się w szkole, ale okazuje się, że w tym zdaniu nie ma niczego prawdziwego. Ani nie ma jeszcze Polski, ani rok się nie zgadza.

Polski nie ma, to jest władztwo Piastów. Możemy mówić o „Prapolsce", z której Polska powstała. Skoro żadne źródło nie mówi o chrzcie, nie możemy też mówić o konkretnej dacie.

Skąd w takim razie wiemy o chrzcie Mieszka?

I u Thietmara, i u Galla Anonima jest opis, według którego wszystko „załatwiła" Dobrawa. Nie zapominajmy jednak, że Mieszko był już prawie 40-latkiem, który był niesłychanie doświadczonym człowiekiem i sam podejmował decyzje. Trudno więc uznać te opisy za wiarygodne.

Miał całkowitą władzę nad swoim otoczeniem.

Przede wszystkim jednak dokładnie wiedział, jak funkcjonuje Kościół, na czym

eprasa.pl 15dc426468

„Polska za Mieczysława" – mapa z książki „Rys historyi polskiej od wzniesienia się monarchii aż do ostatniego upadku i rozbioru kraju", Warszawa: J. Glücksberg, 1821 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

polega chrześcijaństwo. Widzimy człowieka, który jest świetnym dyplomatą i doskonałym wodzem. Chętnie staje się częścią polityczną Niemiec, ale ciągle na własnych warunkach i nikt nie może go zmusić do zmiany działania, bo jest po prostu za mocny. Niemcy nie dają sobie z nim rady. Po pierwszej przegranej w roku 962 Mieszko do końca życia wszystko wygrywa.

To nie pasuje do człowieka, który nagle się nawrócił, albo jak pisze Philip Steele, uznał, że chrześcijański Bóg jest potężniejszy i opłaca mu się przyjąć nową wiarę. Gdyby tak było, Mieszko próbowałby schrystianizować przynajmniej swoje najbliższe otoczenie.

Nie, oczywiście tak nie było. Możliwe, że próbował budować jakiś kościół w Poznaniu. Jednak dowód na to, że nie był zainteresowany ewangelizacją, jest taki, że przez 30 lat rządów Mieszka nie zmienił się obrządek pogrzebowy, który polegał na paleniu zmarłych i robieniu z prochami czegoś, co nie zostawiało żadnych śladów. Nie mamy grobów, urn, niczego. Pozostał stary obrządek.

Czyli niewykluczone, że to Chrobry był pierwszym prawdziwie chrześcijańskim władcą?

Wszystko wskazuje na to, że Chrobry już wiedział, że jego władztwo musi być chrześcijańskie. Fragmentaryczne teksty, które zachowały się na jego płycie nagrobnej, mówią, że to on wprowadził chrześcijaństwo do Polski. To robota Chrobrego, nazywanego „Athleta Christi", czyli „Bojownik Chrystusa". Nie dość, że przedłużył post, to łamiących go karał wybijaniem zębów. Ludzie przestali chyba lubić Chrobrego po czymś takim.

Dwa lata temu obchodziliśmy 1050. rocznicę chrztu. Okazuje się, że daty mogą się nie zgadzać. Chyba jednak mamy co świętować?

Większość archeologów i historyków zdecydowanie ma wątpliwości, co do tego obrazu, w którym zostaliśmy wychowani. Nie zapominajmy jednak, że decyzje, które podjęli Mieszko i Chrobry, do dziś są aktualne. One funkcjonowały przez całą historię Polski.

WŁADYSŁAW DUCZKO
„OD SCLAVINII DO POLANII. POWSTANIE I UPADEK PIERWSZEGO PAŃSTWA PIASTÓW"
TRZECIA STRONA

Wybrali związek z Zachodem.

To w ogóle podstawowa rzecz. Niektórzy historycy twierdzą, że prowadzili też politykę wschodnią. Jednak gdy Chrobry zdobył Kijów, to zabrał bogactwa, trochę kobiet i popów, wrócił do siebie i więcej go to nie interesowało, podobnie jak wcześniej Mieszka.

To burzy nam pewien mit, ale tworzy inny, równie interesujący mit założycielski: świetny zmysł geopolityczny, znakomita organizacja militarna, gospodarcza i talent dyplomatyczny pierwszych władców.

Oczywiście. Mieszko wszedł w sojusz z Bolesławem I Srogim, który pod koniec lat 50. i na początku 60. przekształcił Pragę w centrum handlu niewolnikami. Mieszko się do tego podłączył. Ibrahim ibn Jakub w Magdeburgu dowiedział się od cesarza Ottona, że kraj Mieszka jest potężny, i poznał zasadę funkcjonowania jego drużyny. Mieszko traktował ją jak własną rodzinę, aby mieć nad nią kontrolę. To pokazuje również fenomenalną politykę wewnętrzną. To dzięki drużynie utrzymywał władzę, więc skonstruował ją tak, aby była od niego całkowicie zależna.

I lojalna, aby nie zrobiła przewrotu.

Lojalność osiąga się tylko wtedy, gdy traktuje się ludzi jak rodzinę. Dokładnie opisuję to w swojej nowej książce „Od Sclavinii do Polanii. Powstanie i upadek pierwszego państwa Piastów". Mieszko pilnował, aby dzieci jego ludzi dostawały wszystko, czego potrzebują. Przekształcił swoją drużynę w rodzinę i zapewnił sobie tym lojalność. Absolutnie genialne rozwiązanie. Mieszko zachowywał się wobec swojej drużyny jak ojciec.

Raczej trochę jak ojciec chrzestny.

No jasne, jest to trochę w stylu mafijnym. Tak powinniśmy to widzieć.

Geniusz, ale jego talent przejawia się w nieco innych obszarach, niż uczymy się o tym w szkole.

W Mieszku możemy widzieć prawdziwego twórcę Polski. Co do tego nie ma wątpliwości. Należał jednak do trochę archaicznego świata. Dopiero Chrobry został prawdziwym chrześcijaninem, zaczął tworzyć chrześcijańskie państwo i w końcu na chwilę stworzył piastowskie imperium. Przez 12 lat prowadził wojny z Niemcami i wygrywał wszystko. Jego państwo było potęgą w regionie, związał je też silnie z Zachodem. Jego synowie – Mieszko II i Kazimierz Odnowiciel, byli potomkami Karola Wielkiego, a to się liczyło wtedy niesłychanie. Dlatego Niemcy i Ruś nie rozdrapały państwa po upadku w 1039 r., tylko wsparły Kazimierza Odnowiciela, który wszystko odbudował. Struktura nadal działała. Nie mogła zniknąć, ponieważ była tak dobrze zbudowana. Samo to, że Mieszko i Chrobry potrafili stworzyć coś takiego, pokazuje ich wielkość

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

FOT. ALAMY/BE&W

Z Jerzym Chociłowskim, autorem książek podróżniczych i historycznych
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Czemu Bronisław Piłsudski, brat Józefa, jest bardziej znany za granicą niż w Polsce?

JERZY CHOCIŁOWSKI: W świecie jest szeroko znany głównie w środowisku naukowym. O jego popularności można mówić śmiało w Japonii, w mniejszym stopniu w Rosji. W obu tych krajach ma pomniki. Natomiast w Polsce jest już trochę lepiej znany niż w niedawnej przeszłości dzięki kilku filmowym dokumentom, wystawom w paru miastach i tekstom prasowym. Jednak nadal przedstawiany jest monotonnie, jednowymiarowo, przede wszystkim jako zesłaniec oraz wybitny badacz sachalińskich Ajnów – co jest prawdą, ale częściową. U nas podkreśla się nadto jego zasługi etnograficzne w Tatrach, ale nawet w Zakopanem nie ma on ulicy swego imienia. I teraz, gdy wyszedł dość wyraźnie z mroku, nie powstała ani jedna osobna opowieść monograficzna przybliżająca tę nieszczęsną w gruncie rzeczy postać, która za życia nie doczekała się należnego uznania. Jestem winien wdzięczność wydawnictwu Iskry za udział w przełamaniu tego impasu w stulecie tragicznej śmierci Bronisława.

Los przeznaczył mu udział w zamachu na cara?

Właściwie tak. Gdyby nie udział w próbie zamachu na Aleksandra II jego życie potoczyłoby się innym torem. Można tylko gdybać jakim, ale raczej nie zyskałby międzynarodowego rozgłosu jako etnograf i nie miałby pomników w Japonii i na Sachalinie. Ale może byłby trochę szczęśliwszy.

Od stryczka uratował go krewny na służbie carskiej?

Policmajster Warszawy nie tyle uratował, co może trochę się do tego przyczynił, i to raczej nie z poczucia pokrewieństwa. Najusilniej zabiegał o łaskę dla syna – odwołując się do „nieograniczonego miłosierdzia" cara – ojciec Bronisława. Prośbę o darowanie życia uwzględniono jeszcze dziewięciu spiskowcom i żaden z nich nie miał w rodzinie policmajstra. Na szubienicznym haku zawisło pięciu, wśród nich Aleksander Uljanow, brat przyszłego Lenina.

Czy katorga to odpowiedni termin dla kary wymierzonej przez rosyjski sąd dla bohatera pańskiej książki, skoro skazany był na Sachalinie: kancelistą, meteorologiem, nauczycielem, urzędnikiem...

Bronisław, brat Józefa

Katorga to były ciężkie roboty połączone z zesłaniem. Sędziowie orzekający tę karę nie wnikali, w jaki sposób jest ona egzekwowana na miejscu zesłania. Decydowała o tym lokalna administracja więzienna. W rzeczywistości prawdziwie katorżnicze prace – w kopalniach, przy wyrębie lasu, osuszaniu bagien czy budowie dróg albo w kamieniołomach – były udziałem pospolitych kryminalistów, bandytów, złodziei, gwałcicieli, zabójców. Z reguły byli oni także zakuwani w kajdany nożne, niezdejmowane nawet na noc.

Zesłańców politycznych na ogół oszczędzano ze względów praktycznych. Przeważnie mieli oni jakieś wykształcenie i wykorzystywano ich jako kancelistów, nauczycieli i do różnych podobnych zajęć. Bronisław bardzo bał się katorgi, tymczasem na miejscu początkowo dokuczała mu bezczynność, nie mógł się przyuczyć do stolarki, na co przymknięto oczy. Nie siedział też zamknięty w celi, wałęsał się swobodnie po okolicy. Głównym źródłem udręki była dla niego deportacja na koniec świata i tęsknota za bliskimi, za ojczyzną.

Jak odkrył w sobie żyłkę etnograficzną?

Spotkanie z sachalińskimi autochtonami było dla Bronisława niespodzianką, która całkowicie go odmieniła. Stała się lekiem na jego kruchą psychikę, nadała ożywczy sens wygnaniu. Najpierw zetknął się z Niwchami, potem wtopił się w społeczność Ajnów. Zaczął badać ich folklor, obyczaje, język, utwory literackie, ustne wyłącznie, bo nie mieli własnego pisma. Stopniowo narodził się w nim etnograf. Co więcej, gdy spostrzegł, że tubylcy są dyskryminowani, że grozi im wymarcie, zaczął im pomagać, bronić przed chorobami i głodem, kształcić, a także upominać się o ich prawa. Był ich doradcą i opiekunem, kochali go za to, kobiety niwchijskie układały o nim pieśni. Za pomocą fonografu Edisona nagrywał na woskowe wałki muzykę, pieśni, legendy Ajnów. Ich laserowe odczytanie przez specjalistów japońskich w latach 80. ubiegłego wieku stało się ogromną sensacją naukową.

Podobno założył na Sachalinie rodzinę?

Tak. Pod koniec pobytu już po wygaśnięciu kary (skróconej amnestią do 10 lat) wziął za żonę dziewczynę ajnuską, z którą miał dwójkę dzieci – syna i córkę. Jego wnuk, zjaponizowany już zupełnie Kazuyasu Kimura (ur. 1955), jest dziś jedynym w prostej linii po mieczu potomkiem Piłsudskich z Zułowa na Wileńszczyźnie z całkowitym prawem do tego nazwiska. Ogółem żyje dziś ponad dwadzieścioro Japończyków o korzeniach polsko-ajnuskich.

Z zesłania powrócił do Galicji i szybko odczuł rozczarowanie.

Po powrocie z Sachalinu nie mógł osiąść w swoich stronach rodzinnych, bo po drodze zginął mu rosyjski paszport. W zaborze pruskim nie miał żadnego oparcia, natomiast w Krakowie mieszkał jego brat Józef, więc Galicja stała się jego pierwszą – niejako naturalną – przystanią po prawie 20-letniej tułaczce. Liczył, że znajdzie tam łatwo pracę i uznanie, ale gorzko się rozczarował. Chciał zostać nauczycielem akademickim, lecz przeszkodą był brak dyplomu wyższej uczelni. Czuł się jak „wybity z kolein życia". W przeciwieństwie do Sachalinu – gdzie zyskał nie tylko zaufanie i szacunek swych podopiecznych, lecz także władz wyspy – nie był nikomu na polskiej ziemi potrzebny. Co gorsza, nie mógł znaleźć stałego zarobku, nękał go ciągły brak pieniędzy, imał się różnych dorywczych zajęć, w rozpaczy starał się sprzedawać swoje etnograficzne zbiory. Przeprowadzka na pewien czas do Lwowa również okazała się daremną próbą najskromniejszej choćby stabilizacji. A kiedy wreszcie udało mu się otrzymać posadkę etnologiczną przy krakowskiej Akademii Umiejętności, wybuchła wojna, wojska carskie wkroczyły do Galicji i niebezpiecznie zbliżały się do Krakowa. Bronisław przeniósł się na krótko do Wiednia, potem do Szwajcarii i Francji, gdzie zagubił się w politycznych meandrach polskiej emigracji oraz własnych beznadziejnych rojeniach i tęsknotach.

Góralszczyzną zainteresował go Witkacy?

Nie. Poznał wprawdzie Witkacego, ale odrębnością góralszczyzny zachwycił się sam od pierwszego wejrzenia, gdy znalazł się w Zakopanem. Bliższa znajomość łączyła go natomiast z ojcem Witkacego, też Stanisławem, zresztą dalekim krewnym Piłsudskich, twórcą tzw. stylu zakopiańskiego. W listach do niego tytułował go Kochanym Wujaszkiem, popierał też gorąco jego projekt nowej siedziby Muzeum Tatrzańskiego, o którego wygląd toczyły się zacięte spory. Żalił się również Wujaszkowi na obojętność, z jaką się spotkał po powrocie do idealizowanej na zesłaniu ojczyzny, na „smutne tło jej życia".

Zauroczenie Bronisława Podhalem nie było platoniczne, rozedrgało w nim na nowo wyciszoną już strunę etnograficzną. Chodząc po górach, zaczął zbierać eksponaty dla Muzeum Tatrzańskiego. Czynił to w sposób odmienny od swych poprzedników preferujących przedmioty efektowne, ozdobne. Jego uwagę przyciągały też rzeczy codziennego domowego użytku i narzędzia gospodarskie, aby oddać całościowy, nie wyrywkowy wizerunek góralskiej kultury i jej oryginalnego folkloru. Wśród artefaktów, jakie „upolował", były np. forma do wyrobu świec i specjalna psia obroża do ochrony gardła przed wilkami.

Dlaczego po wybuchu Wielkiej Wojny nie wsparł czynu legionowego brata?

Był programowym pacyfistą, przeciwnikiem wszelkiej przemocy i wszelkich działań zbrojnych. Jeszcze podczas swego procesu w Petersburgu oświadczył, że nie wierzy w terroryzm, zaś pomoc, jakiej udzielił spiskowcom, miała charakter koleżeński, wynikła z jego słabego charakteru i jakoby niewiedzy co do

eprasa.pl 15dc426468

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

ich zamysłów. I nie była to taktyczna deklaracja dyktowana lękiem przed skazaniem na śmierć. Wyrzekł się całkowicie buntowniczych porywów. Uznał, że zawinił ciężko i kara mu się należała. Później zmienił trochę front, mówił, że sąd skazał go omyłkowo, ale pozostał lojalnym poddanym imperatora Wszechrosji.

W powodzenie czynu legionowego mocno wątpił i w tamtym czasie nie był wcale zresztą wśród Polaków w tym względzie odosobniony. Uważał, że Józef jest utopistą, nie powinien „maszerować w szeregach przez siebie stworzonych", bo idzie drogą donikąd, nie osiągnie zamierzonego celu. W oczach stronników Komendanta miało to odcień zdrady. Rodzony brat powinien przecież być sercem i duszą jego działań. Jednak internowanie Józefa Piłsudskiego w Magdeburgu przez byłych niemieckich sojuszników zdawało się utwierdzać pesymizm Bronisława. Niestety nie doczekał ani jego uwolnienia, ani odrodzenia Polski. Zaledwie pół roku wcześniej pozbawił się życia.

Komendant na pewno nie zapomniał o bracie, gościł go u siebie w krakowskim mieszkaniu i wspomagał zaraz po powrocie z zesłania, ale potem obciążony działalnością państwową nie znajdował dość czasu na „pielęgnowanie jego pamięci". Bronisław był mu jednak zawsze bliski, to jego obok Matki wspomniał, czując nadchodzącą śmierć w maju 1935 r.

Samobójcza śmierć w obliczu odzyskania niepodległości przez Polskę stanowiła rezultat choroby?

Jego samobójstwo nie miało raczej jednej wyraźnej przyczyny. Był to splot, zawęźlenie się kilku destrukcyjnych czynników. Natury politycznej oraz osobistej, także zdrowotnej.

Zatrudniony w Paryżu przez KNP (Komitet Narodowy Polski), namiastkę rządu polskiego na wychodźstwie, czuł się – jak napisał jeden z jego przyjaciół – „bezradny w bolesnej walce z rodakami o dobro Ojczyzny". Nie potrafił zrozumieć sprzeczności, jakie towarzyszyły rozgrywkom o jej przyszły kształt. Żarliwy patriota swej małej wileńskiej ojczyzny marzył nie tylko o powrocie do niej, lecz także o zespoleniu z Litwą, jak za Jagiellonów. I do rozpaczy doprowadzało go to, że Litwini nie przejawiali najmniejszej ochoty do takiej spójni.

Popadał na tym tle w apatię na przemian z typowymi dla niego okresami ożywienia. Takie huśtawkowe wahania nastrojów od załamań do nawet euforii były zresztą od dawna jego powtarzalną cechą. Już w Galicji dawały o sobie znać niepokojące zmiany w jego zachowaniu. Przysypiał nagle w trakcie wygłaszanej prelekcji, a bywało, że i na stojąco przy ubieraniu się z ramieniem wsuniętym do połowy w rękaw płaszcza. Socjolog Ludwik Krzywicki podejrzewał, że przypadłość ta ma podłoże genetyczne, gdyż rodzice Piłsudskich byli kuzynami i trzeba było indultu biskupiego, żeby się pobrali. Dwie ich córki były chore psychicznie, a jeden z synów (Kacper) cierpiał na kleptomanię.

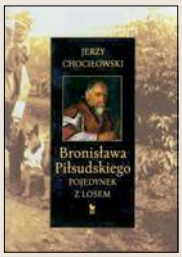

JERZY CHOCIŁOWSKI „BRONISŁAWA PIŁSUDSKIEGO POJEDYNEK Z LOSEM" ISKRY

W maju 1918 r. umysł Bronisława znalazł się w stanie ostrego kryzysu. Wygłaszał groteskowe poglądy polityczne, zdradzał też objawy manii prześladowczej. Neurolog stwierdził silną arteriosklerozę i „depresję melancholiczną prowadzącą do impulsów samobójczych".

Diagnoza ta znalazła natychmiastowe potwierdzenie. Następnego dnia po wizycie u lekarza Bronisław skoczył w samo południe z mostu do Sekwany. Pochowano go na podparyskim cmentarzu Montmorency. Od 18 lat ma też symboliczny grób w Zakopanem na Pęksowym Brzyzku.

Powodem nieszczęśliwego życia bohatera książki był „głód serca"?

Dobrze, że padło to pytanie, bo ten wątek jego życia był dotychczas zupełnie pomijany, a kryje on może najważniejszy trop do motywów samobójczej decyzji Bronisława.

Jego przyjaciele zgodnie mówili, że był człowiekiem miękkiego, tkliwego, prawie kobiecego charakteru. To trafne spostrzeżenie. Już w latach młodzieńczych jako gimnazjalista „potrzebował duszy kobiecej". Pociechy i współczucia w troskach szukał u matki, ciotki, siostry, u koleżanek. Pośród tych ostatnich najbliższe były mu w Wilnie siostry Baniewiczówny – Zosia i Maryna. Potem w Petersburgu flirtował na przemian z obiema.

Był już na Sachalinie, gdy panny wyszły za mąż, ale po latach Maryna odeszła od męża (Polaka nazwiskiem Żarnowski), nie miała jednak rozwodu. Po powrocie z zesłania Bronisław zwabił ją do Krakowa i po zawiązaniu się gorącego romansu przedstawiał triumfalnie wszystkim jako żonę. Była mu „aniołem, siostrą, przyjaciółką i najdroższą, najbliższą kobietą". Niestety idylla nie przetrwała próby czasu. Rozstanie z nią stało się dla Bronisława siłą niszczącą. Pogłębiło jego neurastenię, wzmogło poczucie krzywdy i zaszkodziło w pracy naukowej. Brak „żywej bliskiej osoby" stał się jego główną udręką. Zmora samotności i „tęsknota za odrobiną szczęścia osobistego" towarzyszyły mu już do końca. Jeszcze na pięć dni przed śmiercią mówił, że pragnie się ożenić, bo „odczuwa konieczność życia rodzinnego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jerzy Chociłowski – rocznik 1933 – tłumacz, reporter, wagabunda (z ukierunkowaniem na Azję), ostatni redaktor naczelny miesięcznika „Kontynenty". Autor kilkunastu książek, m.in. „Talia niezwykłych postaci II RP".

eprasa.pl 15dc426468

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Prawdziwi Litwini

Dawno, dawno temu było sobie państwo. Nazywało się Wielkie Księstwo Litewskie i stanowiło jedną z największych potęg Europy. Państwo to razem z Koroną stworzyło Rzeczpospolitą Obojga Narodów, a potem – również razem z Koroną – dostało się pod zabór rosyjski. Mimo ponad 100 lat obcych rządów Wielkie Księstwo trwało. Kres położyła mu dopiero eksplozja nacjonalizmów na początku XX w.

Gdy w 1917 r. upadło imperium Romanowów, Wielkie Księstwo nie wróciło na mapę. Zamieszkujące je narody – zamiast żyć w zgodzie i harmonii – rzuciły się sobie do gardeł. W efekcie Litwa została rozszarpana. Kawałek zabrali Polacy, kawałek litewscy nacjonaliści, a kawałek bolszewicy.

Byli jednak ludzie, którzy nie pogodzili się z tym, co się stało. Nazywali się krajowcami. I marzyli o odtworzeniu prawdziwej, wielkiej Litwy. Ojczyzny Polaków, Litwinów, Białorusinów, Żydów i Tatarów. Ich przywódcą był Ludwik Abramowicz, a po jego śmierci ideę starał się kontynuować Józef Mackiewicz. Działania tego ostatniego w swojej nowej, ciekawej książce przedstawił prof. Krzysztof Tarka.

W 1939 r., gdy Wileńszczyzna została zajęta przez Litwinów, Mackiewicz zaczął wydawać „Gazetę Codzienną".

„Krajowcy to ci – pisał na jej łamach Ludwik Chomiński – którzy pragną spójni, a nie podziałów. Zgody, a nie waśni. Złączonych we wspólnym wysiłku ramion, a nie ziejących nienawiścią oczu i wysuniętych pięści. Jakże ich mało – takich krajowców. Jak są niezrozumiani, jacy śmieszni w swej donkiszoterii, jacy nieżyciowi. A jednak są i trwają".

Piękne idee, którym hołdowali krajowcy, zderzyły się ze ścianą. Czyli z agresywnymi nacjonalistami. Litwini chcieli Litwy dla Litwinów, a Polacy Polski dla Polaków. W efekcie rządy litewskie na Wileńszczyźnie (1939–1940) zamiast stać się okazją do porozumienia, przyczyniły się do dalszego zadrażnienia i tak napiętych stosunków.

„Wobec triumfującego nacjonalizmu – pisze prof. Tarka – anachroniczne poglądy krajowców nie były aprobowane i zrozumiane, a sama koncepcja, właściwie w momencie narodzin, należała już do przeszłości".

Niestety. ©℗

★★★★★★

KRZYSZTOF TARKA
„MIĘDZY LACHAMI A BUDRYSAMI. SZKICE ZE STOSUNKÓW POLSKO-LITEWSKICH W DZIEJACH NAJNOWSZYCH"
LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Klęska Kadrówki

Piłsudski oczekiwał, że po wybuchu wojny Rosjanie wycofają się na prawy brzeg Wisły, a do Kompanii Kadrowej masowo napłyną ochotnicy. Spodziewał się nawet wybuchu powstania, co umożliwiłoby opanowanie Warszawy przed wkroczeniem Niemców. Zajęcie stolicy stwarzałoby zupełnie nową sytuację polityczną, zmuszając rządy państw centralnych do rozwiązania sprawy polskiej. Insurekcję przyspieszyć miała fikcyjna odezwa Rządu Narodowego powstałego rzekomo w Warszawie i ogłoszona 12 sierpnia 1914 r. Nawoływała ona do rozprawy z Rosją, nie wspominając jednak o sojusznikach, u których boku miała odbywać się walka.

> **Komendant poważnie rozważał samobójstwo**

Ambitne plany Piłsudskiego załamały się, Kadrówka spotkała się z niechęcią mieszkańców Kongresówki. Nie wybuchło żadne powstanie, nie zgłaszali się ochotnicy, Rosjanie spokojnie dokończyli mobilizację. „Wielkie dwory są bezwzględnie wrogie – irytował się Komendant – po wsiach panuje strach zabobonny i ślepe przywiązanie do istniejącego dotąd panowania i bata. Przed kilku dniami wchodziliśmy do jednej z podkieleckich wsi. Pustka na ulicy; okna i drzwi zabite deskami; ani jednego człowieka, ani bydlęcia czy kury; po prostu cała wieś na pierwszą pogłoskę o naszym przyjściu zamknęła się i padła przed nami jak martwa".

Austriacy byli zawiedzeni, oddziały Piłsudskiego nie miały większego znaczenia militarnego, stwarzając problemy polityczne. Działalność strzelców miała sens wyłącznie w przypadku masowego napływu ochotników lub antyrosyjskiego powstania za linią frontu. A skoro to nie nastąpiło, to sztab austriacki zdecydował się na zakończenie całej imprezy. Komendant poważnie rozważał samobójstwo. Całą energię poświęcił na budowanie oddziałów strzeleckich, czekał na wojnę, która miała wskrzesić Polskę, a teraz poniósł klęskę. Kadry przyszłej armii polskiej miały walczyć na froncie jako austriackie pospolite ruszenie, a on miał zawieść podwładnych. Nie po to przecież młodzież wstępowała do oddziałów strzeleckich, by ginąć za cesarza z Wiednia!

Piłsudskiego i jego strzelców ocalili politycy galicyjscy. Dramatyczna sytuacja wymagała jednomyślności, powołano Naczelny Komitet Narodowy, do którego weszli przedstawiciele wszystkich stronnictw galicyjskich. Metody polityczne okazały się skuteczne, a prywatne kontakty jeszcze bardziej. Austriacy zaaprobowali projekt utworzenia dwóch Legionów Polskich, a Piłsudskiego wyznaczono dowódcą 1. Pułku Legionu Zachodniego. Dowódcą jednostki został gen. Baczyński, a jego szefem sztabu kpt. Włodzimierz Ostoja-Zagórski. Warto zapamiętać tę drugą nominację… ©℗

eprasa.pl 15dc426468

Olivier Bault

Brexitowa bomba

Premier Theresa May ma problem. We własnym kraju jest podejrzewana o próbę zatrzymania brexitu, a dla UE jej plan jest zbyt radykalny

Czy rząd Theresy May może upaść z powodu brexitu? Według sondażu YouGov opublikowanego 22 lipca w „The Sunday Times" tylko 16 proc. brytyjskich wyborców uważa, że obecna pani premier dobrze prowadzi negocjacje z Unią Europejską, a 34 proc. jest zdania, iż jej były minister spraw zagranicznych Boris Johnson robiłby to lepiej. Zaledwie 12 proc. respondentów opowiedziało się za jej planem, który przedstawiła swoim ministrom 6 lipca w wiejskiej rezydencji premierów Chequers. To właśnie ten plan spowodował odejście z rządu Borisa Johnsona i ministra ds. wyjścia z UE – zwanego potocznie „ministrem brexitu" – Davida Davisa. Wraz z nimi zrezygnowało kilku sekretarzy stanu, w tym podwładny Davisa, który w mediach rozpowiada o zaplanowanym od miesięcy przez Theresę May i jej najbliższych pracowników celowym sabotażu brexitu. Publikacja białej księgi opisującej główne założenia propozycji Theresy May dla Unii Europejskiej tylko wzmocniła jej krytykę, a i tak krótko po tym komisarz Michel Barnier, odpowiedzialny za negocjacje ze strony Brukseli, stwierdził, że księga ta nie jest dla niego żadną podstawą do negocjacji.

Pani May znalazła się między młotem a kowadłem. Z jednej strony atakują ją zwolennicy brexitu we własnej partii, grożąc, że doprowadzą do wotum nieufności i do zmiany lidera Partii Konserwatywnej. Z drugiej zaś strony Komisja Europejska stoi twardo na stanowisku, że Wielka Brytania powinna albo pozostać w pełnej unii celnej z Unią Europejską i stosować się do całości unijnego prawa, jak to robi Norwegia, albo zrezygnować ze swobodnego dostępu do jednolitego rynku i pogodzić się z przywróceniem kontroli granicznych między Irlandią Północną a Republiką Irlandii.

Premier Irlandii Leo Varadkar, który wcześniej proponował, aby granicę celną postawić nie między obiema częściami wyspy, lecz między Irlandią Północną a resztą Zjednoczonego Królestwa, stwierdził nawet, że skoro Brytyjczycy chcą ograniczyć dostęp do swoich wód dla rybaków z innych krajów europejskich, to samoloty lecące z Wielkiej Brytanii nie będą miały dostępu do irlandzkiego nieba. W odpowiedzi na to w Internecie zaczęły krążyć różne mapki pokazujące trasy przelotów samolotów lecących z Republiki Irlandii do krajów europejskich, prowadzące w ogromnej większości przez niebo brytyjskie, oraz trasy gazociągów dostarczających gaz ze złóż Morza Północnego do Irlandii. Groźbę irlandzkiego premiera należy oczywiście traktować z przymrużeniem oka, ale dobrze oddaje ona atmosferę ciągłych prób zastraszania, mających odwodzić Wielką Brytanię od brexitu czy od pełnego brexitu. Sama pani premier Theresa May zagroziła zwolennikom pełnego brexitu, że jeśli nie przyjmą jej planu (który Unia odrzuciła, a zatem który zostanie pewnie jeszcze bardziej złagodzony), to brexitu w ogólne nie będzie. Zwolennicy brexitu zaczęli dodatkowo pod koniec lipca oskarżać panią

eprasa.pl 15dc426468

FOT. NIALL CARSON/PA IMAGES/GETTY IMAGES

premier, że instrumentalizuje zapowiedzi przygotowań na ewentualność wyjścia z Unii bez porozumienia z 27 krajami, tak aby wystraszyć Brytyjczyków. Jako przykład takiego działania dziennik „Daily Mail" przytaczał zapowiedź pani May z 25 lipca (mającą niby uspokoić obywateli), że na taką ewentualność rząd przygotowuje zapasy leków i żywności!

PRZECIW BREXITOWI

Strategia taka, jeśli faktycznie istnieje, byłaby powtórką tzw. Project Fear (Projektu Strach) z czasów kampanii przed referendum z czerwca 2016 r. w sprawie brexitu. Wtedy jako minister spraw wewnętrznych Theresa May prowadziła kampanię przeciwko brexitowi. Po rezygnacji premiera Davida Camerona na skutek przegranego referendum May wygrała wyścig o miejsce lidera Partii Konserwatywnej, a co za tym idzie – o miejsce premiera, gdyż torysi mieli wtedy bezwzględną większość w parlamencie. Wygraną zawdzięcza swojemu obecnemu ministrowi środowiska (a w rządzie Camerona ministrowi sprawiedliwości) Michealowi Gove'owi. Był on w kampanii po stronie zwolenników brexitu wraz z liderem tej kampanii, ówczesnym merem Londynu Borisem Johnsonem, i miał popierać kandydaturę Johnsona na lidera Partii Konserwatywnej. W ostatniej chwili zgłosił jednak własną kandydaturę i Johnson wolał wycofać się z wyścigu.

Dzisiaj konserwatywny lider zwolenników brexitu w Izbie Gmin Jacob Rees-Mogg oskarża Theresę May o to, że nigdy nie była zwolenniczką brexitu i że od początku robi wszystko, aby brexit udaremnić. Człowiek, który doprowadził do decyzji Camerona o zwołaniu referendum, były lider Partii na rzecz Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) Nigel Farage, stwierdził, że „szalone było powierzenie stanowiska premiera zawodowemu politykowi, który prowadził kampanię na rzecz pozostania w Unii". Za jeszcze większego zdrajcę niż May Farage uważa jednak Gove'a. Chociaż był on zwolennikiem brexitu, to zagrodził Johnsonowi drogę do premierostwa. A po ujawnieniu nowych propozycji May 6 lipca Gove pozostał w rządzie, czym zdaniem Farage'a zdradził brytyjskich wyborców po raz drugi.

ROZCZAROWANI

Sprawę brexitu powierzono ludziom, którzy nigdy z Unii wyjść nie chcieli – taki zarzut formułuje Rees-Mogg stojący na czele European Research Group skupiającej ok. 60 eurosceptycznych posłów Partii Konserwatywnej. Do wymuszenia wotum nieufności wobec rządu wystarczyłyby wnioski 48 posłów. Sprawa nie jest jednak taka prosta, gdyż w parlamencie brytyjskim, mimo że zarówno Partia Konserwatywna, jak i Partia Pracy poszły do przyspieszonych wyborów z 2017 r. z obietnicą przeprowadzenia brexitu zgodnie z wolą Brytyjczyków wyrażoną w demokratycznym referendum, większość posłów w obu izbach jest albo w ogóle przeciwna wyjściu z Unii, albo opowiada się za tym, aby Wielka Brytania pozostała w unii celnej z Unią, nawet jeśli miałoby to się wiązać z podporządkowaniem się prawu unijnemu, włącznie z utrzymaniem swobody osiedlania się obywateli Unii w kraju. A gdyby powtórzyć wybory dziś, według sondaży mogłaby je wygrać Partia Pracy ze skrajnym lewicowcem Jeremym Corbynem na czele, co spra-

eprasa.pl 15dc426468

wia, że nawet część posłów tej partii nie jest zainteresowana przyspieszonymi wyborami. Co ciekawe, laburzyści wyprzedzili torysów w sondażach dopiero po ujawnieniu nowych propozycji Theresy May dla Unii. To pokazuje, że propozycje te spowodowały natychmiastową utratę części wyborców Partii Konserwatywnej.

Przytaczany już wcześniej sondaż YouGov pokazuje, że 38 proc. wyborców byłoby gotowych głosować na nową prawicową partię, która obiecałaby prawdziwy brexit (w tym 24 proc. chętnie głosowałoby na partię otwarcie antyimigracyjną i przeciwną islamizacji), a dwie trzecie wyborców zagłosowałoby na nową partię centrową, która postulowałaby także pełny brexit w przeciwieństwie do partii Corbyna. Sondaż ten pokazuje, jak wielkie jest rozczarowanie Brytyjczyków tradycyjnymi partiami, które obiecywały, że wyniki referendum o wyjściu z UE będą respektowane.

Propozycje Theresy May z 6 lipca zakładają, że w celu utrzymania wolnego obrotu dóbr przemysłowych i rolniczych Zjednoczone Królestwo zachowa cały dorobek prawny Unii Europejskiej i będzie automatycznie przyjmowało wszystkie przyszłe regulacje. Brytyjski parlament mógłby co prawda niektóre regulacje odrzucić, ale Bruksela będzie wtedy mogła ograniczyć brytyjskim firmom dostęp do jednolitego rynku. W praktyce oznacza to oczywiście, że brytyjski parlament raczej nie odważy się odrzucić jakichkolwiek regulacji unijnych. Oznacza to także, wbrew zapewnieniom Theresy May, że Wielka Brytania będzie cały czas podlegała jurysdykcji Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.

W białej księdze pani May znalazł się także „odgrzewany pomysł" – odrzucony już w kwietniu przez Komisję Europejską – poboru ceł na granicach Zjednoczonego Królestwa w imieniu i na rzecz Unii Europejskiej dla produktów przeznaczonych dla krajów UE. Miałoby to rozwiązać kwestię braku kontroli granicznych w Irlandii. W odpowiedzi na tę propozycję główny negocjator unijny Michel Barnier powiedział, że jej realizacja jest nierealna i że jedyną możliwością, aby tej granicy nie było, jest pozostanie Zjednoczonego Królestwa w unii celnej (na wzór Norwegii). A więc sprawy nie posunęły się nawet o jotę, choć jak sam Barnier zastrzegał w lipcu, pozostało już tylko ok. 13 tygodni na negocjacje, tak aby można było sfinalizować porozumienie przed październikowym szczytem UE i pozostawić krajom członkowskim i Parlamentowi Europejskiemu czas na ratyfikację tegoż porozumienia przed datą formalnego opuszczenia UE przez Wielką Brytanię, czyli przed 29 marca 2019 r.

Czy Theresa May może pójść dalej niż to, co sama zaproponowała 6 lipca? Odchodzący minister spraw zagranicznych Boris Johnson oskarżył ją o to, że wysyła do Brukseli negocjatorów wymachujących białymi flagami i że chce ona nadać Wielkiej Brytanii statut kolonii Unii Europejskiej. – Wielu ludziom trudno będzie dostrzec gospodarcze i polityczne zalety takiego porozumienia – stwierdził. A może właśnie o to chodzi? Aby Brytyjczycy nie chcieli już żadnego brexitu i zażądali nowego referendum albo co najmniej o to, aby inne narody Europy nie chciały przypadkiem pójść śladem Brytyjczyków?

38 proc. brytyjskich wyborców byłoby gotowych zagłosować na nową prawicową partię, która obiecałaby prawdziwy brexit

TAJNY PLAN?

Steve Baker, były sekretarz stanu ministerstwa ds. wyjścia z Unii Europejskiej („ministerstwo brexitu"), w niedawnym wywiadzie dla „The Telegraph" powiedział wręcz o spisku przeciw brexitowi w rządzie May. Baker odszedł z ministerstwa wraz z ministrem Davidem Davisem i uzasadniał decyzję odkryciem tego, że od wielu miesięcy istnieje tajny plan establishmentu mający doprowadzić do dużo bardziej „łagodnego" brexitu niż ten, który planował jego resort. Według Bakera samo istnienie ministerstwa ds. wyjścia z Unii miało jedynie na celu odwracanie uwagi opinii publicznej od tego, co przygotowywał w ukryciu specjalny zespół ds. europejskich powołany w kancelarii premiera. Na czele zespołu przygotowującego brexit w kancelarii May stoi proeuropejski urzędnik Oliver Robbins, o którym mówiono już w kwietniu, że może przyczynić się do rezygnacji ministra ds. wyjścia z Unii Davida Davisa.

Po odejściu Davisa na początku lipca i mianowaniu na jego miejsce zwolennika brexitu z czasów kampanii referendalnej – Dominica Raaba, główny ośrodek decyzyjny w sprawach brexitu został już oficjalnie przeniesiony do kancelarii premiera. Tym samym rola Raaba została ograniczona do przygotowań na polu krajowym. Zastępca Johnsona na czele MSZ, Jeremy Hunt, był z kolei zwolennikiem pozostania w UE przed referendum, choć twierdzi dziś, że teraz głosowałby za wyjściem z Unii. W rządzie Theresy May za negocjacje z Unią odpowiadają zatem teraz głównie zwolennicy pozostania w Unii Europejskiej.

Ukłonem w stronę zwolenników brexitu była zapowiedź Raaba dotycząca tzw. faktury brexitu. Minister stwierdził, że w przypadku braku porozumienia z Unią Londyn nie zapłaci tych 40–45 mld euro. Chociaż wcześniej rząd w Londynie zgodził się na to, by zapłaty „faktury" nie uzależniać od końcowego porozumienia. Zobowiązanie Londynu do zapłaty miało być warunkiem wstępnym do podjęcia negocjacji w sprawie porozumienia handlowego między Unią a Wielką Brytanią po brexicie.

Trudno w tej chwili przewidzieć, jak dalej potoczą się sprawy. Możliwe są wszystkie scenariusze. Możliwy jest „twardy" brexit bez porozumienia albo wręcz przeciwnie – drugie referendum mające odwołać brexit, które próbują przeforsować organizacje i politycy wspierani m.in. przez George'a Sorosa. Możliwy jest także upadek rządu Theresy May i powołanie na stanowisko premiera Borisa Johnsona, o którym Jacob Rees-Mogg i prezydent USA Donald Trump powiedzieli, że byłby na pewno znakomitym premierem. Możliwe są jeszcze przyspieszone wybory i wygrana Partii Pracy, co wiązałoby się z mocnym skrętem w lewo Wielkiej Brytanii pod wodzą Jeremy'ego Corbyna. I wreszcie możliwe jest gruntowne przemeblowanie na scenie politycznej Wielkiej Brytanii i pojawienie się dużej partii suwerennościowej na prawym skrzydle Partii Konserwatywnej oraz drugiej w centrum, czyli na prawym skrzydle Partii Pracy. Brytyjscy wyborcy, którym obiecano, że jeśli zagłosują za wyjściem z Unii, to ich kraj odzyska pełną suwerenność, mają prawo czuć się oszukani przez rząd oraz parlament i mogą postrzegać własną panią premier jako grającą w jednej drużynie z Komisją Europejską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

FOT. FOTOLIA

NIEMIECKIE LISTY GOŃCZE ZA NIEZNANYMI

Niemiecka policja szuka prawie 300 tys. osób, które złamały prawo. Prawie połowa – bo ponad 126 tys. – z nich to cudzoziemcy, którzy powinni być deportowani. To dane z Federalnego Raportu Kryminalnego. Niemieckie MSW przyznało, że trudno w ogóle ustalić, ilu imigrantów jest poszukiwanych, bo część z nich mogła już wyjechać z kraju. Z kolei na ich miejsce mogli już przyjechać nowi. W kraju, w którym „porządek musi być", zdaje się zapanował niezły bajzel.

MARZENIE NASTOLATKA

Móc swobodnie wchodzić do toalety dla odmiennej płci, a nawet brać tam prysznic – i to nie tylko z urzędowym poparciem dyrektora szkoły, lecz także mając na to dowód w postaci wyroku sądu. Czyż to nie byłoby spełnienie marzeń niejednego nastolatka? Dziś to możliwe. Sędzia z Oregonu w USA odrzucił sprzeciw rodziców dzieci, które czuły się skrępowane tym, że do męskich toalet może wchodzić dziewczyna uważająca się za chłopaka. Ech, nie myślą te dzieciaki. Chłopcy ze szkoły w Dallas powinni po prostu zadeklarować, że czują się dziewczętami, i zażądać dostępu do damskich pryszniców.

AUSTRIACKI SPOSÓB NA UPAŁ

Podczas panujących upałów w Austrii produktem pierwszej potrzeby okazał się... dezodorant. Pracownicy U-Bahn na wiedeńskiej linii U6 postanowili rozdawać je pasażerom. Okazało się, że nie tylko jest kłopot z zapachem, ale chyba i z zamożnością Wiedeńczyków. Bo zaplanowano dwie dystrybucje dezodorantów, ale ludzie wyrywali darmowe zapachy z rąk pracowników i cała pula 14 tys. opakowań rozeszła się jednego dnia.

WYROK NA PSA

Kolumbijska mafia ogłosiła, że daje 70 tys. dol. za głowę – a właściwie za łeb owczarka niemieckiego. Pies Sombra pracuje w kolumbijskiej policji i przez sześć lat wykrył rekordową liczbę przestępstw narkotykowych. Teraz Sombra jest podobno najbardziej chronionym psem w tym kraju.

OSIOŁ W PASKI

Czy zoo w Kairze robi z turystów osłów? Student zwiedzający ogród zoologiczny zwrócił uwagę na nieco rozmazane paski na grzbiecie zebry. Wrzucił zdjęcie zwierzęcia do sieci, a internauci – w tym lekarz weterynarii – uznali, że ktoś pomalował w paski zwykłego osła. Byłoby to nie pierwsze oszustwo. Zebry z osłów już w 2009 r. zrobiło zoo w Gazie. A pięć lat temu chińskie zoo w prowincji Henan próbowało za lwa podstawiać podrasowanego psa mastifa tybetańskiego. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Boskie euro i boski Kucyk

Włoski premier lekko się zirytował, gdy z okazji odwiedzin w Białym Domu po raz enty dziennikarz spytał go, czy Italia wystąpi ze strefy euro. Profesor Conte najwyraźniej zapomniał, że euro jako dogmat unijnej wiary nabrało atrybutów boskości.

Czarną legendę o tym, że obecny włoski rząd chce wystąpić ze strefy euro, wyprodukowali oszołomieni klęską wyborczą postępowcy. Jeden z ministrów gabinetu, prof. Paolo Savona, wybitny ekonomista, kilka lat temu stwierdził, że czasy są niepewne, więc trzeba przygotować się na najgorsze. I na wszelki wypadek opracował plan, co zrobić, jeśli trzeba będzie wrócić do lira.

Postępowcy ten plan odkurzyli i przedstawili jako dowód na to, że rząd Contego chce wyprowadzić Italię ze strefy euro, a potem z Unii. Profesor Savona na próżno tłumaczył, że podobne dokumenty jako „plan B" muszą się znajdować również w ministerstwach finansów Francji i Niemiec, bo tego wymaga rozsądek. Doszło do tego, że wicepremier Di Maio musiał zapewniać: „Nie mamy żadnego planu B!". Kiedy wydawało się, że prymitywna manipulacja postępowców umarła śmiercią naturalną, znów wyjechał z nią dziennikarz, i to w odległym Waszyngtonie. Dlatego prof. Conte się zagotował.

Trener Giovanni Trapattoni w 2002 r., mimo masowych demonstracji na włoskich ulicach, nie zabrał na mistrzostwa świata do Japonii Roberta Baggio, z powodu fryzury i futbolowego geniuszu zwanego „boskim Kucykiem". Na miejscu trener poprosił o duchową opiekę nad ekipą włoskiego mnicha, mieszkającego w Japonii od 40 lat. Gdy zakonnik po raz pierwszy wszedł do zaimprowizowanej w ośrodku kaplicy, potoczył wzrokiem po piłkarzach i spytał: „A gdzie Roby Baggio?!". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 15dc426468

FOT. KEVIN FRAYER/GETTY IMAGES

Pekin zwodzi świat

Łukasz Czarnecki

Władze Państwa Środka mimo deklaracji o demokratyzacji i otwarciu na świat nasilają prześladowania wyznawców Chrystusa i Mahometa

Stosunki między Watykanem a Pekinem są napięte od lat. Cieniem kładą się na nie: prześladowanie przez chiński rząd biskupów wiernych papieżowi, funkcjonowanie w Państwie Środka kontrolowanego przez komunistów, niepozostającego w łączności z Rzymem kościoła państwowego – Katolickiego Stowarzyszenia Patriotycznego i utrzymywanie przez Watykan stosunków dyplomatycznych z Republiką Chińską na Tajwanie.

Wyświęceni w zgodzie z prawem kanonicznym kapłani działający za Wielkim Murem Chińskim muszą poważnie liczyć się z perspektywą męczeństwa. Los taki spotkał całkiem niedawno, bo w roku 2007, bp. Jana Han Dingxiana. Pekin wszelkimi metodami dąży do podporządkowania chrześcijan partii i obsadza stolice biskupie swoimi kandydatami, nie przejmując się kompletnie tym, że tak wykreowani „hierarchowie patrioci" są automatycznie objęci ekskomuniką.

ATAK NA CHRZEŚCIJAN

Biorąc po uwagę powyższe czynniki, tym bardziej zaskoczyła wszystkich nagła wolta dokonana przez Watykan z początkiem 2018 r. Urzędujący w Rzymie pasterze na czele z papieżem Franciszkiem zaczęli zabiegać o przychylność Xi Jinpinga, a świat obiegła wieść o rychłym zakopaniu topora wojennego między Watykanem a Komunistyczną Partią Chin. Znienacka najwyższe czynniki kościelne zaczęły naciskać na trwających dotąd wiernie wbrew wszelkim burzom przy papiestwie niepokornych chińskich biskupów, by zrezygnowali z pełnienia swych urzędów i przekazali je wykreowanym przez komunistyczny reżim „biskupom patriotom".

Te zabiegi ekipy Franciszka osiągnęły szczyty niezrozumienia, gdy kierownik Papieskiej Akademii Nauk abp Marcelo Sanchez Sorondo obwieścił w lutym, że Chiny ze wszystkich krajów świata najpełniej realizują katolicką naukę społeczną. Nie tylko znawcy współczesnego Państwa Środka, lecz także wszyscy, którzy choć raz mieli do czynienia z chińską rzeczywistością, przecierali oczy ze zdumienia, gdy hierarcha przekonywał, że w Chinach nie ma dzielnic nędzy ani narkomanii, a Chińczycy nie są owładnięci żądzą bogactwa jak Amerykanie.

Hierarcha zapomniał też odnieść się do obrony życia poczętego – w Chinach aborcje są na porządku dziennym, a sławetna nieludzka polityka „jednego dziecka", od

eprasa.pl 15dc426468

której na szczęście władze chińskie już odchodzą, na nich się opierała.

Papież Franciszek, stawiając się w roli zabiegającego o względy Komunistycznej Partii Chin petenta, bardziej szkodzi sprawie chińskiego katolicyzmu, niż jej pomaga i sprawia, że przyszłość wyznania rzymskiego w Państwie Środka rysuje się ponuro. Chińska ekipa rządząca uznała – jak się wydaje – zaloty Watykanu za oznakę słabości tego ostatniego i, zamiast pójść na jakiekolwiek ustępstwa względem partnera, zabrała się do dokręcania śruby chińskim chrześcijanom.

W kwietniu świat obiegła wiadomość tak dziwna, że można by ją uznać wręcz za ponury żart, gdyby nie miała ona wydźwięku tragicznego – władze chińskiej prowincji Henan zakazały uczestnictwa w mszy świętej młodzieży poniżej 18. roku życia. Nowa regulacja jest wspólnym dziełem tamtejszej komisji ds. kościelnych i kierowanego przez „księży patriotów" lokalnego oddziału Katolickiego Stowarzyszenia Patriotycznego. Nieludzkie prawo zakazuje także prowadzenia katechezy wśród młodzieży, niepokornych kapłanów czekają srogie kary. Na chińskich katolików, zarówno tych wiernych papieżowi, jak i członków schizmatyckiego kościoła państwowego, padł blady strach, powszechne są obawy, że zaprowadzenie nowego prawa w Henanie jest tylko przygrywką do większej antychrześcijańskiej akcji, która obejmie całe Chiny.

Ustawa wycelowana w chińskich katolików nie jest jedynym antychrześcijańskim posunięciem władz Chin w ostatnim czasie. Krótko przed wejściem w życie henańskich regulacji ze wszystkich internetowych sklepów i serwisów aukcyjnych w Państwie Środka zniknęła Biblia – obecnie jej zakup w chińskiej sieci jest de facto niemożliwy.

Ekipa Xi Jinpinga wzięła się ostro do walki z wiarą Chrystusową. Wydaje się, że chiński rząd dąży do tego, by chrześcijaństwo za Wielkim Murem Chińskim podzieliło los taoizmu – ta tradycyjna religia nadal wyznawana jest przez wielu Chińczyków, lecz wydawane przez rządowe czynniki książki i pisma skierowane do taoistów głoszą, że w dzisiejszych czasach nie należy wierzyć w głoszoną przez ową wiarę możliwość osiągnięcia nieśmiertelności za pomocą ćwiczeń i medytacji, co odbiera taoistycznym praktykom religijnym jakikolwiek sens. Z punktu widzenia Pekinu najlepiej byłoby chyba, aby chrześcijanie byli praktykujący, lecz niewierzący. Innymi słowy, wszystko wskazuje na to, że Pekin, niszcząc edukację religijną młodzieży i utrudniając dystrybucję Pisma Świętego, chce, by chrześcijaństwo Państwa Środka ograniczało się do pustych, niepodpartych żadną treścią rytuałów. W końcu wykorzenionymi i pozbawionymi wsparcia duchowego ludźmi łatwiej jest dyrygować.

MAHOMET – WRÓG PUBLICZNY

Chrześcijanie nie są jedynymi, którzy znaleźli się na celowniku chińskich władz. W Xinjiangu, zwanym też Chińskim Turkiestanem, olbrzymiej, słabo zaludnionej prowincji w zachodniej części Państwa Środka, której 11-milionowa ludność autochtoniczna, czyli Ujgurzy, wyznaje islam, toczy się bezpardonowa walka z wiarą w Allaha.

W roku 2014 Komunistyczna Partia Chin zadała turkiestańskim muzułmanom potężny cios, wprowadzając zakaz przestrzegania postu w czasie Ramadanu. Uczniowie, nauczyciele, urzędnicy, członkowie partii i pracownicy firm państwowych byli w czasie najważniejszego dla wyznawców islamu okresu umartwień wręcz zmuszani pod groźbą surowych kar do spożywania posiłków w ciągu dnia, co – jak wiemy – jest w okresie Ramadanu surowo zakazane. Co więcej, władze prowincji przystąpiły do prowokacyjnego rozdawania darmowych posiłków, a funkcjonariusze państwowi wchodzili nawet do prywatnych domów, by kontrolować, czy ich mieszkańcy przypadkowo nie poszczą. Uczniowie Mahometa zostali tym samym postawieni przed wyborem – szykany ze strony władz lub popełnienie uczynku będącego z ich punktu widzenia śmiertelnym grzechem.

Na zmuszaniu Ujgurów do łamania zasad muzułmańskiego proroka dotyczących postu się nie skończyło. Partia kolejno zakazała mieszkańcom Turkiestanu noszenia tradycyjnych wśród tutejszych muzułmanów długich bród, wprowadziła kary za odmawianie oglądania piorącej ujgurskie mózgi państwowej telewizji, a w roku 2017 ogłosiła zakaz nadawania muzułmańskim dzieciom imion o religijnej konotacji. Jeśli rodzice się nie ugną i nazwą swe dziecko tradycyjnym dla islamu imieniem, takim jak choćby Saddam, to ich potomek nie będzie mógł liczyć na otrzymanie specjalnego dokumentu hukou, będącego czymś w rodzaju potwierdzenia zameldowania. Jako że – jak by to powiedział Woland z „Mistrza i Małgorzaty" – w Chinach człowiek bez hukou właściwie nie istnieje (nie może liczyć na żadne świadczenia socjalne takie jak prawo do edukacji czy dostęp do publicznej służby zdrowia), Komunistyczna Partia Chin wytoczyła tym samym naprawdę ciężkie działa przeciwko swym muzułmańskim obywatelom.

Ukoronowaniem dobiegających z Państwa Środka informacji o narastającym ucisku muzułmańskiej społeczności stały się doniesienia o powstaniu sieci obozów reedukacji, do których trafiają nieprawomyślni muzułmanie. Co prawda chińskie władze oficjalnie zaprzeczają ich istnieniu, ale wielu spośród Ujgurów, którzy się przez nie przewinęli, nie dało sobie zamknąć ust i odważnie daje świadectwo swego męczeństwa.

Do obozów trafiają nie tylko Ujgurzy, lecz także wyznawcy Mahometa z innych grup etnicznych. W marcu tego roku chińska policja siłą doprowadziła na reedukację sławnego muzułmańskiego poetę z mniejszości Hui Cui Haoxina. Przewiną artysty było solidaryzowanie się z uciśnionymi współwyznawcami z Xinjiangu. Opowieści o praktykach, jakim poddawani są więzieni bez procesu sądowego muzułmanie, sprawiają, że włos jeży się na głowie i nasuwają nieprzyjemne skojarzenia z czasami Mao. Więźniów zmusza się do nauki chińskiego i wyśpiewywania peanów na cześć Komunistycznej Partii Chin, każe składać samokrytykę i przymusza do jedzenia pokarmów zabronionych przez Mahometa, np. wieprzowiny, oraz publicznego wyrzeczenia się islamu – to ostatnie jest chyba najgorsze, bo, jak wiemy, kara stosowana przez islamskie prawo względem apostatów to śmierć. Ci spośród uwięzionych, którzy stawiają opór, są brutalnie maltretowani, pozbawiani snu i jedzenia. Osobną kwestię stanowią wołające o pomstę tragiczne warunki sanitarne panujące w obozach. Wielu z uwięzionych nie wytrzymuje przemocy, jakiej są poddawani, i popełnia samobójstwo. O tym, czy ktoś trafi na reedukację, decyduje de facto samowola policji i urzędników – by zostać oskarżonym o religijny ekstremizm, wystarczy wyjechać do któregoś z sąsiednich państw muzułmańskich, odebrać telefon z zagranicy lub pójść się pomodlić do meczetu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

Rafał A. Ziemkiewicz

Europejskie podejście do problemu migracji to skutek świadomego wyboru, jakiego dokonały rządzące dziś Europą dzieci Marksa i Gramsciego

FOT. FARO TV/REUTERS TV/FORUM

Na niewolniczym szlaku

Szturm migrantów na mur graniczny hiszpańskiej enklawy Ceuta w Afryce Północnej wyglądał naprawdę efektownie. Ośmiuset zdecydowanych na wszystko napastników, zbrojnych w przygotowane zawczasu narzędzia, obaliło siedmiometrowy płot, rozerwało zwoje drutu kolczastego, następnie przy użyciu prowizorycznych miotaczy załadowanych palonym wapnem rozgoniło hiszpańskich policjantów i dosłownie stratowało nielicznych próbujących stawiać jeszcze potem opór. Gdyby graniczny mur nie był plastikowy, a stroje i mundury współczesne, można by sądzić, że to sceny z filmu o zdobywaniu średniowiecznej warowni.

W Ceucie to nic nowego. Podobne szturmy zdarzały się już w poprzednich latach, ostatni w styczniu tego roku – każdy kolejny jest większy, lepiej zorganizowany i bardziej brutalny.

Każdy ma też swoje drugie dno. Ostatnio o Ceucie głośno było wtedy, gdy – media tych faktów ze sobą nie pokojarzyły, dla miejscowych związek był oczywisty – królestwo Maroka jednostronnie podwyższyło opłaty za korzystanie przez rybaków z Unii Europejskiej (czyli głównie hiszpańskich) z przybrzeżnych łowisk, rozszerzając jednocześnie strefę, którą za „przybrzeżną" uznaje. Oczywiście organa unijne odmówiły uszanowania tej jednostronnej decyzji.

Następnego dnia marokańskie patrole, które zwykle utrzymują przybyszów z głębi Czarnego Lądu w przyzwoitej odległości od enklawy, ograniczając nielegalny „ruch graniczny" do tych kilkunastu, kilkudziesięciu osób dziennie, których stać na opłacenie autoryzowanych przez żandarmerię przewodników, przypadkiem gdzieś się zawieruszyły. Tego dnia do Ceuty wkroczyło różnymi drogami 1000 migrantów. Drugiego 800. Trzeciego 1200. Czwartego marokańskie wojsko wróciło i sytuacja się unormowała – bo, jak się czytelnik domyśla, Unia pod naciskiem rządu Hiszpanii zmieniła zdanie.

Jakie było drugie dno obecnego szturmu, nie wiem. Jedno jest pewne – bez cichego przyzwolenia Marokańczyków przybysze z interioru nie podeszliby tak licznie ze swymi improwizowanymi machinami oblężniczymi pod sam graniczny płot. Marokańczycy, w przeciwieństwie do bezradnych Hiszpanów, mają swoje sposoby. Jakie? Humanitarna Europa, po cichu je sponsorując, nie jest tak głupia, by pytać. Ważne, że skuteczne. Marokańczycy mają broń i ostrą amunicję, czarnych uważają za podludzi (może dlatego, że sami, choć uważają się za Arabów, trzymani są w podobnej pogardzie przez Arabów właśnie, przez których z kolei oni sami, choć też są muzułmanami, uważani są za podludzi jako Berberowie), a Afrykańczyków ciągnących watahami z głębi kontynentu, bez żadnych dokumentów czy spisów, nikt nie liczy. I nikt nie będzie sprawdzał, ilu i gdzie zostało pochowanych po drodze.

@

Europa, jako się rzekło, jest humanitarna i oddana idei praworządności. W każdym razie chce tak o sobie myśleć. Dlatego jeśli już migrant znajdzie się na jej terenie, musi zostać skierowany do ośrodka azylowego, gdzie ustala się, kim jest (to znaczy przyjmuje na wiarę jego słowa, bo jako się rzekło, dokumentów nie mają, wszyscy twierdzą, że są niepełnoletni i wszyscy uciekają przed prześladowaniami), karmi, leczy, odziewa i szuka dlań miejsca w nowym kraju pobytu. Teoretycznie istnieje prawna możliwość deportacji „na gorąco", czyli natychmiast po nielegalnym przekroczeniu granicy, ale Hiszpanie oduczyli się z niej korzystać, bo migranci przy takich próbach łamią im szczęki i ręce albo zadają inne obrażenia,

eprasa.pl 15dc426468

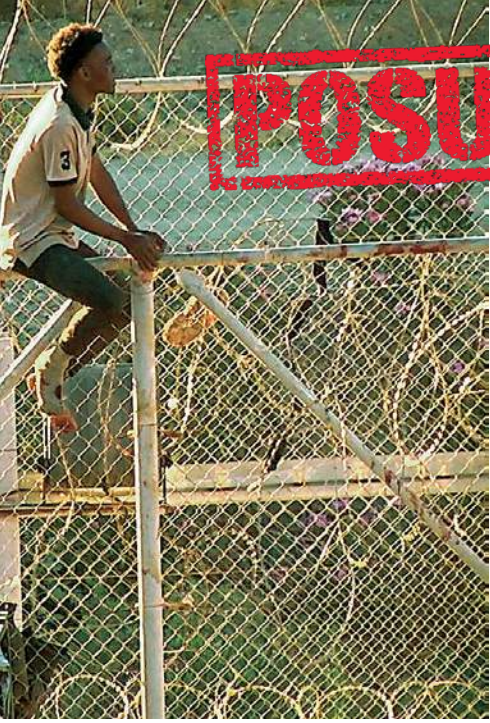

POSUBOTNIK

i wtedy już, jako przestępcy, muszą zostać aresztowani. Jak się czytelnik domyśla, po tym, co mają za sobą, umieszczenie w europejskim zakładzie karnym jest dla nich dostaniem się do raju.

Oczywiście sprawia to, że płynący gdzieś z pogrążonych w nędzy i nieustających plemiennych wojnach państw środkowej Afryki potok migrantów stale przybiera na sile i osłabiać go można jedynie, płacąc – brutalnie mówiąc – innym „barbarzyńcom" za to, by robili to sobie znanymi metodami, o które Europa woli nie pytać. Jaką cenę, tego nikt oficjalnie nie powie. W tym konkretnym wypadku – Hiszpanii, jej enklawy w Ceucie i Maroka – można się domyślać, że istotną częścią „dealu" jest przymknięcie oka na masowy szmugiel haszyszu, którego produkcja wydaje się jedną z podstaw marokańskiej gospodarki. Na przejściu granicznym w Ceucie, przez które nieustanie przepływa rzeka wyładowanych po dachy samochodów i „mrówek" z ogromnymi torbami pełnymi różnych towarów „na własny użytek", nikt go nawet nie próbuje szukać, dość kłopotu jest z zapanowaniem nad nieustannie napierającym w obu kierunkach tłumem „odwiedzających rodzinę" szczęśliwych posiadaczy 24-godzinnych przepustek do przedsionka raju.

W samym Maroku haszysz, kodowo nazywany marokańską czekoladą, jest wszędzie, oferuje go prawie każdy uliczny handlarz – w pewnym momencie nawet podchodzi do mnie i mojej rodziny z paczkami „czekolady" dziewczynka na oko ośmioletnia. Wokół patrol na patrolu, ale nic, przecież policjanci i żołnierze, jak wszyscy, też mają z tego swoją działkę. Wielu białych przyjeżdża, żeby ujarać się na miejscu, wielu zabiera „czekoladę" ze sobą – według oficjalnych danych policji w minionym roku europejscy celnicy skonfiskowali jej 350 ton. Muszą to być promile ogólnego obrotu, skoro szacuje się, że z Maroka pochodzi około 80 proc. „haszu" wypalanego w całej UE.

Ważne jest to, że żaden Marokańczyk „czekolady" nie tyka. To g… dał Allah swym wyznawcom wyłącznie do wytrucia „nieczystych" białych, a przy okazji do wzbogacenia się – mówimy o kraju, w którym obok tetuańskiej mediny czy postkolonialnej architektury starego Tangeru swoistą „atrakcją" turystyczną jest widok zagłodzonych dzieci, rozgrzebujących tłumnie, niemal pod kołami wywrotek, śmieci na podmiejskich składowiskach. Król Maroka podpisał jednak z Europą stosowne porozumienie, na mocy którego jego poddani podlegają deportacji. Wybierając przy Unii Europejskiej rolę analogiczną do tej, którą wobec Rzymu odgrywali u zarania swej świetności, powiedzmy Goci i inni „barbarzyńcy", nie tylko nie traci poddanych, lecz także otwiera im drogę do czerpania z innego jeszcze źródła bogactwa: „hebanu", mówiąc językiem łowców i handlarzy niewolników sprzed stuleci.

Bo przecież te tłumy Afrykanów ciągnące na północ – to niewolnicy. Większość z tych, którzy dostają się do europejskiego raju, zwłaszcza ci z łodzi, pontonów i z „taksówek Sorosa", po odpędzeniu od wybrzeży Włoch uwijających się na zaproszenie nowego, lewicowego rządu w Madrycie przy plażach i portach Andaluzji, musi „odpracować" zapłatę za przerzut. Prostytuują się, tyrają niewolniczo w rolnictwie, dokonują zleconych kradzieży i rozbojów, ci najszczęśliwsi handlują pamiątkami i podróbkami na targowiskach. Kto to wszystko organizuje, kto na tym zarabia, jaką rolę odgrywają w tym wszystkim „charytatywne" fundacje, dlaczego mafie mogą sobie poczynać tak bezkarnie? „Pan wiesz, a ja się domyślam".

@

Odkąd wspomnianą decyzją hiszpański rząd przeniósł główny przemytniczy szlak „hebanu" z Półwyspu Apenińskiego na Iberyjski, strumień migrantów wzbiera tu z dnia na dzień. Perspektyw ratunku nie widać – oczywiście w Ceucie postawiono nowy płot, no i co? Następnym razem zaatakuje nie kilkuset, ale kilka tysięcy Murzynów, i nie wapnem, lecz bronią palną, bo współcześni „sprzymierzeni" Goci będą stale i stale podnosić cenę. Nikt o tym nie chce myśleć. A takich, którzy chcą, gasi się stwierdzeniem, że nic się nie da zrobić, bo migracje są nieuchronne. To tak, jakby mówić, że nie ma co kształcić lekarzy i budować szpitali, bo każdy i tak umrze.

A przecież były takie państwa – USA, najlepszy przykład – które na migracji zbudowały potęgę. Zrozumiała desperacja, którą wykazują Afrykańczycy chcący się dostać do Europy za wszelką cenę, mogłaby zostać obrócona w podobną jak tam energię. Wystarczyłoby, gdyby Europa stworzyła swoją „Ellis Island", wyznaczyła limity i kryteria, także kryteria asymilacji (czego samotnie próbuje dziś tylko mała Dania) i deportacji w wypadku ich niespełnienia oraz naruszania prawnego porządku Europy. Ludzie gotowi dla dostania się do Europy wielokrotnie ryzykować życie, na pewno chętnie rywalizowaliby w tym, który szybciej i bardziej stanie się Europejczykiem.

Nieszczęściem, za które straszną cenę zapłacą przyszłe pokolenia rdzennych mieszkańców Europy, nie jest to, że zalewają nas imigranci – ale że są to imigranci, którzy nas w najmniejszym stopniu nie szanują. Nikt ich do tego nie zmusza i tego nie wymaga ani nawet nie oczekuje. Przybyli tu sami, ogromnym kosztem i wysiłkiem, po bogactwo pochodzące, jak uważają, z rabunku i wyzysku ich przodków. Broń Allahu nie po to, by się stać podobnym do Europejczyków. Widzą w nas tylko do cna zepsutych egoistów, znarkotyzowanych i zapitych, bezdzietnych, nieszanujących ani swych rodzin, ani swej tradycji, ani religii – a na dodatek idiotów, oddających bogactwa za nic.

Taki model migracji, zamiast amerykańskiego, to skutek świadomego wyboru, którego dokonały rządzące dziś Europą dzieci Marksa i Gramsciego. Nie udało się zniszczyć starego świata siłami proletariatu, mniejszości seksualnych, to spuścimy nań młot imigracji. Dał nam przykład Olof Palme, jak zniszczyć do cna „nacjonalizm", „patriarchalizm" i inne „faszystowskie" obciążenia społeczeństwa – cóż tam, że razem z nim samym.

A przy okazji, skoro było o Gotach, kto pamięta, że kiedyś rządzili oni – konkretnie, Wizygoci – Hiszpanią? Kto wie, że muzułmanie nigdy Półwyspu Iberyjskiego nie podbili? Nie musieli. Oni tu zostali zaproszeni. Właśnie przez śmiertelnie ze sobą skłóconych Wizygotów, w sukurs ich niekończącej się wewnętrznej wojnie między stronnictwami. Historia bardzo ciekawa i pouczająca, i pewnie dlatego nikt dziś do niej nie wraca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

Stefan Sękowski

Amerykańsko-włoska robota

Sergio Marchionne uratował przed upadkiem zarówno Fiata, jak i Chryslera. Realizacja jego „testamentu" przez nowego szefa FCA Mike'a Manleya może oznaczać dobre wiadomości dla polskich pracowników koncernu

Nie lubił krawatów i niepotrzebnych dyskusji, za to uwielbiał palić papierosy marki Muratti Privat i wypijać po kilka espresso dziennie. W swoich swetrach i koszulach z kołnierzykiem często bardziej przypominał swoich pracowników z Turynu czy Tychów niż kolegów po fachu ubierających się na co dzień w markowe garnitury. Kanadyjsko-włoski menedżer Sergio Marchionne trząsł do niedawna Fiat Chrysler Automobiles, jedną z największych firm motoryzacyjnych na świecie, a także symbolem sportowego stylu – Ferrari.

Informacja o tym, że zmarł 25 lipca 2018 r. w wieku zaledwie 66 lat w klinice uniwersyteckiej w Zurychu, była niespodziewana. O tym, że przestanie być szefem FCA, wiadomo było od początku czerwca, kiedy ogłosił chęć odejścia na emeryturę – ale także wieloletni plan rozwoju firmy. O tym, że jego sytuacja zdrowotna jest poważna, wiadomo było co najmniej od kilku dni, kiedy to błyskawicznie zrezygnował z kierowania firmą. Powodem śmierci miały być komplikacje po operacji barku, wiele osób podejrzewało jednak, że mógł mieć raka płuc, gdyż palił jak smok: zresztą szpital przyznał, że sam Marchionne leczył się w placówce od roku. Firma straciła wieloletniego szefa, który z pozycji europejskiego przeciętniaka, znajdującego się w poważnych tarapatach, wyciągnął ją na szczyty światowej motoryzacji. Chociaż nie bez kontrowersji.

URATOWAĆ KOLOSA

Gdy w 2004 r. przejmował kierowanie Fiatem, miał doświadczenie w takich branżach, jak finansowa, chemiczna czy certyfikacyjna, ale w branży motoryzacyjnej był nikim. A jednak to jemu spadkobiercy założyciela koncernu Giovanniego Agnellego powierzyli pieczę nad firmą, która wtedy w ciągu czterech lat zdążyła stracić prawie połowę swojego udziału w europejskim rynku samochodów osobowych (5,8 proc.) i znajdowała się w katastrofalnej sytuacji finansowej. Dzisiaj Fiat jest (po połączeniu z Chryslerem od 2014 r. jako FCA) siódmą największą firmą motoryzacyjną na świecie – w 2017 r. sprzedała 4,8 mln egzemplarzy. W tym roku zamierza też spłacić do końca wszystkie swoje długi.

Nie było łatwo to osiągnąć. Gdy Marchionne zaczynał swoje urzędowanie, zauważył, że firma jest kolosem na glinianych nogach. W pierwszej kolejności zajął się porządkowaniem bałaganu po poprzednikach i oszczędnościami. Odchudził biurokrację w centrali korporacji, a także uzyskał od General Motors 2 mld dolarów w zamian za uwolnienie się ze współpracy z Fiatem, która – zdaniem szefostwa GM – miała okazać się zbyt kosztowna. Już po dwóch latach firmie udało się wyjść na prostą. Prawdziwa rewolucja nastąpiła jednak w 2009 r., kiedy Fiat kupił 20 proc. udziałów w upadającym amerykańskim kolosie, Chryslerze, wraz z zależnymi od niego spółkami, takimi jak np. Jeep. I tu jego metody przyniosły efekt, bo firma zaczęła osiągać zyski. Od kiedy oba przedsiębiorstwa się połączyły i powstał gigant Fiat Chrysler Automobiles, ceny akcji firmy na Wall Street wzrosły ponadtrzykrotnie.

SUV-EM NA PODBÓJ ŚWIATA

W Polsce nie wspomina się jednak Marchionnego najlepiej. Gdy w 2011 r. postanowił przenieść produkcję Fiata Pandy z Tychów do Pomigliano d'Arco pod Neapolem, pracę straciło 1,5 tys. osób. Decyzja nie była motywowana ekonomicznie, przynajmniej w znaczeniu rynkowym, lecz chęcią „spłacenia długu wobec Włoch". Fiat nie wycofał się jednak całkowicie z Polski: obecnie w dziewięciu zakładach produkcyjnych (m.in. we wspomnianych już Tychach, Sosnowcu, Bielsku-Białej i Skoczowie) pracuje ponad 9 tys. osób – produkuje się tu głównie model Fiat 500, silniki czy komponenty do samochodów.

Pojawiają się jednak opinie, że to, co zrobił Marchionne z Fiatem, nie było jego uratowaniem, ale de facto… doszło do skolonizowania go przez Chryslera. Metaforycznie może być coś na rzeczy. W ostatnich latach Fiat Chrysler Automobiles

eprasa.pl 15dc426468

ograniczył swoją produkcję samochodów osobowych faktycznie do trzech modeli – Panda, 500 i Tipo, który zresztą ma niebawem zniknąć z europejskiego rynku. Produkcję Lancii ściął do minimum: w ciągu prezesury Marchionnego jej sprzedaż spadła dwukrotnie, obecnie produkowana jest niemal wyłącznie na rynek włoski.

Ktoś może powiedzieć, że szkoda, że marginalizacja marek z tradycjami to smutna informacja dla miłośników motoryzacji. To prawda – pod warunkiem że tę tradycję można spieniężyć. A z tym bywa różnie. Rynek tradycyjnych samochodów osobowych przynosi niewielkie marże w porównaniu np. do samochodów luksusowych czy SUV-ów, łączących w sobie cechy samochodu rodzinnego i terenowego.

Za Marchionnego FCA starał się rozwijać tradycyjnie włoskie marki operujące w tym pierwszym segmencie – Maserati i Alfa Romeo. W tym celu przemodelował zresztą produkcję w „siedlisku" firmy – fabryce Mirafiori w Turynie. Tamtejsza fabryka skupia się obecnie na produkcji mniejszej liczby samochodów, które przynoszą większą marżę. Symbolem wzrostu Alfa Romeo jest powrót firmy do Formuły 1 – od tego sezonu ma ona swój własny zespół wspólnie z Sauberem. To także efekt zainteresowania F1 samego Marchionnego, który miał duży wpływ na decyzje teamu Scuderia Ferrari (a także pośrednio na funkcjonowanie samych wyścigów). Podczas Grand Prix Węgier kierowcy stajni mieli na znak żałoby na ramionach czarne opaski.

Prawdziwym zwycięzcą sojuszu Fiata z Chryslerem jest jednak spółka, którą ten drugi wniósł w „wianie" do FCA – Jeep. Od 2009 r. jego sprzedaż, w wielu modelach wręcz wzorcowego przykładu samochodu, jakim zainteresowany był Marchionne, wzrosła z 300 tys. rocznie do 1,4 mln w ubiegłym roku. Zmarły niedawno szef spółki postawił Jeepowi wysoką poprzeczkę: powinien osiągnąć dwumilionową sprzedaż w tym roku, a do 2022 r. wypuszczać na rynek 2,8 mln samochodów rocznie.

FOT. JEWEL SAMAD/AFP/EAST NEWS

DOBRE WIEŚCI DLA POLSKI?

Tego przypilnuje już nowy szef FCA – Brytyjczyk Mike Manley, który od 2009 r. kieruje zarządem… Jeepa. Do dziś wypróbowuje samodzielnie nowe modele, wprowadził firmę na ogromny chiński rynek. Z Marchionne łączyła go choćby niechęć do krawatów, choć nieco mniejsza miłość do sweterków. Także modelowy pracoholizm (osoby znające obu twierdzą, że w przypadku Manleya wręcz większy). To, co go odróżnia, to jednak nieco bardziej odważne podejście do biznesu. Przykładowo Marchionne był mocno sceptyczny wobec produkcji samochodów elektrycznych. Wypuszczenie modelu Fiat 500e uważał za zło konieczne, a w 2014 r. wręcz zniechęcał (sic!) do jego zakupu, ponieważ na każdym egzemplarzu koncern miał tracić 14 tys. dol. W efekcie firma została w tyle, zarówno jeśli chodzi o produkcję tych samochodów, jak i badania.

Chociaż ten segment rynku jest nadal w powijakach (nie tylko ze względu na kosztowność, lecz także brak odpowiedniej infrastruktury służącej do ładowania w wielu państwach) i stanowi znikomy udział całego rynku, z czasem będzie miał coraz większe znaczenie. Z dotychczasowych wypowiedzi Manleya wynika, że nie obawia się podjąć ryzyka i kosztów. Zresztą z „testamentu" Marchionnego – czyli pięcioletniego planu rozwoju firmy, jaki przedstawił niedawno – wynika, że także on sam widział te potrzeby: do 2022 r. firma miała wydać 9 mld euro na badania w tym zakresie. Podobnie jak stopniowe odejście od silników napędzanych dieslem. Po aferze związanej z fałszowaniem monitoringu badań emisji spalin przez Volkswagena diesel stał się mocno passé – i Fiat zdaje sobie z tego sprawę.

Firma ma kłaść główny nacisk na swoje bardziej dochodowe marki, takie jak Jeep czy Alfa Romeo. Jeśli zaś chodzi o Fiata, przede wszystkim rozbudować 500, a także Pandę nowej generacji. Te zmiany mogą mieć znaczenie dla Polski. Podczas ostatnich wypowiedzi nie szczędził Polakom produkującym dla niego samochody miłych słów. I podkreślił, że ma wobec fabryki w Tychach swoje plany. W Pomigliano produkowany ma być nowy, mniejszy model Jeepa. To będzie wymagało przeniesienia produkcji Fiata Panda – najlepiej z powrotem do fabryki w Tychach właśnie, gdzie może trafić także produkcja nowego elektrycznego Fiata 500.

Jeśli Mike Manley będzie kontynuował tę drogę, mogą to być dobre informacje dla polskich pracowników firmy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

PATRONAT DO RZECZY

Pracownik bez smyczy

FOT. FOTOLIA

Jacek Przybylski

Według najnowszych danych Eurostatu bezrobocie w Polsce spadło do poziomu 3,7 proc. To najlepszy rezultat niemal od trzech dekad i świetny wynik na tle całej UE. O wyzwaniach dotyczących rynku pracy dyskutować będą eksperci podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy

Jak w zeszłym tygodniu podał Eurostat – który mierzy stopę bezrobocia jako procent osób w wieku 15–74 lata pozostających bez pracy, zdolnych podjąć zatrudnienie w ciągu dwóch tygodni, którzy aktywnie poszukiwali pracy w ciągu ostatnich tygodni w odniesieniu do wszystkich osób aktywnych zawodowo – liczba Polaków pozostających bez pracy zmniejszyła się z 646 tys. do 635 tys. Rządzący politycy mają powody do radości. Sytuacja w Polsce jest bowiem nie tylko nieporównywalnie lepsza niż w Grecji (stopa bezrobocia wynosi tam 20,2 proc.) czy Hiszpanii (15,2 proc.), lecz także nasz kraj znajduje się już na czwartym miejscu wśród państw Unii Europejskiej o najniższym bezrobociu za Czechami (bezrobocie wynosi tam zaledwie 2,4 proc.), Niemcami (3,4 proc.) oraz Węgrami (3,6 proc.).

Nawet biorąc pod uwagę dane Głównego Urzędu Statystycznego – według którego stopa bezrobocia mierzona jako odsetek bezrobotnych zarejestrowanych w urzędach pracy wobec całości cywilnej ludności aktywnej zawodowo wyniosła w Polsce na koniec czerwca 5,9 proc. – to i tak jest to najlepszy wynik od 28 lat.

Malejąca z miesiąca na miesiąc stopa bezrobocia to jednak trudne wyzwanie dla właścicieli firm. Brak ludzi na rynku zmusza pracodawców do szukania recept na zwiększenie wydajności pracy, lepsze wykorzystanie potencjału ludzkiego, a także do tworzenia takich warunków zatrudnienia, które pozwolą przyciągnąć najlepszych kandydatów. Tymczasem Millenialsi, czyli przedstawiciele tzw. pokolenia Y – którzy według prognoz PwC już w 2020 r. będą stanowić połowę globalnej siły roboczej, a zdaniem analityków Deloitte'a za siedem lat będą stanowić aż 75 proc. całego rynku pracy – wymagają od swoich szefów, aby umożliwili im nie tylko rozwój zawodowy, lecz także realizację ich prywatnych pasji. Elastyczność zatrudnienia to – obok regularnych pochwał ze strony przełożonego – jedno z głównych kryteriów, które rozpieszczone pokolenie Y stawia swoim szefom. Dla Millenialsów zacho-

eprasa.pl 15dc426468

wanie równowagi między pracą a życiem osobistym jest bowiem niemal tak samo ważne, a czasem nawet ważniejsze niż stabilność zatrudnienia i wysokość płacy.

Czasem, aby ułatwić pracownikom pogodzenie obowiązków prywatnych i zawodowych, wystarczy elastyczne podejście do zatrudnienia. Pod tym terminem najczęściej kryje się odejście od najbardziej tradycyjnej formy zatrudnienia, która wymaga pracy w ściśle wyznaczonych godzinach czy pod czujnym okiem szefa w siedzibie pracodawcy. Możliwe są bowiem różne modele współpracy – od pracy w niepełnym wymiarze, przez pracę tymczasową, samozatrudnienie, do umowy o dzieło czy umowy-zlecenia.

Opłacalne może być także wykonywanie obowiązków w ramach umowy na czas nieokreślony, ale z elastycznym podejściem do godzin lub miejsca świadczenia pracy. Możliwość wcześniejszego lub późniejszego przyjazdu do biura pozwala pracownikom zaoszczędzić sporo czasu oraz nerwów związanych z podróżami w godzinach szczytu. Elastyczny czas pracy pozwala również bez stresu wyjść na wywiadówkę, rozpocząć dzień od joggingu, a skończyć na zajęciach jogi. Dzięki temu pracownicy zyskują nie tylko poczucie większej kontroli nad własnym życiem. Mogą również pracować wtedy, gdy mają najwięcej energii – „skowronki" rano, a „sowy" wieczorem – co prowadzi do zmniejszenia ryzyka wypalenia zawodowego.

W DOMU I KAWIARNI

Jeszcze większe oszczędności zatrudnionym może przynieść praca zdalna. Wówczas poza zyskanym czasem, pracownicy mogą zaoszczędzić również na paliwie, taksówkach czy biletach, a także np. na wydatkach na opiekunkę do dzieci. Według sondażu CBOS ok. 20 proc. respondentów w Polsce przyznało, że na podróż z domu do pracy i z powrotem przeznacza dwie godziny dziennie. W skali miesiąca to aż 40 godzin, a w skali roku aż 20 dni, czyli tyle, ile wynosi wymiar urlopu wypoczynkowego dla pracowników, którzy są zatrudnieni krócej niż 10 lat. Zalety zdalnej pracy najłatwiej jest docenić latem, kiedy podczas gdy rzesze pracowników korpo muszą kisić się w swych biurach, osoby cieszące się z bardziej elastyczną formą zatrudnienia swoje zadania mogą wykonywać np. przy stoliku w modnej kawiarni, siedząc w przydomowym ogrodzie lub wymyślając rozwiązania problemów na leżaku nad wodą. Oczywiście, pracując w tym trybie, też trzeba pamiętać o kilku zasadach: np. trzeba poszukać cienia, bo cały dzień spędzony na słońcu z pewnością nie ułatwi pracy z laptopem (dobrze by było, aby zarówno komputer, jak i smartfon były wodoodporne). Poza tym warto pamiętać, że przed telekonferencjami prowadzonymi przez Skype'a należy przebrać się w coś bardziej formalnego, a także unikać rzeczy, które nas rozpraszają – podczas popołudnia ze znajomymi nad jeziorem trudno będzie uczciwie popracować. Niekiedy pracodawcy decydują się na rozwiązanie pośrednie: np. dwa dni w biurze i trzy dni pracy z domu.

A co na elastycznym zatrudnieniu zyskują szefowie? Bardziej zaangażowanych, lepiej zmotywowanych pracowników, którzy rzadziej biorą wolne w pracy i rzadziej decydują się na przejście do innej firmy. Elastyczne formy zatrudnienia pozwalają również na wykreowanie wizerunku przyjaznego pracodawcy i ściągnięcie do firmy najbardziej utalentowanych osób.

Według badania amerykańskiej firmy Clutch dla ponad 40 proc. osób zatrudnionych w pełnym wymiarze elastyczny czas pracy to jeden z najważniejszych bonusów, jakie otrzymują. Dopiero w następnej kolejności pracownicy wskazywali rozwój zawodowy (28 proc.), pakiety opieki zdrowotnej lub karty wstępu do klubów fitness (19 proc.), darmowe jedzenie i przekąski (19 proc.) oraz możliwość pracy z domu (14 proc.). Podobne badanie przeprowadzone przez Timewise w Wielkiej Brytanii pokazało, że aż 87 proc. pracowników w Wielkiej Brytanii albo już pracuje z domu, albo chciałoby korzystać z zalet elastycznego zatrudnienia.

Zgoda na pracę poza biurem z punktu widzenia pracodawcy ma również kilka istotnych wad. Po pierwsze grono pracowników, których obecność w siedzibie firmy w standardowych godzinach jest konieczna, mogą mieć problem z pogodzeniem się z tym, że ich koledzy mogą pracować z domu lub w innych godzinach. Z kolei menedżerowie przyzwyczajeni do ciągłego nadzorowania podwładnych mogą mieć kłopot ze zmianą stylu kierowania zespołem, gdy każdy pracuje z domu. Jeszcze ważniejszy problem dotyczy relacji z klientem, który może oczekiwać, że osoba pracująca nad istotnym projektem będzie dla niego dostępna pięć dni w tygodniu w tradycyjnych godzinach pracy.

NIE TYLKO DLA KOBIET

Z raportu „Indeks Elastyczności Zatrudnienia 2018" opracowanego przez Forum Obywatelskiego Rozwoju wynika, że jeśli chodzi o elastyczność zatrudnienia na podstawie umów o pracę, Polska zajmuje dopiero 30. miejsce na 41 krajów UE i OECD. W regionie gorzej od nas wypadają tylko Chorwacja oraz Słowenia. W czołówce tego rankingu – opracowywanego m.in. na podstawie kosztów wypowiedzeń, zasad wypowiedzeń czy regulowanych prawnie godzin pracy – znalazły się Wielka Brytania oraz Irlandia. Tymczasem telepraca jest jednym z rozwiązań, które mogą doprowadzić do zwiększenia aktywności zawodowej kobiet, które są jedną z kluczowych rezerw polskiego rynku pracy. Ministerstwo Rodziny Pracy i Polityki Społecznej zabiega też o to, aby pracodawcy dawali możliwość pracy w formie telepracy i w elastycznym czasie rodzicom osób niepełnosprawnych.

Elastyczne formy zatrudnienia, np. zawieranie umów-zleceń czy krótkoterminowych umów o dzieło, sprzyjają również dorabianiu. Z roku na rok rośnie więc liczba Polaków, którzy mają więcej niż jedno stałe zajęcie. Według danych GUS w pierwszym kwartale tego roku więcej niż w jednym miejscu pracowało aż 933 tys. Polaków. Elastyczne zatrudnienie niesie ze sobą również wiele zagrożeń z punktu widzenia pracownika. Krótkoterminowe formy zatrudnienia czy też ciągłe „wypożyczanie" pracowników może budzić poczucie niestabilności zatrudnienia lub zmuszać ludzi do pracy w szarej strefie. Praca zdalna może zaś zwiększać ryzyko osłabienia więzi ze współpracownikami, a także prowadzić do konfliktów z sąsiadami czy przyjaciółmi, którzy nie zawsze rozumieją, dlaczego ktoś nie chce np. popilnować ich dzieci lub przypilnować fachowca podczas remontu, skoro i tak całe dnie przesiaduje w domu. Zdalna praca może też zacierać granicę między pracą a domem, co może oznaczać, że w zasadzie całą dobę jesteśmy w pracy. Bo czy skoro możemy w południe pójść na jogę, to czy możemy mieć pretensje do szefa o służbowe telefony po godz. 20?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Elastyczne zatrudnienie: globalny chaos czy nowa równowaga rynku pracy?" to temat dyskusji, która odbędzie się w ramach XXVIII Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju (4–6 września).

eprasa.pl 15dc426468

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto da więcej?

Nie ma takiej obietnicy, której w zamian za głosy wyborców nie złożyłaby większość kandydatów do przeróżnych politycznych foteli; większość, bo – trzeba przyznać – zdarzają się chlubne wyjątki. Od foteli samorządowych do rządowych, czy raczej od rządowych do samorządowych, bo to o te – samorządowe – toczy się gra w tym roku. No więc i obietnic, a raczej nierealizowalnych obiecanek cacanek przybywa – na razie głównie w Warszawie, lecz wkrótce, to pewne, ich ocean rozleje się po całej Polsce.

Gdy jeden z kandydatów na urząd prezydenta stolicy solennie obiecuje niektórym warszawiakom 1000-złotowe bony mieszkaniowe, czyli dopłaty do wynajmu mieszkań, drugi bez mrugnięcia okiem przyrzeka – za, bagatela, 100 mln zł rocznie – wydanie wszystkim warszawiakom po 60. roku życia Karty Seniora, uprawniającej na początek do codziennego obiadu za 5 zł w wybranych barach mlecznych i restauracjach. Gdy ten sam kandydat dorzuca – tym razem w ramach Karty Parkingowej Warszawskiej Rodziny – prawo do darmowego parkowania wszystkim, którzy wiozą dziecko (nie wyjaśniając, czy wystarczy je na miejsce parkowania przywieźć, czy z tegoż miejsca odwieźć, czy trzeba i przywieźć, i odwieźć), inny ogłasza zapowiedź wprowadzenia komunikacyjnego biletu rodzinnego – bez względu na liczbę posiadanych dzieci za 100 zł miesięcznie oraz darmowego dla posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Takie wyzwanie, rzecz prosta, nie mogło długo utrzymać się bez odpowiedzi, która też szybko padła – 100 zł z budżetu miasta (razem 240 mln zł każdego roku) na świadczenia pozaszkolne dla każdego warszawskiego dziecka w wieku od 6 do 19 lat! Dopłaty do biletów do teatrów, kin i galerii przynajmniej raz na semestr, otwarte boiska, nauka nowych technologii, doradztwo zawodowe! Lecz i na tym nie mogło się skończyć, więc wnet pojawiła się obietnica 1000+ – wypłacania po 1 tys. zł, co prawda nie w gotówce, lecz w postaci bonu na usługi weterynaryjne, każdemu warszawiakowi, który „zaadoptuje" – tak! – psa lub kota. Jak szaleć, to szaleć!

A wszyscy kandydaci prześcigają się w liczbie mieszkań, które obiecują postawić za swej prezydentury – dużych i małych, w centrum i na obrzeżach. Trwa licytacja na sposób unaocznienia wyborcom swej przewagi w tej materii – od tylu i tylu tysięcy każdego roku do obrazowego „pięć razy więcej niż za obecnej prezydent stolicy". Czymże przy tym jest taka „drobnostka", jak obietnica zbudowania10 linii metra, która padła w odpowiedzi na obietnicę zbudowania dwóch?

Jak bowiem wiadomo, nikt nam tyle nie da, ile obieca kandydat do fotela, na którym może swobodnie dysponować naszymi pieniędzmi. A potem będziemy musieli za to wszystko zapłacić – w podwyżkach podatków od nieruchomości, opłat za wodę i wywóz śmieci, cen biletów komunikacji miejskiej itd. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Płynna demokracja

Olbrzymi postęp, jaki dokonuje się w dziedzinie sztucznej inteligencji, zrewolucjonizuje wiele aspektów naszego życia, w tym politykę. Rewolucja, o której piszę, to stworzenie mechanizmów demokratycznych pozwalających na podejmowanie decyzji w bardzo wielu kwestiach za pomocą powszechnego referendum z prawem cedowania głosu. Taki system w książce Thomasa Malone'a „Superminds" został nazwany płynną demokracją.

W płynnej demokracji eksperci podejmują ważne decyzje zamiast polityków

Obecnie ludzie w powszechnych wyborach raz na cztery lata wybierają parlament, który wyłania rząd. Parlament i rząd w imieniu wyborców podejmują ważne decyzje dotyczące prawa, budżetu państwa, inwestycji infrastrukturalnych i tysięcy innych spraw. Kontrola obywatela nad rządem i parlamentem odbywa się raz na cztery lata – jeśli wyborcom podoba się ich praca, to naród ich wybierze ponownie.

Płynna demokracja to ustrój, w którym wszystkie ważne decyzje dotyczące kraju lub regionu są podejmowane w powszechnym głosowaniu. Ustaw nie uchwala Sejm, tylko są przyjmowane w takim głosowaniu. Wiele osób zaprotestuje. Jak to, przecież tylko w 2017 r. uchwalono nowe ustawy, które miały 27 118 stron?! Kto, poza zawodowym posłem, ma czas czytać te ustawy, z których wiele jest bardzo specjalistycznych. Kto ma czas śledzić tysiące głosowań, trzeba przecież pracować, zajmować się domem.

I tutaj z pomocą przychodzi płynna demokracja. Po pierwsze, mamy prawo sami głosować albo możemy to prawo scedować na osobę, której wiedzę w danym obszarze cenimy, a która będzie chciała reprezentować innych obywateli w takich głosowaniach. I możemy określić nasze preferencje: w sprawach podatkowych będzie mnie reprezentował ekspert X, – ochrony zdrowia ekspert Y, a edukacji ekspert Z. Gdy nam się nie spodoba to, jak głosuje nasz ekspert, możemy natychmiast wycofać poparcie.

Sztuczna inteligencja obserwuje nasze zachowanie i może podpowiadać nam, jak głosować, na kogo scedować prawo głosu, lub może nas informować, że osoba, którą wybraliśmy, prawdopodobnie głosowała niezgodnie z naszymi poglądami. Może też za nas zarządzać portfelem głosowań.

W płynnej demokracji eksperci (ludzie i sztuczna inteligencja) podejmują ważne decyzje zamiast polityków, więc jakość tych decyzji jest wyższa i nie są one obciążone klątwą kadencyjności. Rola parlamentu jest mocno ograniczona lub nawet staje się on zbędny. ©℗

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

eprasa.pl 15dc426468

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WYWIAD Z „TARZANEM", BOHATEREM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Marcin Bartnicki – **Ludowe Wojsko Patologii**
Jarosław Kapsa – **Zgnoić „kota"**
Piotr Zychowicz – **Żydowska agentka gestapo**
Spór o powstanie – **Janusz Korwin-Mikke kontra Tadeusz Płużański**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Antysemityzm klasowy**
Sławomir Cenckiewicz – **Agenci tajnych służb PRL**
Paweł Szulc – **Mroczne tajemnice brata Hermaszewskiego**
Marek Gałęzowski – **Rozwadowski kontra Piłsudski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 15dc426468

TEST „DO RZECZY": MOTOROLA MOTO G6

Fajny design, przyzwoity aparat fotograficzny oraz rewelacyjny stosunek jakości do ceny – to najważniejsze zalety modelu Moto G6.

Nie łudźmy się, za takie pieniądze to nie może być flagowiec. Motorola wcale tego nie ukrywa. Zamiast tego dawna królowa telefonów komórkowych stworzyła bardzo dobry budżetowy smartfon dla tych, którzy lubią wycisnąć jak najwięcej z ciężko zarobionych pieniędzy.

Moto G6 wygląda ładnie. Dobre wrażenie robią zwłaszcza dwie tafle szkła Gorilla Glass 3. W przeciwieństwie do dużo droższych flagowców nie ma co liczyć na zwężone do minimum ramki wokół ekranu. Efekt wizualny psuje też nieco zbyt mocno wystający moduł aparatu fotograficznego. Plusami są za to przyzwoita jakość wykonania oraz dołączone do zestawu etui.

Jakość zdjęć wykonywanych za pomocą umieszczonego z tyłu podwójnego aparatu głównego (o rozdzielczości 12 oraz 5 Mpix i optyką o jasności f/1.8) jest zaskakująco dobra jak na tę półkę cenową. Fotografie robione w dobrych warunkach atmosferycznych są ostre i pełne szczegółów. Moto G6 oferuje też tryb portretowy. Jakość tych portretów nie jest jednak nawet zbliżona do tej, którą oferują iPhone X czy Samsung Galaxy S9. Za pomocą Moto G6 nie nagramy również filmików w jakości 4K – musi nam wystarczyć rozdzielczość 1080 pix.

Wyświetlacz o przekątnej 5,7 cala jest wystarczająco wyraźny (2160 x 1080 pix) – mógłby być jednak nieco jaśniejszy (obsługa tego modelu w silnym słońcu to nie lada wyzwanie) i lepiej oddawać kolory.

A co z wydajnością? Użyty przez producenta procesor Snapdragon 450 nie jest demonem szybkości. Również 3 GB pamięci RAM nie robią już na nikim wrażenia. Osoby szukające funkcjonalnego telefonu, które nie zamierzają na nim zbyt często grać, ucieszy jednak wiadomość, że system Android 8.0 działa płynnie, a kolejne aplikacje otwierają się bez zbędnej zwłoki.

Poza tym model G6 może obsługiwać jednocześnie dwie karty nano-SIM oraz kartę pamięci o pojemności do 128 GB. W erze smartfonowych płatności ważnym elementem, w który została wyposażona Moto G6, jest również moduł NFC. Przydatne są także czytnik linii papilarnych oraz „motogesty", które ułatwiają włączenie latarki, wyciszenie dzwonka czy też szybkie uruchomienie aparatu fotograficznego.

Dobrą wiadomością jest też pozostawienie tradycyjnego wyjścia słuchawkowego – jednocześnie szkoda, że słuchawki, które znajdziemy w zestawie, źle wyglądają i tak samo grają.

Inne wady? G6 potrafi wprawdzie wytrzymać przypadkowe zachlapanie, ale nie ma niestety wodoszczelnej obudowy. Na dworze trzeba więc uważać w czasie deszczu, a w biurze kawę lepiej trzymać z dala od smartfona.

Bateria o pojemności zaledwie 3 tys. mAh wystarcza maksymalnie na dzień, góra półtora. Na szczęście w smartfonie zastosowano technologię szybkiego ładowania, dzięki której naładowania telefonu od zera do 100 proc. zajmuje nie więcej niż 1,5 godziny.

Cena: 899 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

POODBIJAJ MUZYKĘ

Na złośliwie hałaśliwych sąsiadów, nieszanujących zasady ciszy nocnej, wyznawcy zasady „gwałt niech się gwałtem odciska" mają dwa sposoby: łomotanie w kaloryfer albo nieustanne nużące odbijanie piłki o podłogę. Nie wykluczam, że właśnie ta druga metoda mogła zainspirować twórców Oddball, czyli gadżetu do produkcji megahałasu.

Oczywiście głównym zastosowaniem gadżetu nie mają być sąsiedzkie złośliwości, ale tworzenie muzyki. Chodzi o to, by uzyskać efekt dźwięku np. bębna, odbijając piłeczkę w różnym tempie i różnym rytmie, w drodze do pracy czy szkoły. Gadżet składa się z piłki (producent twierdzi, że nożnej) i aplikacji. Po każdym odbiciu piłki od powierzchni czujniki znajdujące się w środku komunikują się z aplikacją przez Bluetooth, odtwarzając dźwięk przez słuchawki lub głośniki. Piłka jest wrażliwa na nacisk – im mocniej ją odbijamy, tym intensywniejszy dźwięk się wydobędzie z głośniczków.

Można też zapętlić swoje bity, by tworzyć złożone melodie lub odtwarzać ulubione piosenki i dodawać efekty. Aplikacja stworzona dla Oddballa będzie miała własne środowisko społecznościowe, w którym będzie można publikować utwory i dzielić się nimi ze znajomymi. Piłeczkę za ok. 350 zł można zamawiać na Kickstarterze.

PRAWDZIWY BANDYTA

Zaatakuje wtedy, gdy się go najmniej spodziewasz. Przyczai się w zagajniku, a gdy usiądziesz przy sierpniowym ognisku, wpadnie znienacka, raniąc do krwi. Komar. Prawdziwy bandyta. I nie wierz w to, że odstraszą go kadzidełka, bateryjki i świece. Jest twardy. No, chyba że – jak twierdzą właściciele chicagowskiej firmy Gardner – używasz Bandito: odstraszacza komarów noszonego na nadgarstku. Zestaw na naręcznej bransoletce emituje wyczuwalny dla komarów i innych paskudztw zapach oraz emituje odstraszający je dźwięk przypominający nieco trzeszczenie albo chrzęst rozgniatanego chitynowego pancerza.

Każdy zestaw Bandito, wystarczający na trzy miesiące, zawiera 12 próżniowo zamkniętych pasów zapachowych (do wymiany co dwa tygodnie) oraz jedną baterię wystarczającą na 500 godzin pracy urządzenia. Cóż, wygląda na to, że Amerykanie, mając do wyboru wonienie jak kostka do toalety lub bycie pogryzionym przez komary, wybierają wonienie.

Bransoletkę można zamówić na Indiegogo za ok. 350 zł. Dostawa jeszcze w sierpniu, więc na jesienne wyprawy w plener pełen latających i gryzących potworów w sam raz. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 15dc426468

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY"

PAKIET KSIĄŻEK
J. PIEKARA "ALICJA"
ORAZ J. GRZĘDOWICZ "AZYL"

Cena: 142 zł
Oszczędność: 112 zł

+

PRENUMERATA ROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE KSIĄŻKA, BEATA SŁAWIŃSKA – WYWIAD Z PŁK. WITALISEM SKORUPKĄ "JA ORZEŁ. Z KEDYWU DO CELI ŚMIERCI"

Cena: 270 zł
Oszczędność: 219 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 15dc426468

Gorące źródła

Joanna Bojańczyk

Duma Mitteleuropy, wizytówka jej bogactwa, elegancji i stylu. Dzisiaj Karlowe Wary to pięknie utrzymane, zamożne miasto, które pielęgnuje nostalgiczny klimat austro-węgierskiego uzdrowiska

Bawarski proboszcz Sebastian Kneipp od dzieciństwa chorował na gruźlicę. Gdy miał 26 lat, lekarze dawali mu kilka miesięcy życia. Przeżył następne 50 lat. Kąpiele w lodowatym Dunaju okazały się tak skuteczne, że proboszcz opracował program leczenia oparty na działaniu wody. 140 technik jej stosowania miało zaktywizować organizm, wzmocnić odporność, wyleczyć zaburzenia snu, krążenia, astmę i wiele innych dolegliwości. Poradniki Kneippa z jego słynnym, choć troszkę obśmiewanym zimnym polewaniem szlauchem rozeszły się w ogromnym nakładzie. Potęgę wód termalnych i mineralnych dostrzeżono m.in. dzięki ks. Kneippowi. I wtedy, w połowie XIX w., wybuchła moda na uzdrowiska. Jeżdżono do wód, początkowo gorących, potem dostrzeżono mineralne. Pobyt w kurortach, które powstawały jedne za drugimi, nie ograniczał się do zabiegów ani kąpieli. Kuracjusze spędzali w „badach” tygodnie, nawet miesiące, urozmaicając czas spacerami, jazdą konną. Po południu spotykano się na herbatkach, wieczorem na balach.

Jednym z najsłynniejszych uzdrowisk w Europie stały się Karlowe Wary w zachodnich Czechach. 73 źródła o temperaturze od 42 do 70 st. C biją tu z głębokości 2 km pod ziemią. Można z nich korzystać w specjalnie wybudowanych kolumnadach, których jest w mieście pięć. Karlsbadzkie wody podobno leczą wszystko: zaburzenia metabolizmu, cukrzycę, problemy gastryczne, neurologiczne. Lekarze polecają pobyt tutaj pacjentom po chorobach onkologicznych.

Uzdrowisko, tak modne na przełomie wieków XIX i XX, historię ma dłuższą. Gorące źródła odkryto tam już w XIV w., w XVI w. lekarz Václav Payer wydał książkę o ich leczniczych właściwościach. Już wtedy z nich korzystano. Jednak miasteczko przechodziło trudne koleje losu. Na przełomie wieków XVI i XVII ogromny pożar strawił większość domów, potem wojna trzydziestoletnia, która zrujnowała Europę, nie oszczędziła także tej części Czech. Na względny spokój Karlsbad musiał poczekać jeszcze sto lat.

Już wtedy znano jednak jego źródła. Jednym z pionierów sanatoryjnych kuracji był król August II Mocny. W Karlsbadzie po raz pierwszy, jeszcze przed objęciem tronu polskiego, pojawił się w 1696 r. Potem gościł tam jeszcze dwukrotnie. Powód był zdrowotny – król cierpiał na cukrzycę, której wtedy nie potrafiono leczyć. Nie tylko o leczenie jednak chodziło. Potężnego, silnego mężczyznę znano również z zamiłowania do romansów, rozrywkowego trybu życia, uczt i trunków. Pobyt upływał mu zatem na imprezowaniu w towarzystwie dam oraz licznego dworu. W 1705 r. królewska świta liczyła 600 osób. Gwoli prawdy trzeba przyznać, że kwestie polityczne także były tu omawiane. W 1712 r. w Karlsbadzie król spotkał się z Piotrem Wielkim. Dla kurortu pobyt monarchów był oczywiście świetną reklamą.

MOZART I MARKS

Po kolejnym katastrofalnym pożarze w 1759 r. Karlowe Wary doczekały się spokoju. Uruchamiając naturalne zasoby i korzystając z europejskiej prosperity, miasteczko rozbudowało się w nowoczesny kurort. Na kuracje i wypoczynek przyjeżdżała rosyjska, polska i niemiecka arystokracja. Wiedza o dobroczynnych właściwościach wód źródlanych upowszechniała się w Europie, do miejscowości kuracyjnych przyjeżdżały już tysiące ludzi. W mieście wyburzano stare budynki, stawiano nowe kamienice, wille, gmachy publiczne. Spółka dwóch architektów Austriaka Ferdynanda Fellnera

eprasa.pl 15dc426468

FOT. FOTOLIA

i Niemca Hermanna Helmera wybudowała w Karlowych Warach 20 budynków, m.in. Grandhotel Pupp, Łaźnie Cesarskie, Kolumnadę Sadową. Przed I wojną światową przyjeżdżało tu 70 tys. ludzi rocznie. W 1929 r. wybudowano tu nawet lotnisko.

Karlsbad stał się sławny na całą Europę. W jego księgach gości figurują politycy, intelektualiści, kompozytorzy. Wód zażywali Goethe, Atatürk, Schiller, Bach, Beethoven, Brahms, Dworzak, Liszt, Paganini, Smetana, Mozart, Chopin, Gogol i Casanova. Młody Chopin przyjechał tu leczyć gruźlicę, z dobrodziejstw gorących źródeł korzystał też Marks.

W czasie II wojny Karlowe Wary wcielono do Rzeszy, w 1944 r. były bombardowane przez aliantów i częściowo zniszczone. Po wojnie wysiedlono 20 tys. Niemców. Dzisiaj to największe czeskie uzdrowisko i ruchliwe miasto. Pięknie utrzymane, zadbane, pielęgnuje klimat austro-węgierskiego kurortu. Było dumą Mitteleuropy, wizytówką jej bogactwa, elegancji i stylu. Sprzyjają temu warunki naturalne: wokół góry, lasy, cztery rzeki. Stara część kurortu wciśnięta jest w wąską kotlinę otoczoną Sławkowskim Lasem, środkiem płynie poprzecinana mostkami rzeka Teplá. Miejska zabudowa secesyjna, eklektyczna, historyzująca jest prawdziwym popisem stylu miast Europy Wschodniej czasów Kafki.

Żeby go poczuć, trzeba przejść się deptakiem, mijając eleganckie secesyjne kamienice, hotele, łaźnie, wille, pałace. Zadbaną zieleń, stare drzewa, marmurowe ławki. Spacerują tam głównie Rosjanie. Im Karlowe Wary zawdzięczają prosperity. I to niekoniecznie oligarchom, ci wypoczywają w Szwajcarii; tu przyjeżdża raczej klasa średnia. Dzięki Rosjanom, ale i Niemcom kwitnie miasto oraz okolice, bo pragmatyczni Czesi podchodzą do sprawy bez sentymentów. Nie przepadają za putinowską Rosją, ale biznes to biznes. W Karlowych Warach wszędzie słychać rosyjski, w tym języku są napisy, menu w restauracjach, kantory wymieniają ruble. W sklepach królują suweniry zrobione pod wschodni gust.

O ile pamiątki można sobie darować, o tyle niewybaczalne byłoby wyjechanie z Czech bez Becherovki. Słynna wódka urodziła się właśnie w Karlsbadzie. Zaczął ją produkować w 1807 r. Jan Becher, recepturę znają tylko cztery osoby. Osobiście jestem wielbicielką innego czeskiego specjału: oblatków – delikatnych cieniutkich wafli przetykanych nadzieniem o różnych smakach. Polecam.

Region karlowarski to głównie uzdrowiska. Wśród nich na wielką uwagę zasługują również Mariańskie Łaźnie. Tam już góry nie blokują przestrzeni, a przepiękny park, kryjący żeliwną kolumnadę osłaniającą ujęcia leczniczych wód, usytuowany jest w samym sercu miejscowości. Może Mariańskie Łaźnie – ze względu na brak ograniczenia przestrzennego – są nawet ładniejsze, ale to kwestia gustu. I to, i to miejsce warto odwiedzić.

Będąc w tamtych stronach, nie sposób nie odwiedzić miasteczka Loket w pobliżu Karlowych Warów, które szczyci się swym średniowiecznym zamkiem. Jego surowe wnętrza wiernie oddają ducha minionych czasów, a mieszczące się w podziemiach muzeum tortur uświadamia nam ciemną stronę ludzkiej natury. Realistycznie pokazane praktyki tortur robią wstrząsające wrażenie na zwiedzających. Patrząc na kolejne ekspozycje katowskich poczynań, zaczynamy rozumieć, co człowiek człowiekowi może uczynić oraz że ta nasza „zdolność” wcale nie musi należeć do przeszłości.

Nieco dalej na południe od centrum regionu leży zabytkowy Cheb – miasto, w którym kompleks złączonych ze sobą wczesnośredniowiecznych kamieniczek wpisany jest na Listę światowego dziedzictwa kulturalnego UNESCO. Jest tu też potężna wieża z czarnego kamienia, ruiny po tysiącletnim zamku i odrestaurowana w surowym kamieniu romańsko-gotycka kaplica zamkowa z ok. 1100 r. A w niej mała nisza – pokoik skrywający warsztat pracy średniowiecznego alchemika. Liczba zebranych tam eksponatów nie robi jakiegoś specjalnego wrażenia, ale wystarczająco podpowiada wyobraźni, jak biegli w tajemnej sztuce szukali receptury na wytworzenie złotego kruszcu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 15dc426468

Z dr. n. farm. Piotrem Merksem z Collegium Medicum Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika, przewodniczącym Związków Zawodowych Pracowników Farmacji
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Do apteki zamiast do przychodni

FOT. FOTOLIA

KATARZYNA PINKOSZ: Niedawno wiceminister zdrowia Marcin Czech zaproponował, żeby farmaceuci przeprowadzali w aptekach szczepienia, np. przeciwko grypie. Wzbudziło to sprzeciw, głównie ze strony lekarzy. Przez wiele lat pracował pan w Anglii, Kanadzie, Australii: tam farmaceuci szczepią w aptekach?

DR PIOTR MERKS: W większości krajów zachodnich od wielu lat bardzo dobrze funkcjonuje na wielu poziomach opieka farmaceutyczna. Szczepienia są jednym z jej elementów. Wszyscy pacjenci dorośli mogą w aptece zaszczepić się przeciw grypie, HPV (wirusowi brodawczaka ludzkiego). Wyłączone są dzieci do 18. roku życia oraz kobiety w ciąży.

Ale przecież przed szczepieniem pacjent powinien zostać zbadany. A farmaceuta tego nie zrobi...

Czy naprawdę w Polsce zawsze lekarz bada pacjenta przed szczepieniem? Raczej nie. Oczywiście farmaceuta, żeby podjąć się szczepienia, musi być do tego przygotowany. Przede wszystkim mieć wgląd do dokumentacji medycznej pacjenta (co na Zachodzie jest normą), być przeszkolony, co ma robić w przypadku wstrząsu anafilaktycznego. Przed szczepieniem zadaje pytania dotyczące jego stanu zdrowia, a pacjent musi wypełnić ankietę, na podstawie której można stwierdzić, czy może dostać szczepionkę. Taki system funkcjonuje od wielu lat.

Czasem wydaje mi się, że zastanawiamy się nad rzeczami, które już od ponad 40 lat istnieją w innych krajach. Jednak to nie od szczepień powinno się wprowadzać opiekę farmaceutyczną.

Gdy boli mnie głowa, idę do apteki, proszę o ibuprofen i bez problemu go dostanę. To źle? Co to właściwie jest opieka farmaceutyczna?

Żaden lek nie jest w pełni bezpieczny. W Polsce większość farmaceutów – czy raczej techników farmaceutycznych, bo taka jest rzeczywistość, to zwykle oni stoją przy okienku – wyda ibuprofen, o nic nie pytając. W krajach, gdzie funkcjonuje opieka, farmaceuta wcześniej zapyta, co się dzieje, jak długo głowa boli, czy pacjent nie ma astmy, nadciśnienia, jakie inne leki przyjmuje. Gdy stwierdzi, że nie ma przeciwwskazań, wyda lek, ale poinformuje, że nie można go stosować dłużej niż kilka dni, a jeśli ból głowy nie przejdzie, to koniecznie trzeba iść do lekarza.

Są różne poziomy opieki w aptekach. Najprostsza rzecz to informowanie pacjenta, jak ma stosować leki, i np. przyklejenie na nie prostej informacji typu „stosować trzy razy dziennie po posiłku". Aptekarz powinien mieć dostęp do dokumentacji medycznej pacjenta. Gdy dostaje receptę, może zwrócić uwagę, jakie inne leki pacjent przyjmuje i czy nie ma pomiędzy nimi interakcji.

Farmaceuta powinien powiedzieć, jak stosować preparat, jakie mogą być interakcje z innymi lekami, suplementami, jedzeniem?

To ważne. Jeśli np. pacjent leczy się z powodu migotania przedsionków i przyjmuje warfarynę, to farmaceuta powinien powiedzieć, żeby nie brał preparatów zawierających miłorząb japoński; a jeśli będzie go bolała głowa, to może stosować tylko paracetamol, a nie ibuprofen czy aspirynę. Farmaceuta powinien też poinformować, że trzeba unikać jedzenia zielonych warzyw, np. brokułów, kapusty, ponieważ mają one wpływ na metabolizm tego leku.

Nie powinien o tym informować lekarz?

Lekarze zwykle nie mają czasu, żeby rozmawiać z pacjentem na temat interakcji leków z innymi farmaceutykami oraz z żywnością. Często nie mają też takiej wiedzy. Poza tym pacjentowi łatwiej iść do apteki niż dostać się do

eprasa.pl 15dc426468

lekarza. W dodatku z badań wynika, że w Polsce 52 proc. pacjentów gubi kartkę od lekarza, a co trzeci Polak po 65. roku życia nie rozumie ulotki leku.

Wiedzę i potencjał farmaceutów warto wykorzystać. Przykładowo, chory dostaje po raz pierwszy lek na nadciśnienie. Niektóre z nich na początku stosowania powodują zawroty głowy. Większość lekarzy o tym nie informuje. To co robi pacjent, gdy źle się czuje?

Przestaje brać lek...

Właśnie. Przestaje się leczyć, a nieprzyjmowanie leków na nadciśnienie grozi udarem, zawałem serca. Gdy funkcjonuje opieka farmaceutyczna, aptekarz – któremu system informatyczny pokaże, że pacjent pierwszy raz wykupił lek na nadciśnienie – powie o możliwych działaniach niepożądanych, takich jak zawroty głowy. Poinformuje też pacjenta, że zadzwoni do niego za dwa tygodnie, a potem za kolejne trzy (oczywiście po uzyskaniu zgody), żeby zapytać o samopoczucie. Jeśli coś jest nie tak, może skonsultować się z lekarzem poprzez system elektroniczny.

Tylko ok. 30 proc. chorych kardiologicznych przyjmuje leki we właściwy sposób. W ramach opieki farmaceutycznej farmaceuta jest zobligowany do ciągłego edukowania pacjenta. Tak jak do samochodu trzeba dolewać paliwa, tak samo jest z pacjentami – żeby właściwie się leczyli, trzeba ich edukować.

Kto za to płaci? Pacjent?

Dla pacjenta opieka farmaceutyczna jest zwykle bezpłatna, chociaż w niektórych krajach są też modele komercyjne, w których ponosi się niewielką opłatę. Zwykle jednak porada w aptece jest refundowana z odpowiedników naszego Narodowego Funduszu Zdrowia, kas chorych. Każda dodatkowa praca farmaceuty jest dodatkowo wyceniona i opłacona. Farmaceuci pracują w szpitalach, przeprowadzając wywiad z pacjentem, przy wypisie przygotowują dla niego listę leków. Zatrudniają ich też przychodnie. Generuje to oszczędności finansowe, ponieważ jeśli pacjenci są dobrze leczeni, to nie ma zaostrzeń choroby i nie muszą być ponownie przyjmowani do szpitala.

To wszystko się opłaca dla systemu ochrony zdrowia?

Tak. Kolejną usługą w ramach opieki jest tzw. przegląd lekowy. Farmaceuta zaprasza pacjenta raz albo dwa razy w roku do apteki na konsultację. Pyta o wszystkie przyjmowane leki (także te bez recepty oraz suplementy), o samopoczucie, ewentualne działania niepożądane. Jeśli jest jakiś problem, pisze z takiego spotkania raport, który trafia do lekarza. W aptekach mierzy się też ciśnienie, sprawdza poziom cukru we krwi, edukuje na temat nadciśnienia, cukrzycy, sposobów rzucania palenia.

Ministerstwo Zdrowia zaproponowało niedawno, żeby leki dla osób niepełnosprawnych były dowożone do domu. Nie wszyscy farmaceuci są z tego zadowoleni...

Idea jest słuszna, system dowozu leków funkcjonuje w aptekach na Zachodzie od ok. 30–40 lat, mogą z niego korzystać wszyscy, którzy z różnych powodów mają problem z dojazdem. Dostawa jest bezpłatna. Osobom starszym, mającym np. demencję, leki zawozi farmaceuta. Rozmawia z pacjentem, ocenia jego poziom niepełnosprawności, zwraca uwagę, czy poradzi sobie z przyjmowaniem leków, czy np. z powodu niedowidzenia nie potrzebuje powiększonej instrukcji stosowania leków. Jeśli pacjent jest w pełni sprawny, leki może zawieźć zwykły kierowca. Oczywiście, są one odpowiednio zapakowane, zabezpieczone, a samochody muszą być klimatyzowane.

W Polsce brakuje lekarzy, pielęgniarek, na pierwszy rzut oka widać, że opieka farmaceutyczna bardzo by się przydała. Dlaczego tak opornie idzie jej wprowadzanie?

Żeby ją wprowadzić w Polsce, trzeba by wszystko wywrócić do góry nogami. Po pierwsze, musi za nią zapłacić NFZ. Po drugie, farmaceuci muszą się jej nauczyć. Przykro mi to mówić, ale polskie uczelnie nie kształcą dobrze pod tym względem, nie zatrudniają ekspertów w tej dziedzinie będących na takim poziomie, jaki byłby potrzebny. Ja też skończyłem polską uczelnię, nie byłem przygotowany do prowadzenia opieki farmaceutycznej. Wyjechałem na Zachód, trzy lata zajęło mi wdrożenie się do tego systemu.

W systemie opieki farmaceuta nie może pozwolić sobie na to, żeby nie porozmawiać z pacjentem. W Polsce jest nawet problem z tym, żeby pojawiły się w aptekach pokoje do konsultacji dla pacjentów. W Anglii zajęło to trzy miesiące: apteki postawiono przed faktem dokonanym – albo będą miały pokój do konsultacji, albo stracą kontrakt z tamtejszym funduszem zdrowia.

Od prawie roku działa w ministerstwie zespół ds. wprowadzenia opieki farmaceutycznej. Myśli pan, że tym razem się uda?

Ministerstwo zapowiada pilotaż – bardzo się z tego cieszę. Martwi mnie to, że jest on oparty na przeglądzie lekowym. Moim zdaniem będzie on realny dopiero, gdy farmaceuta będzie miał pełną możliwość wglądu w dokumentację medyczną pacjenta. W Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu przygotowujemy dwa projekty naszego pilotażu, prowadzonego wspólnie z Gdańskim Uniwersytetem Medycznym. W pierwszym obejmiemy opieką osoby po przebytym zawale serca lub po operacji wszczepienia stentów, przyjmujące leki przeciwpłytkowe. Farmaceuci będą kontaktować się z pacjentami, sprawdzając, czy prawidłowo przyjmują leki. Chcemy udowodnić, że dzięki temu jesteśmy w stanie poprawić ich stosowanie i obniżyć śmiertelność. W programie będzie mogła uczestniczyć każda apteka w Polsce.

Drugi projekt jest skierowany do osób po operacji zaćmy, które powinny przyjmować dwa leki: antybiotyk i steryd. Pacjenci zapominają jednak, że po dwóch tygodniach trzeba odstawić antybiotyk (lub lekarze im o tym nie mówią). Dłuższe przyjmowanie może prowadzić do zmętnienia rogówki. Chcemy, by w ramach opieki farmaceutycznej aptekarz kontaktował się z pacjentem, przypominał o konieczności odstawienia leku. Jestem pewien, że dzięki takim prostym działaniom uda się uniknąć części powikłań, które zdarzają się po operacji zaćmy. Opieka nad pacjentem w aptece po prostu się opłaca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dr. n. farm. Piotr Merks
– naukowiec z CM UMK, ekspert w zakresie opieki farmaceutycznej

eprasa.pl 15dc426468

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Kochany, utnij mi głowę!

Najpierw połamano mu wszystkie członki, spuszczając z wysoka ciężkie koło. Potem obcięto głowę. Wreszcie ciało poćwiartowano, a odrąbane, połamane części zatknięto na palach. Było to w Kazimierzu Biskupim w Wielkopolsce w dniu 10 października roku pańskiego 1707. Tak skończył życie Jan Reinhold Patkul, który chciał przyłączyć Inflanty do Rzeczypospolitej.

Patkul, podający się za przywódcę szlachty inflanckiej, przyszedł na świat w 1660 r. w więzieniu w Sztokholmie, gdyż jego ojciec występował przeciwko Szwecji i został uwięziony. Syn stał się typowym awanturnikiem XVIII w., zmieniającym służbę, sojusze, zdradzającym i porzucającym kolejnych panów. Podobnych mu było wielu – choćby Giacomo Casanova czy przez jakiś czas, po ucieczce z Polski, Kazimierz Pułaski.

Po wypuszczeniu na wolność Patkul służył w armii szwedzkiej, gdzie dosłużył się stopnia kapitana, jednak porzucił tę służbę, bo już od 1689 r. występował przeciwko planom króla Karola XI odebrania ziemi inflanckiej szlachcie i zlikwidowania niezależności prowincji. W 1694 r. został za to skazany na obcięcie ręki oraz konfiskatę majątku. Patkul zbiegł jednak do Szwajcarii, a potem pojawił się na dworze króla Rzeczypospolitej Augusta II Sasa, któremu zaproponował rozbiór Szwecji – w tym wcielenie Inflant do polskiej Korony i podział pozostałych włości między Saksonię, Danię i Brandenburgię – a kiedy ta ostatnia nie wyraziła zainteresowania – Rosję. Gdy August poparł te plany, Patkul został dyplomatą – dzięki jego pośrednictwu zawarto układ z carem w Preobrażenskoje, przewidujący uderzenie armii saskiej i rosyjskiej na Szwecję. Piotr I miał uzyskać Narwę, Ingrię i Estonię, otwierając sobie dostęp do Bałtyku, August zaś odzyskać Inflanty, które choć przyłączone do Rzeczypospolitej, miały się stać przyszłym księstwem Sasów gwarantującym im dziedziczenie tronu w Polsce i na Litwie.

FOT. WIKIPEDIA

Plan ten spalił na panewce. Karol XII najpierw zaatakował Danię, zmuszając ją w sierpniu do zawarcia pokoju. Następnie uderzył na Narwę oblężoną przez wojska rosyjskie, zadając im srogą klęskę. W następnym roku pobił nad Dźwiną armię saską Augusta II, a potem najechał Litwę i Rzeczpospolitą, zajmując Wilno, Warszawę i rozbijając wojsko sasko-polskie pod Kliszowem. Widząc klęskę patrona, Patkul, któremu nie udało się wywołać w Inflantach powstania szlachty przeciwko Szwedom, począł rozglądać się za nowym panem i przeszedł na służbę do cara Piotra I. W 1704 r. pośredniczył w zawarciu kolejnego układu między Rzecząpospolitą a Moskwą w Narwie, gdzie władca Rosji obiecał po zakończeniu wojny oddać Augustowi II Inflanty. Wkrótce stał się także pomysłodawcą rozbioru Rzeczypospolitej między Rosję, Prusy i Saksonię.

Tym razem jednak poszedł za daleko. W 1705 r. Patkul, jako oficjalny dyplomata w służbie cara, z rozkazu Augusta II został aresztowany i osadzony na zamku w Königstein. Kiedy rok później Karol XII uderzył na Saksonię, zmusił elektora nie tylko do zrzeczenia się korony Rzeczypospolitej, lecz także do wydania zdradzieckiego poddanego. W 1707 r. osądzono go w Słupcy w Wielkopolsce, skazując na: łamanie kołem, ścięcie i ćwiartowanie. Wyrok wykonano na łące pod Kazimierzem Biskupim.

W obliczu śmierci Patkul zachował fantazję. Ponoć przywieziony na miejsce, wyprowadzony z karocy, miał powiedzieć do kata: „Spraw się dobrze!" i dał mu papier z zawiniętymi kilkoma dukatami. Sam położył się między drągami i pozwolił się do nich przywiązać. Kat najpierw spuścił koło na jego prawą rękę, ale udało mu się ją złamać dopiero za trzecim uderzeniem. Przez ten czas Patkul wołał głośno: „Jezus!". Wreszcie połamano mu obie nogi i lewe ramię. Kat zapomniał jednak opuścić okute koło na pierś, co zwykle kończyło męki. Skazaniec zawołał zatem do stojącego w pobliżu kapitana: „Mój kochany! Głowę! Głowę każ uciąć". Wezwany oficer kazał katowi niezwłocznie to uczynić.

Po śmierci z ciała Patkula wydobyto wnętrzności i serce, a zwłoki poćwiartowano toporem. Poszczególne części nabito na cztery pale, a głowę nasadzono na osobny pal. Później miała ona zawisnąć przed dzwonnicą klasztoru o.o. Bernardynów. Dopiero po sześciu latach, kiedy August II Sas odzyskał tron w Rzeczypospolitej, kazał sprowadzić szczątki do Warszawy i tutaj pogrzebać. Na miejscu egzekucji, na łące pod Kazimierzem Biskupim ułożono głaz z wyrytą datą i nazwiskiem nieszczęsnego skazanego, który dziś można oglądać na rynku. ©℗

eprasa.pl 15dc426468

GDZIE SIĘ PODZIAŁY KILOGRAMY ANNY POWIERZY

Osobom, które nie pamiętają, jak wyglądałam po urodzeniu mojej córki Helenki, kiedy miałam przerwę w pracy, nie grałam, nie pojawiałam się w telewizji śniadaniowej, by nie burzyć subtelnej kanapowej konstrukcji, trudno dziś uwierzyć, że ważyłam wtedy prawie 100 kg. Z zazdrością i frustracją patrzyłam na celebrytki, które po ciąży z maleństwem na ręku pojawiały się w telewizyjnych studiach ubrane w rozmiar 34. Mimo diety i uprawiania sportu nie mogłam schudnąć. Diagnoza – insulinooporność. Dopiero po wdrożeniu dopasowanej do przypadłości diety zaczęłam tracić wagę, a gdy doszłam do swojego ulubionego rozmiaru 36, napisałam książkę o mojej nierównej walce z hormonami. Zdrowo nie musi oznaczać niesmacznie, co udowodnił Jarek Walczyk, jeden z najlepszych szefów kuchni w Polsce, właściciel restauracji Pink Lobster, a prywatnie mój przyjaciel. Połączyliśmy siły i wspólnie wydajemy kontynuację mojej książki, w której piszę wyłącznie o insulinooporności, podpowiadam, jak i co jeść, by ustrzec się cukrzycy typu 2, a Jarek na podstawie diabetologicznych wytycznych stworzył przepisy, które ze zdrowego jedzenia czynią taką rozkosz dla podniebienia, że już nie chce się sięgać po nic niezdrowego.

FOT. ARCHIWUM ANNY POWIERZY

Chłodnik z awokado, melona i ogórka

Składniki:

- 1 szklanka jogurtu greckiego
- ½ szklanki kefiru
- sok z cytryny do smaku
- 2 łyżki oleju 3 zboża
- ¼ awokado
- ¼ melona
- 3 ogórki gruntowe
- 2 rzodkiewki
- 3 gałązki koperku
- sól, pieprz – do smaku

Przygotowanie:

Jogurt grecki łączymy z kefirem, sokiem z cytryny i oliwą. Dodajemy kawałki awokado, pokrojonego w kostkę melona i ogórka, rzodkiewkę w plasterkach. Następnie dodajemy koperek i doprawiamy do smaku. ©℗

oprac. raw

Anna Powierza jest aktorką, autorką książki „Jak schudnąć, gdy dieta nie działa", Jarosław Walczyk jest szefem kuchni i restauratorem.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

W zgodzie z zegarem

Spędziłyśmy parę dni wakacji z koleżanką, która pracuje nad książką. Dni przy komputerze, z kilkoma przerwami na posiłki i na kąpiele w jeziorze spędzałyśmy w domu na wsi. Koleżanka cały czas, że tak powiem, konsumowała. Talerzyk obok komputera pustoszał szybko i szybko był uzupełniany. Niby nic nie jadła, a jednak: orzeszki (zdrowe), owoce (witaminy), ciasteczka (wieloziarniste, bio), rodzynki (tylko kilka)... Od ósmej rano do 12 w nocy.

Pomyślałam o tym w kontekście kolejnej nowości nauki o żywieniu, o której właśnie doniósł dziennik „The New York Times". To książka „The Circadian Code". Autor, Satchin Panda, jest ekspertem od badań nad całodobowym rytmem organizmu. Twierdzi on, że metabolizm działa najlepiej wtedy, kiedy pory posiłków ograniczone są ramą czasową od 8 do 10 godzin, a przerwa między wieczornym a rannym posiłkiem wynosi 14 godzin, a najlepiej 16.

To podejście wywodzi się z przekonania, że funkcjonowanie organizmu odbywa się w rytmie dnia i nocy regulowanym działaniem światła, hormonów i enzymów oraz systemu trawiennego. Ten system działa zgodnie z rytmem natury. Nie przewiduje się w nim jedzenia na okrągło. Autor przekonuje, że współczesny człowiek przeciętnie jada w przedziale czasowym 15 godzin. Wcześnie rano kawa czy mleko, późnym wieczorem kieliszek wina, a jeszcze później przekąska przed samym pójściem spać.

Ten tryb jest w konflikcie z rytmem biologicznym ciała. Od dawna uczeni wiedzieli, że główny zegar ciała znajduje się w mózgu, a dokładnie w jego części zwanej podwzgórzem. Jednak jakiś czas temu odkryto również, że nie ma tylko jednego zegara biologicznego – jest ich więcej. Każdy organ ma własny, który kieruje jego aktywnością. W ciągu dnia trzustka zwiększa produkcję insuliny, która kontroluje poziom cukru we krwi. W nocy ten poziom spada. W jelitach to, co jemy, za pomocą enzymów i miliardów bakterii jest wchłaniane lub wydalane. Metabolizm również podlega rytmowi dnia i nocy, który jest zaprogramowany w naszym DNA. Badania pokazują, że w każdym organie są geny regulujące jego działanie.

„Mieszkamy na Ziemi od tysięcy lat. Wiele się zmieniło, ale jedno się nie zmieniło. Codziennie słońce rano wstaje i wieczorem zachodzi. Jesteśmy zaprojektowani na 24-godzinny rytm fizjologiczny. Tak jest, bo nasz mózg potrzebuje odpoczynku, aby się zregenerować, odmłodzić i odpocząć. Podobnie zresetować muszą się inne organy. Trzeba im na to pozwolić" – pisze dr Panda. ©℗

eprasa.pl 15dc426468

NASZ TEST: HONDA CIVIC

Dziesiąta generacja Hondy Civic jest od swej poprzedniczki dłuższa, szersza oraz niższa. Odważna futurystyczna stylistyka nadal przypomina nieco pojazd dla ufoludków – część ludzi będzie ją za to kochać, a druga część unikać jej jak ognia. O gustach się nie dyskutuje. Auto świetnie się jednak prowadzi i jest jednym z ciekawszych modeli w swojej klasie.

W KABINIE

Deska rozdzielcza nawiązuje do ekstrawaganckiego wnętrza. Jest jednak lepiej uporządkowana niż we wcześniejszych generacjach Hondy Civic.

Zegary są czytelne, a o sportowym charakterze auta przypominają m.in. stalowe nakładki na pedały. Nawigacją, multimediami, telefonem etc. steruje się za pomocą dużego kolorowego dotykowego ekranu. Ekran reaguje błyskawicznie na wszelkie polecenia. Szkoda tylko, że grafika nie tylko nie jest futurystyczna, lecz także robi wrażenie przestarzałej i niespecjalnie pięknej.

W przestronnym wnętrzu – miejsca na nogi jest wystarczająco dużo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie – znajdziemy też kilka dużych funkcjonalnych schowków. Przydatna dla posiadaczy nowoczesnych smartfonów będzie też bezprzewodowa ładowarka.

Pojemność bagażnika wynosi 519 l, co jest niezłym wynikiem w tej klasie aut (ale Škoda Octavia ma kufer o wielkości 590 l).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAZDA

Testowany egzemplarz, który miał pod maską benzynowy silnik o pojemności 1,5 l i mocy 182 KM, od 0 do 100 km/godz. przyspieszał w nieco ponad 8 s. Na zachodnich autostradach można go zaś rozpędzić aż do 215 km/godz.

Osobom lubiącym sportowy styl jazdy spodobać się mogą: precyzyjny układ kierowniczy, bardzo dobre hamulce oraz świetne, sztywne zawieszenie, które pozwala odnieść wrażenie lepszej łączności z asfaltem. Podróż tym autem sprawia więc przyjemność zarówno na długich prostych, jak i podczas szybkiego pokonywania ostrych zakrętów.

Nie jest to może VW Golf, ale hondą da się i pobawić, i wyruszyć w komfortowych warunkach w dłuższą podróż. Nieco lepsze mogłoby być jednak wyciszenie kabiny.

Średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym podczas testu wyniosło 9,3 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Dzięki usunięciu problemów z zapięciem fotelików pasem bezpieczeństwa i zmodyfikowaniu sposobu działania wyłącznika poduszki powietrznej pasażera najnowsza Honda Civic w testach zderzeniowych Euro NCAP zdobyła już komplet pięciu gwiazdek, uzyskując 92 proc.

pkt. w kategorii ochrona podróżujących dorosłych i po 75 proc. pkt w kategoriach ochrona podróżującego dziecka i ochrona pieszego.

Systemy wspierające kierowcę ostrzegają przed ryzykiem kolizji, a także alarmują w przypadku niezamierzonej zmiany pasa lub próby zmiany pasa, gdy ktoś znajduje się w martwym polu lusterek. Civic automatycznie włącza też światła awaryjne podczas nagłego hamowania na autostradzie. Podczas jazdy miejskiej samochód samodzielnie uruchomi też hamulce w przypadku nie tylko wykrycia ryzyka kolizji z innym autem, lecz także ryzyka potrącenia pieszego.

CENA

Za najtańszą Hondę Civic z manualną sześciobiegową skrzynią biegów i jednolitrowym silniczkiem o mocy 129 KM trzeba zapłacić 70,9 tys. zł. Model z silnikiem o pojemności 1,5 l i mocy 182 KM to wydatek co najmniej 98,5 tys. zł w wersji z manualną skrzynią biegów lub 103,5 tys. zł z automatem. W najdroższej wersji wyposażenia (Prestige) civic z półtoralitrowym sinikiem kosztuje w zależności od rodzaju skrzyni odpowiednio 112 i 117 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Focus, Hyundai i30, Kia Cee'd, Mazda 3, Opel Astra, Peugeot 308, Renault Megane, Seat Leon, Škoda Octavia, Volkswagen Golf ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 15dc426468

100% polski produkt

JUŻ NIEBAWEM RUSZA

III EDYCJA KONKURSU

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

LUBOMIRSKICH

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl 15dc426468

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Brawo, Senat

MARCIN MAKOWSKI: Senat odrzucił propozycję referendum konstytucyjnego prezydenta Andrzeja Dudy. Większość senatorów PiS wstrzymało się od głosu. Spodziewałeś się takiego obrotu sytuacji?

MATTHEW TYRMAND: Trudno, aby było inaczej, gdy sam pomysł był nieprzemyślany – żeby nie powiedzieć dosadniej. Według mojej wiedzy odnośnie do nastrojów w Kancelarii Prezydenta również w tym miejscu projekt spotkał się z wewnętrzną opozycją. Jednym z jego inicjatorów miał być Marcin Mastalerek. Bez względu jednak na ojców chrzestnych idei nie potrafię sobie wyobrazić, jakim cudem ktoś siedzący lata w polityce mógł uznać, że da się zrobić poważne referendum z 10 pytaniami. To po prostu niemożliwe – takie rzeczy trudno przeprowadzić nawet przy jednym albo dwóch. I jeszcze ten fatalny przekrój tematyki: od kompetencji ustrojowych głowy państwa po „500+". Dziwię się, że nie postanowiono zapytać, jakie pierogi są naszym daniem narodowym: z mięsem czy ruskie?

No teraz jesteś złośliwy.

Cholera, bądźmy poważni. Ile osób poszłoby głosować? Ile dziesiątek milionów złotych wypłynęłoby z kasy państwa? Wystarczy wspomnieć referendum Komorowskiego – 7,8 proc. frekwencji, a teraz mogłaby być nawet niższa. Jedyną osobą, która by na nie poszła z własnej woli, jest Paweł Kukiz, który pała miłością do referendów, choć reszta Polaków jej nie podziela. Załóżmy jednak, że głosowanie poszłoby po myśli Andrzeja Dudy. Co dalej? Czy PiS w jakikolwiek sposób zmieniłby swoją politykę, długodystansowe cele, byłby do czegokolwiek zobligowany? Czy dowiedziałby się czegoś nowego o swoim elektoracie? Nie sądzę. Dlatego właśnie gratuluję rozwagi polskiemu Senatowi, a nie mówię tego często.

Ciekawe, że błyskawicznie po tej decyzji prezydent podpisał nowelizacje ustaw reformujących wymiar sprawiedliwości. Niektórzy liczyli na kolejne weto, w „zemście" za ducha partii.

Bez przesady, Duda po prostu nie miał innego wyjścia. Sądzę, że część jego doradców zdawała sobie sprawę, że PiS swoim zachowaniem uwolnił ich od ciężaru, którego nie byliby w stanie unieść. Teraz prezydent może się skupić na wakacjach, a potem myśleć o wizycie w Białym Domu. Ambasador Wilczek i minister Czaputowicz rozmawiali w tej sprawie z Mikiem Pompeo i Johnem Boltonem – wszystko wydaje się zapięte na ostatni guzik, co zresztą zasugerował Bolton na swoim profilu na Twitterze.

Coraz częściej mówi się, że do wizyty może dojść we wrześniu. Wiesz coś więcej na temat terminu?

Też słyszałem o jesieni, ale nie mam informacji, aby wrzesień był brany pod uwagę na 100 proc. Na pewno jednak odbędzie się ona w tym roku. No chyba że nagle ktoś wyciągnie z rękawa drugą nowelizację ustawy o IPN i wizerunkowo Polska strzeli sobie w drugą stopę.

À propos strzelania w stopę, opozycji zostały już chyba tylko łokcie. Obserwujesz na pewno chowanie się w bagażnikach, mazanie po ścianach, przepychanki z policją. W jakim kierunku to zmierza?

W bardzo złym, ponieważ radykalna lewica nie potrafi się dostosować do normalnych standardów zachowania społecznego, a nakręcanie tej spirali agresji jest jej na rękę wizerunkowo. W końcu „władza bije pokojowych demonstrantów" i takie obrazki lecą w świat. Myślę jednak, że jeśli nazwa Prawo i Sprawiedliwość coś znaczy, partia nie powinna się cackać z takimi osobami, które wykraczają poza demokratyczne ramy protestu i wprost rzucają się na mundurowych, bluzgają na nich oraz dewastują miejsca publiczne. Joachim Brudziński nie powinien się temu biernie przyglądać. Cokolwiek zrobi, i tak na Zachód będą wysyłane dramatyczne, preparowane relacje „z frontu". Ja wiem, jak się takie rzeczy kończą – wystarczy zobaczyć zachowanie Antify w USA, która w tej chwili wprost nawołuje do rozlewu krwi, a podczas protestów wywołuje zamieszki i demoluje miasta. Tak się kończy strach przed podjęciem zdecydowanych działań. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 15dc426468

OKIEM JASTRZĘBIA

Chwytanie mózgów i efekt zajączka

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Proszę państwa, dziś dwie sprawy. Po pierwsze o chwytaniu mózgów, a po drugie o efekcie zajączka. Podpowiem na początku, że efekt zajączka jest ściśle związany z chwytaniem mózgów, ale to za chwilkę. Najważniejszą, niedocenianą, celowo i systemowo przemilczaną rolą mediów jest właśnie chwytanie mózgów. Z nieprzeprowadzonych jeszcze badań Instytutu Mózgów (głównie z powodu nieistnienia tego instytutu) wynika, że prawie 99 proc. ludzkich umysłów większość swojego życia spędza na niemyśleniu. Nie chodzi o celowy relaks, wypoczynek, regenerację, chodzi o najbardziej podstawowe rozdziawienie ust i leniwe trwanie w owym rozdziawieniu. Nie chcę tu nikogo obrażać, ale całkiem sporo ludzi nie ma żadnego sprecyzowanego pomysłu na życie, a żyją, bo wskazówki zegarów poruszają się bez ich udziału. I tu właśnie wkraczają media! To niezwykle ważna społecznie rola. Nieschwytany bowiem mózg mógłby wymyślić coś głupiego. Na przykład oddać się buntowi jakiemuś, rewolucji, oczadzieć od ideologii proponującej tu na Ziemi raj w wyniku choćby masowych morderstw klas społecznych czy coś. Bywały takie przypadki w historii, niestety. Od czego mamy jednak pytona, to znaczy chciałem powiedzieć – media. Dobra, niech będzie już ten pyton, skoro nam tu przypełzł. Otóż żartobliwe przecież i przesycone mrugnięciem oka poszukiwanie pytona chwyta mózgi doskonale. Zajmuje je, wyciąga z niekontrolowanej fazy „stand by". Media, informując o zbiegłym pytonie i o śledztwie w jego sprawie, chwytają rozdziawione, będące na jakimś dziwacznym właśnie czuwaniu mózgi i wpychają tam rześkiego, atrakcyjnego i egzotycznego pytona. Ten pyton staje się sprawą publiczną, tematem rozmów w domu i zagrodzie. I nic w tym złego nie ma. Ja nie potępiam. Ja tu tylko konstatuję sobie. I tu pewna niespodzianka dla czytelników – na takiej samej dokładnie zasadzie jak pyton działa zdecydowana większość pokazywanych przez media niby-poważnych politycznych spraw, sporów i potyczek. Chwyta się mózgi rozdziawione choćby tym, że pani X z partii Y powiedziała pani Z partii B, że nie jest genialna bynajmniej, i to, proszę mi uwierzyć, angażuje umysły całkiem, choć płytko. Zapewniam państwa. Wałkowanie zdecydowanej większości tematów politycznych przez media niczym się nie różni od poszukiwania pytona, przykro mi, niestety. Ja nie potępiam. Mnie się tak z cicha pod nosem wydaje, że to może i dobrze…

FOT. ROBERT GAŁDZIŃSKI

A teraz druga sprawa, efekt zajączka. Znają państwo zapewne pouczający dowcip o misiu, zajączku i czapce. Skoro państwo znają, to oczywiście opowiem. Misiu chciał przyłożyć zajączkowi, ale szukał pretekstu. Znalazł. Uderzył zajączka za to, że maluch chodził bez czapki. Misiu jednak znowu chciał wyładować agresję na zajączku i szukał innego pretekstu. Podpowiedziano mu, żeby poprosił zajączka o papierosa. Jeśli zajączek da papierosa z filtrem, to misiu przyłoży mu dlatego, że dał z filtrem, a jeśli poczęstuje papierosem bez filtra, to dlatego, że bez filtra. Proste. Niby-cwany zajączek spytał jednak: „A z filtrem czy bez?". Na to misiu: „O, a ty znowu bez czapeczki" i bęc zajączka między uszy. Jak to się ma do mediów? Wprost ma się to do mediów, wprost. Czytam na przykład materiały, że Lech Wałęsa nie odwiedza wnuków w areszcie (Wałęsa to nie jest mój bohater, ale trzeba jednak od czasu do czasu być odrobinę sprawiedliwym). Gdzieś w tle tej informacji brzęczy oczywista przygana: „A to łobuz, zostawił wnuki same w tak trudnym momencie ich młodego życia". Gdyby jednak Wałęsa odwiedził te wnuki, w tle czystej informacji, której nie potępiam, brzęczeć mogłaby przygana: „No proszę, do kryminalistów chodzi, a czego się po nim spodziewać?". Ja powtarzam, że ja nie potępiam, zwracam tylko uwagę, że po pierwsze ktoś tu znowu nie ma czapeczki, a po drugie – mózgi skutecznie, proszę Państwa, schwytane. ©℗

Autor jest prezesem firmy R4S.

eprasa.pl/15dc426468

OKIEM BLOGERKI

Z czasów raju demokracji

KATARYNA

Wiecie, że w Polsce można iść siedzieć za „demonstracyjne okazywanie lekceważenia" konstytucyjnym organom w miejscu publicznym? I nie trzeba nawet znieważyć tego organu, co jest przestępstwem określonym w Kodeksie karnym, bo Kodeks wykroczeń chroni konstytucyjne organy także przed dużo bardziej delikatnym naruszeniem ich dobrego samopoczucia – właśnie poprzez „demonstracyjne okazanie im lekceważenia" w miejscu publicznym. To po ten paragraf Kodeksu wykroczeń sięgnął prokurator, gdy kilka lat temu po półtorarocznym śledztwie dorwał kibiców, którzy ośmielili się skandować „Donald, matole!". Ostatecznie mimo ukarania mandatami sąd, do którego kibice się odwołali, uznał, że wykroczenie już się przedawniło i umorzył postępowanie, ale sam fakt próby bronienia władzy przed – umówmy się, dość lajtowym – przezwiskiem za pomocą paragrafu przewidującego za to nawet karę więzienia, wzbudził niepokój ówczesnej rzecznik praw obywatelskich, która zwróciła się do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o uznanie przepisu za niekonstytucyjny. W imieniu Sejmu odpowiedziała jej ówczesna marszałek, Ewa Kopacz. „Ograniczenie jest przydatne, bo ochrona wymienionych w nim podmiotów przed atakami na ich autorytet i dobre imię służy ochronie ładu i porządku publicznego. Uzyskiwane w efekcie owej ochrony niezakłócone funkcjonowanie konstytucyjnych organów państwa stanowi czynnik integracji społecznej i zapewnia harmonię we współżyciu społecznym, a ich obrona przed atakami pozbawionymi wartości merytorycznej, służącymi jedynie okazaniu pogardy i niechęci ze strony jednostki, zapobiega erozji czynników konsolidujących wspólnotę polityczną. Szerzej rzecz ujmując, dochodzi w ten sposób do realizacji art. 1 konstytucji, zgodnie z którym »Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli«".

Pyszne, prawda? I tę argumentację podzielił niestety Trybunał Konstytucyjny, orzekając, że nie tylko karanie grzywną, lecz nawet więzieniem za „demonstracyjne okazywanie lekceważenia" władzy jest karą adekwatną i należy ją utrzymać. A wszystko to w czasach jeszcze kwitnącej demokracji i wolności słowa. Próbuję sobie wyobrazić oburzenie, gdyby władza w osobie jakiegoś nadgorliwego policjanta chciała przypomnieć dzisiejszym protestującym ten paragraf i wyegzekwować grzywnami „konsolidujący wspólnotę polityczną" szacunek dla prezydenta, dość regularnie publicznie poniżanego.

Próbuję sobie też wyobrazić, co by się działo, gdyby prezydentem Warszawy został Patryk Jaki i wzorem swojej poprzedniczki rozwiązał antyrządowe zgromadzenie pod pretekstem łamania prawa przez uczestników znieważających któryś z konstytucyjnych organów. Jeśli można rozwiązać zgromadzenie za łamiącą prawo koszulkę, to można też za łamiące prawo okrzyki, prawda? I nie, wcale tego nie proponuję i mam nadzieję, że władza sobie nie przypomni, że ma w obowiązujących przepisach całkiem skuteczny młot na opozycję, którego ta opozycja, gdy jeszcze była władzą, tak chętnie używała. Warto jednak mieć świadomość, jak bardzo opresyjny jest sam ustrój zbudowany przez te wszystkie lata i w jakim stopniu nasze podstawowe prawa zależą de facto od tego, jak bardzo samoogranicza się dana władza, odstępując od egzekwowania obowiązującego prawa. Nasze obywatelskie swobody zawdzięczamy właściwie masowemu niedopełnianiu obowiązków przez policję. I to mnie trochę przeraża. ©℗

PODSŁUCHANE

Powód się znajdzie

Hania, ale ja nie mogę zarządzić rozwiązania marszu bez powodu.
Ewa, my mamy tehaz takie phoblemy, że hozwiązanie mahszu bez powodu to jest przy tym wszystkim maleńki pikuś.
Moja droga, może to tak wygląda z twojego punktu widzenia. Ja za ciebie tyłka narażać nie będę. Daj mi powód, to rozwiążemy.
No dobha, już się nie złość. Kojarzysz pana Zenka?
Jakiego znowu pana Zenka?
Tego od nas z urzędu, z szatni? I jeszcze pana Janusza, tego z pahkingu?
No... Myślisz, że ja tam jakichś parkingowych znam...
A widzisz, to błąd. Czasem wahto. Weź no tam otwórz szufladę i wyjmij dwie paczki, co tam na wierzchu leżą, w takim przezhoczystym.
Co to jest?!
To są koszulki. Nie na dokumenty, tylko takie tiszehty. Na jednej jest siehp i młot...
...ale przekreślone!
A co to ma za znaczenie? A na dhugiej takie niby swastyki...
Ale to nie są swastyki, tylko jakieś takie... esy-floresy.
A bo to z daleka ktoś hozhóżni? No. To się Zenka i Janusza ubierze w te koszulki i pophosi, żeby poszli w tym mahszu. I już masz swój powód. A potem im się da jakąś phemię czy coś.
A jak ktoś pozna, że to nasi pracownicy?
To się powie, że jesteśmy tolehancyjni.
Ale jak to? Że niby faszystów zatrudniamy? ©℗ *Łukasz Warzecha*

OD RZECZY

„Kim jest Duda, żeby decydować, czy orzeczenie SN obowiązuje, czy nie? Jest zwykłym obywatelem jak każdy z nas, tyle że bez kręgosłupa, stąd przydomek Niezłomny".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 15dc426468

Rasizm pędzla?

fot. Jerzy Gumowski

Treść felietonu **„Rasizm”** (**„Do Rzeczy”** 9/2018) nie ściągnęła na mnie oskarżeń o rasizm, lecz pewna pryncypialna Czytelniczka zarzuciła mi quasi–rasizm wskazując coś innego: tytuł mojej ośmiotomowej pracy **„Malarstwo białego człowieka”** (wyd. 1 Poznań–Warszawa–Chicago 1997–2000, wyd. 2 Warszawa 2009–2011). To dla mnie żadna nowina. Przez minione dwie dekady kilka dużych zachodnich firm wydawniczych chciało tłumaczyć ***„MBC”*** na niemiecki, angielski, francuski, hiszpański tudzież włoski (w tej kolejności padały propozycje), każdorazowo wszakże pod jednym warunkiem *„sine qua non”* — warunkiem zastąpienia *„rasistowskiego”* tytułu tytułem *„nierasistowskim”*. Każdorazowo tedy odsyłałem niedoszłych kontrahentów na drzewo, i dlatego zamiast być milionerem — jestem średniozamożnym frajerem (a do tego Lisicki chce mnie zagłodzić, płacąc mi skąpe honoraria). Każda kolejna tego typu propozycja spotka się z tą samą odpowiedzią uparciucha: *„no way!”*.

Od Murzynów różnił nas nie tylko kolor skóry. Od Azjatów różniło nas nie tylko to, że oni jedli patykami, a my widelcami. Od Arabów różniło nas nie tylko to, że my siusialiśmy stojąc, a oni klęcząc. Od Indian nie tylko to, że malowanie sobie twarzy u nas było sprawą damską, a u nich męską. Różniły nas zwłaszcza europejskie wynalazki cywilizacyjne. Być może starożytni Chińczycy wynaleźli wszystko, jak głosi legenda. Ale nie Chińczycy, tylko biali Europejczycy Starego i Nowego Świata dali światu w nauce, technice i sztuce wszystko czym dzisiejszy świat żyje. Jeżeli to jest rasistowski punkt widzenia, to ja jestem rasistą. Lecz nie sądzę, aby to był rasistowski punkt widzenia. Jest to stwierdzenie faktu.

Kulturę zachodnią przez setki lat różnił od innych kultur także iluzjonistyczny sposób, którym pędzle białych ludzi (Europejczyków i emigrantów, np. z Europy do Stanów) praktykowały malarstwo, stąd fachowcy zwą pół tysiąclecia europejskiego malarstwa *„malarstwem iluzjonistycznym”* (ergo: wywołującym daleko posunięte — czasami wręcz werystyczne — złudzenie rzeczywistości), a profani *„realistyczną”* sztuką. Rzeźbę uprawiano na wszystkich (prócz Antarktydy) kontynentach. Grafikę również. Kreska i barwa istniały wszędzie od zawsze. Ale wyłącznie Europa praktykowała perspektywę zbieżną i światłocień, dwa filary malarskiego iluzjonizmu.

Malarstwo antyczne i malarstwo wczesnochrześcijańskie stosowały perspektywę nieprawidłową — uchodzące ku głębi sceny linie zbiegały się nie w jednym punkcie, tylko parami w kilku punktach leżących na pionowej osi malunku. Renesans żonglował już bezbłędnie każdym rodzajem perspektywy (z lotu ptaka, żabią, skośną, barwną, powietrzną, sferyczną, obrotową, sufitową, anamorfotyczną, etc.).

Podobnie rzecz się miała ze światłocieniem. Prymitywny światłocień znajdziemy u starożytnych Greków. Bezbłędny — dopiero u mistrzów Renesansu. I właśnie o to tu chodzi. Roku 1993 mówiłem (w wywiadzie prasowym) à propos **„Malarstwa białego człowieka”**: *„ — Chodzi o trójwymiarowe, iluzjonistyczne malarstwo oparte na światłocieniu. Takie malarstwo uprawiali jedynie malarze europejscy, a szerzej mówiąc: tylko malarze cywilizacji zachodniej. Malarstwo wszystkich innych kultur to linearyzm, kreska, grafika, tymczasem Europa, od Cimabuego i Giotta do preimpresjonistów, uprawiała zabawę ze światłem i cieniem sugerującymi trójwymiarowość”*.

Ludzie pozaeuropejskich kultur wyrażali niegdyś opinię, że malarstwo europejskie jest dziwaczne właśnie przez swój iluzjonizm, czyli przez wywoływanie farbą złudzeń rzeczywistości. XIX–wieczny brytyjski krytyk John Ruskin: *„Chińczycy, prawdziwe dzieci w wielu sprawach, sądzą, iż ma-*

∞

Juliusz Słowacki:
„Malarz to udawca natury...”

∞

lunek perspektywiczny to błąd (...) Wzrok Indianina, tak bystry przy tropieniu, tępo rejestruje cień”. Dla Indian, Hindusów, Polinezyjczyków bądź skośnookich Azjatów twarz modelowana światłocieniowo oznaczała dwie twarze (jasną i ciemną) lub pół twarzy. Żadna rasa prócz rasy białej nie stosowała europejskich środków wywoływania iluzji realizmu, co Europejczycy kwitowali wzgardliwie aż do przewrotu impresjonistycznego. Francuski geniusz Romantyzmu w malarstwie, Eugène Delacroix: *„Widziałem u madame Jaubert perskie portrety i rysunki, które przypomniały mi słowa Voltaire'a, że na wielkich obszarach Ziemi nigdy nie gościł dobry smak. Są to te kraje Wschodu, gdzie nie ma society, gdzie panuje niewolnictwo kobiet, itd. Wszystkie sztuki tkwią tam w zacofaniu. Rysunkom, które widziałem, brakuje perspektywy i jakiegokolwiek wyczucia plastyczności...”* (1850). To znaczy: trójwymiarowości, realizmu. Widocznie dla malarza pozaeuropejskiego realizm nie był cudem, przed którym ten pragnąłby klękać. Pytanie: czy mógłby klękać, gdyby jednak chciał uklęknąć? Czy trójwymiarowość malarska, osiągana perspektywą i światłocieniem, była dlań metodą zbyt trudną, czy jedynie regułą zbyt arbitralną, sztuczką mniej rajcującą niż triki stosowane przez niego samego?

Czasami ktoś dowodzi, że nie tylko Chińczycy, Japończycy lub Egipcjanie starożytni programowo negowali trójwymiarową iluzję. Mieli ją negować również artyści Bizancjum. Jest to teza słuszna ledwie częściowo. Gdy mówimy, że stosowaniem dużych kostek bizantyjskie malarstwo mozaikowe z premedytacją odrzucało realizm, chcąc sugerować Boską nadrealność — mówimy prawdę (nikt Bizantyjczykom nie przeszkadzał używać drobniutkiej starorzymskiej mozaiki smaltowej, dającej efekty bliskie iluzjonizmowi). Ale kiedy zbytnio demonizujemy tę premedytację (co robił np. głośny kulturoznawca, autor ciekawych dzieł o sztuce, André Malraux), twierdząc, że Bizantyjczycy mogli, lecz zwyczajnie nie chcieli uprawiać rozwiniętego realizmu — mówimy głupstwa. Gdyby mogli, to znaczy gdyby potrafili, wówczas figury z bizantyjskich fresków nie byłyby płaskie jak płastugi.

Europa musiała dokonać wynalazku — odkryć realizm malarskich scen. Odkryła, gdy kulturę Zachodu przestały cieszyć ilustracje niekopiujące natury. Wraz z Giottem ruszono ku rozkoszom realizmu i bawiono się realizmem prawie 500 lat, do czasu, kiedy kulturę europejską przestało podniecać kopiowanie natury. Realizm został wówczas zastąpiony *„nowym prymitywizmem”* (deformacją i abstrakcją), dzięki czemu kółko się zamknęło — malarstwo wróciło ku modzie przedrealistycznej, chociaż teraz ubranej w nowoczesne formy.

Współczesny, kształcony po europejsku Chińczyk rozumuje inaczej niż jego ojciec czy jego dziad. Vulgo: dzisiaj nawet Azjaci przyznają przedmodernistycznemu malarstwu europejskiemu palmę wyższości absolutnej. Twórca potęgi Singapuru, genialny chiński autokrata Lee Kuan Yew, mówił w rozmowie ze sławnym Francuzem (przyjacielem generała de Gaulle'a), Alainem Peyrefittem: *„ — Malarstwo chińskie może pan sobie tutaj obejrzeć. Nie da się tego porównać z twórczością chociażby Rembrandta. To jak muzyka. Czy pan wie, że Chińczycy znają tylko pięć tonów, kiedy wy na Zachodzie macie oktawę?”* (1996). Właśnie — *„malarstwo białego człowieka”* było wobec malarstwa wszystkich innych kultur jak muzyka symfoniczna wobec ubogich melodyjek, do grania których starczą fujarki i kilka prostych dźwięków. Mówiąc to, nie pragnę dawnej sztuki azjatyckiej deprecjonować. Jest ona grafiką piękną niczym uwielbiane przeze mnie melodie, które na fletni Pana dmucha Zamfir, lecz gdy pragnie udawać malarstwo — musi być traktowana tak, jak flecista udający orkiestrę.

To tyle gwoli utarcia nosa politpoprawnym *„humanistom”* i *„multikulturowcom”* czepiającym się *„rasistowskiego”* tytułu mojej malarskiej epopei. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 15dc426468

Tankuj, kupuj i odbierz w atrakcyjnej cenie!*

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych lub 4900 punktów VITAY.

ORLEN

Kierunek jest jeden...

*Sprzedaż promocyjna do 31.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orlen.pl

eprasa.pl 15dc426468